



# Charlotte **LINK**

## **Grzech aniołów**

Znakomity thriller, który aż skrzy od napięcia

**Charlotte Link**

**Grzech aniołów**

*Bo nie ma tu różnicy: wszyscy bowiem zgrzeszyli...*

(Rz3,23)

K-1 9ft 12010

## Czwartek, 25 maja 1995 roku

Ringlestone Inn, jak z dumą wyjaśnił gospodarz, zbudowano w roku 1533 i od XVII wieku mieścił się w nim pub. Od tamtej pory niewiele się tu zmieniło. Niska powała wspierała się na ciężkich, dębowych, poczerniałych od sadzy belkach, zaś maleńkie okienka, osadzone głęboko w grubych, bielonych wapnem murach, składały się z oprawionych w ołowiane ramki gomółek. Tuż przy wejściu potężny murowany komin witał gości trzaskającym ogniem. Przechodząc z jednej sali do drugiej, trzeba było pochylić głowę i uważać, by nie potknąć się o jakiś stopień czy wystającą z podłogi belkę. Ławy, krzesła i stoły były ustawione ciasno obok siebie, nad nimi kołysały się zawieszono u powały prastare lampy. Nikt by się nie zdziwił, gdyby nagle wdarł się do środka Oliver Cromwell, w wysokich butach, kapeluszu z piórami i w rozwianym czarnym płaszczu, zerkając nieufnym wzrokiem, czy w którymś kącie nie ukryli się rojaliści.

Na placu przed zajazdem powinny stać uwiązane konie, a nie parkować samochody, pomyślała Janet. O wiele lepiej pasowałyby do tego miejsca.

Już od kilku godzin miała wrażenie, że przeniosła się w zamierzchłą przeszłość. Wyruszyła z Londynu, jednak tuż przed Rochester zjechała z drogi prowadzącej w kierunku Dover i skręciła na południe. Trasa wiodła przez sielskie wioski, na pozór nietknięte przez upływ czasu, mijając ciche, idylliczne domy z epoki elżbietańskiej, otoczone omszałymi, rozsypującymi się murami, biegła wzdłuż zapuszczonych ogrodów, których drzewa tworzyły ponad wyboistą drogą dachy z gałęzi i listowia. Przydrożne tablice informowały, że niedługo dotrze do wybrzeża. Uświadomiła sobie wówczas, że od porannej mizernej przekąski w samolocie nie miała nic w ustach. Postanowiła, że zboczy z głównej drogi i rozejrzy się nieco po okolicy w poszukiwaniu jakiegoś zajazdu. Był jasny majowy wieczór; po deszczowym dniu niebo nagle przetało się i zatopiło wilgotną ziemię w powodzi słonecznego światła. Janet zawsze lubiła Kent, jednak rzadko kiedy czuła się tak urzeczona okolicą jak tego wieczoru. Wraz z chmurami zniknęły jej zmartwienia. Na kilka godzin stała się kobietą bez przeszłości i przyszłości, bez powinności i zobowiązań. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje, nikt nie mógł od niej niczego oczekiwać ani wymagać.

Kiedy zatrzymała się przed Ringlestone Inn i wysiadła z samochodu, w rześkim przedwieczornym powietrzu przeszedł ją dreszcz zimna. Mimo to już dawno nie czuła w sobie takiego wewnętrznego ciepła.

- Pewnie chce się pani dostać do Folkstone? - odezwał się gospodarz.

Janet potrząsnęła głową.

- Nie. Prawdopodobnie jeszcze dziś wrócę do Londynu. - Potarła dłońmi odkryte ramiona, ruchem głowy wskazując wolny stolik przy kominku. - Mogę tam usiąść?

- Oczywiście - gospodarz ochoczo podsunął jej krzesło. Janet usiadła. Od kominka buchał nieznośny żar. Pewnie nie wytrzyma przy nim dłużej niż pół godziny, lecz będzie mogła się rozgrzać i wysuszyć wciąż wilgotne od deszczu buty. Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie i stwierdziła, że znajdują się w nim głównie ludzie z okolicznych wiosek. Starsi mężczyźni popijali piwo, politykowali, dyskutowali o zbliżających się zniwach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Coraz bardziej poddawała się błogiemu uczuciu odprężenia. Zamówiła kurczaka z ryżem oraz szklaneczkę ginger, ale rzuciła się najedzenie, jakby umierała z głodu. Na talerzu nie został ani okruszek. Na deser poprosiła jeszcze o kawałek ciasta. Od lat cierpiała na niestrawność, często dostawała torsji. Dziś jednak czuła, że nie ma się czego obawiać. Nic jej nie zaszkodzi.

Kiedy sączyła kawę i zaciągała się papierosem, przysiadł się do niej gospodarz. Aż palił się do rozmowy; zagał wielce oryginalnie... uwagą o pogodzie.

- Miała pani lepszą pogodę, tam, skąd pani przybywa? - zapytał.

Janet zmarszczyła czoło.

- Ma pani na sobie letnie ubranie - wyjaśnił.

Janet spojrzała na siebie. Bawełniany sweter z krótkimi rękawami, lekka spódnica, zamszowe buty z plamami wilgoci. Roześmiała się.

- Dziś wczesnym rankiem przyleciałam do Londynu z Hamburga. W Hamburgu rzeczywiście było ciepło.

- Hamburg? Mój ojciec był tam, po wojnie!

- Naprawdę? - zdziwiła się Janet.

Gospodarz patrzył na nią tak rozpromieniony, jakby odkryli właśnie wspólnego przodka. Poczwała, że musi to wyjaśnić:

- Jestem rodowitą Angielką.

- Jak długo mieszka pani w Niemczech?

- Od dwudziestu pięciu lat. Wyszłam za mąż za Niemca.

Słowa te omal jej nie przeraziły. Ćwierć wieku! Wyjechała, mając osiemnaście lat. Była zbyt młoda, by wiedzieć, na co się decyduje.

- A teraz wybrała się pani do swojej ojczyzny w odwiedziny - stwierdził gospodarz. - Miło jest wrócić do domu, prawda? Pochodzi pani z tych stron?

- Nie. Urodziłam się i dorastałam w Cambridge. A dziś tak naprawdę zamierzałam

pojechać do Edynburga.

- Och... - gospodarz okazał zaskoczenie. Wydało mu się dość osobliwe, że ktoś wybiera się do Edynburga, a zamiast tego ląduje w Ringlestone Inn, pomiędzy Maidstone a Canterbury, w południowo-wschodniej Anglii.

Janet spojrzała na zegarek.

- Za dziesięć minut mój samolot do Edynburga startuje z Heathrow - powiedziała z zadowoleniem.

- Cóż, tego już pani nie złapie - przyznał gospodarz i uśmiechnął się nieco zakłopotany. Zaczął sobie uświadamiać, że w zachowaniu tej kobiety kryje się coś dziwnego. Nie potrafił tego nazwać, jednak było w niej coś szczególnego... Sprawiała wrażenie odprężonej, lecz wyczuwało się przejmujący ją strach i niepokój.

- No cóż - rzekł niepewnie - samoloty do Edynburga latają codziennie, nieprawdaż? W takim razie polecą pani jutro.

- Myślę - odparła Janet - że w ogóle tam nie polecę.

W zasadzie postanowiła tak postąpić już przed południem, kiedy około dziesiątej wysiadła w Londynie z samolotu. Celowo wybrała takie połączenie, by mieć jedenastogodzinną przerwę między lotami. Miała wtedy wóczas - jak wyjaśniła swemu mężowi, Phillipowi - dość czasu na niespieszne zwiedzanie Londynu.

- Przecież znasz Londyn jak własną kieszeń! - zauważył Phillip. - Co chcesz tam jeszcze zobaczyć?

- Już dawno tam nie byłam. Po prostu chcę nim odetchnąć, poczuć jego smak i zapach.

W rzeczywistości w ciągu tych jedenastu godzin zamierzała znaleźć jakiś sposób, by uniknąć wyprawy do Edynburga.

Sightseeing zakończyło się fiaskiem; deszcz lał jak z cebra i wcale nie zamierzał zelżeć. Janet skryła się w końcu u Har-rod's; biernie przemierzała piętro za piętro. Kupiła herbatę, marmoladę z pomarańczy i ciasteczka dla Phillipa oraz zegarek Swatch dla Maria. Zapłaciła funta za dostęp do luksusowych, wyłożonych złotem i marmurami toalet na pierwszym piętrze, gdzie próbowała się nieco odświeżyć. Patrząc w lustro nad umywalką, zauważyła, że wygląda na nieco zaniedbaną. Mokre od deszczu włosy poskręcały się w niesforne kędziory, a z pobludłej twarzy znikły wszelkie ślady koloru. Szminką i różem przywróciła jej nieco blasku, jednak strapiony, zatroskany wyraz pozostał. By poprawić krążenie, wypila przy barze w podziemiach dwa kieliszki szampana. W ten sposób odzyskała siły na tyle, by wrócić na lotnisko i wynająć samochód. Chciała znaleźć się jak najdalej od stolicy. Ruch lewostronny sprawiał jej z początku nieco trudności, ale gdy wjechała na

autostradę, szło jej już znacznie lepiej. Na wąskich drogach Kentu poczuła się już całkiem pewnie. Wciąż mruczała pod nosem:

- Jeśli nie chcę, nie muszę lecieć. W ogóle nic nie muszę robić, jeśli tego nie chcę!

Chciałaby mieć w sobie na tyle niezależności, by po prostu wrócić na lotnisko i odwołać lot do Edynburga, zamiast oszukiwać samą siebie i robić wszystko, żeby tylko nie zdążyć na czas na Heathrow.

- Nadal jesteś małą dziewczynką, która nie chce wziąć odpowiedzialności za swoje postępowanie - mruczała do siebie z niezadowoleniem.

Bądź co bądź ta ucieczka od odpowiedzialności nagrodziła ją uroczym dniem. Zwiedziła kawałek Anglii i odkryła czarujący pub. Powróciły wspomnienia dni spędzonych z Andrew.

Często wyruszali razem w nieznane, najchętniej zatrzymując się w miejscowościach, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Gospodarz, który oddalił się na chwilę, wrócił z dwoma kieliszkami do wódki.

- Na koszt firmy - wyjaśnił. Uniósł swój kieliszek.

- Pani zdrowie!

Janet odwzajemniła toast. Oboje wychylili kieliszki jednym haustem.

- Kiedy wraca pani do Niemiec? - spytał gospodarz. Janet wzruszyła ramionami.

- Pewnie jutro. Ale kto wie... - Nie dokończyła zdania. Chcąc zmienić temat, zapytała:

- Czy Ringlestone Inn należy do pana?

- Nie, nie. Tylko tu pracuję. Mieszkam w Harrietsham. - Aha.

- Mam żonę i piątkę dzieci - powiedział z dumą. - Szóste w drodze!

Janet przeszedł dreszcz, jednak ukryła swe przerażenie.

- Zawsze chciałem mieć dużo dzieci - wyjaśnił gospodarz. - A pani ma dzieci?

- Tak, dwoje.

- Chłopcy czy dziewczynki?

- Dwóch chłopców, bliźniaków.

- Bliźniacy! - Gospodarz był zachwycony. - To nam się jeszcze nie udało! Ile mają lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Co? Wygląda pani o wiele za młodo! Janet uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Miałam dziewiętnaście lat, gdy się urodzili. - i naprawdę wyglądają identycznie?

- Najzupełniej. To znaczy, potrafię ich oczywiście rozróżnić. Ich oczy, uśmiech... Nigdy bym ich nie pomyliła. Ale inni ludzie nie są w stanie. Nawet własnego ojca potrafili

wyprowadzić w pole.

Gospodarz słuchał z przejęciem. Nalegał tak długo, aż wkońcu pokazała mu fotografię. Miała przy sobie tylko jedną; dziesięcioletni chłopcy siedzieli przy stole w pokoju dziennym. Obaj byli ubrani w jednakowe czerwone golfy i niebieskie dzinsy. Łagodnym wzrokiem patrzyli w aparat. Zbyt łagodnym, pomyślała nie po raz pierwszy. Dwa małe aniołki.

Gospodarz nie potrafił się opanować.

- To nieprawdopodobne! Żadnej różnicy! Dobry Boże, nie wiedziałbym, który jest który!

- Nauczyciele w szkole też nigdy tego nie wiedzieli. Kilka razy prosili mnie, bym przynajmniej ubierała ich inaczej. Ale nic nie mogłam na to poradzić, zawsze chcieli nosić te same rzeczy. Byli... - Janet ucięła, jednak po chwili ciągnęła dalej: - Czuli się tak, jakby byli jednym człowiekiem, rozumie pan? Ciągłe zmieniali imiona, bo nie miały dla nich znaczenia. I zawsze wyręczali się nawzajem.

Gospodarz wpatrywał się w zdjęcie.

- Nie do wiary! - mruczał do siebie.

- To jest Maximilian - wyjaśniła Janet. - A to Mario. Jest pięć i pół minuty starszy.

- Mają miłe buźki, prawda? Musi pani zobaczyć moją piątkę. Bezczelne z nich smarkacze!

Oczywiście miał przy sobie stos zdjęć i pokazał je Janet. Wszyscy trzej synowie mieli szpary między zębami oraz piegi. Obie córki wyglądały jak chłopcy i na większości fotografii pokazywały język. Janet uznała, że dzieci gospodarza są nieco pospolite i nieokrzesane, powodem mógł być jednak fakt, że tak bardzo różniły się one od jej synów, co zauważyła z bólem. Odpowiedziała uprzejmie:

- Jakie miłe! - oraz: - Naprawdę urocze! - po czym zdecydowanym ruchem sięgnęła po portfel i poprosiła o rachunek.

Gospodarz zdawał się rozczarowany i nieco poirytowany, niemniej niezwłocznie spełnił jej prośbę. Janet wynagrodziła jego uprzejmość istic królewskim napiwkiem, wstała i wyszła z sali. Na zewnątrz zrobiło się naprawdę zimno i zupełnie ciemno. Niebo było pogodne, toteż Janet miała nadzieję, że po drodze nie złapie jej deszcz. W nocy słabiej widziała, a plucha pogarszała jeszcze sprawę. W samochodzie nastawiła ogrzewanie na maksimum, lecz ciepło zrobiło się dopiero po jakimś czasie. Błądziła po okolicy, nim wreszcie znalazła wjazd na M 20, prowadzącą do Londynu. Zaraz jednak znów z niej zjechała i ruszyła drogą krajową w kierunku Maidstone. Może tam przenocuje. Powrócił



dawny niepokój. Musiała zadzwonić do Phillipa jeszcze dziś, to nie ulegało wątpliwości. Obiecała mu, że odezwie się najpóźniej z Edynburga. Jeśli tego nie zrobi, gotów pomyśleć, że przydarzyło jej się jakieś nieszczęście.

W Maidstone zatrzymała się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej. Wygrzebała wszystkie drobne i wybrała numer. Phillip czuwał chyba przy telefonie, gdyż odebrał zaraz po pierwszym sygnale.

- Janet! Myślałem, że odezwiesz się wcześniej! Jesteś już w Edynburgu?

- Nie. Phillip... jestem w Maidstone. W Kent. Cisza.

- Co takiego? - zapytał zmieszany.

- Wypożyczyłam samochód i krążyłam po okolicy. Straciłam poczucie czasu.

- Nie, to niemożliwe! Jak chcesz teraz zdążyć na czas do Szkocji? Jutro rano, o dziewiątej, masz wizytę u tego pana... pana...

- Pana Granta.

- Tak, Granta. Wiesz przecież, jak trudno było to wszystko zorganizować! Janet, na Boga, ten człowiek nie musi się z nami liczyć, może cię już nie przyjąć w innym terminie... I co my teraz zrobimy? - Zdawał się zupełnie zdruzgotany.

Janet wrzuciła kolejną monetę. Jego przerażenie zabolowało ją. Znowu było widać, jak bardzo się różnią. Ich pragnienia były nie do pogodzenia.

- Nie mogłam, Phillipie - powiedziała cicho. W słuchawce usłyszała głębokie westchnienie.

- Celowo spóźniłaś się na samolot, czy tak? Milczała. W głosie Phillipa pobrzmiwała rozpacz.

- I co teraz zrobimy? Przecież wszystko omówiliśmy! Janet, nie ma innego wyjścia. Sama to w końcu przyznałaś!

- Nie, wcale nie. Ustąpiłam, ponieważ wywierales na mnie coraz większą presję.

- Janet, Maximilian nie może do nas wrócić! To po prostu wykluczone. Nie możemy wziąć na siebie takiej odpowiedzialności i...

Telefon już dwukrotnie ostro zapiszczał, połączenie w końcu zostało przerwane. Janet mogła wrzucić kolejne monety, ale nie chciała. Phillip z pewnością będzie chodził tam i z powrotem po pokoju, niczym tygrys w klatce, mając rozpaczliwą nadzieję, że telefon ponownie zadzwoni. Przez chwilę czuła, jak budzą się w niej wyrzuty sumienia, że zostawiła go w tym stanie wzburzenia. Potem jednak pomyślała przekornie, że zasłużył sobie na to. Lamentował i wyklócał się tak długo, aż w końcu uległa. Powinien był przewidzieć, że ona może zmienić zdanie już po wyjeździe. Wtedy nie czułby się, jakby spadł z obłoków.

Janet wzruszyła gwałtownie ramionami, jakby chciała strząsnąć z siebie jakiś ciężar. Następnie wrzuciła pozostałe monety i wybrała numer Andrew.

Phillip rzeczywiście stał koło telefonu jak wmurowany, czekając, aż Janet znów zadzwoni. Kiedy po półgodzinie telefon nadal milczał, dał za wygraną; poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę białego wina i nalał sobie kieliszek. Albo zabrakło jej drobnych, albo - co bardziej prawdopodobne - nie chciała się przed nim tłumaczyć i w ten sposób uniknęła dyskusji. Ot, cała Janet. Zawsze tak robiła. Kiedy mnożyły się problemy, decydowała się na ucieczkę - albo dosłownie znikła i nigdzie nie można jej było znaleźć, albo też uciekała w jakąś tajemniczą chorobę, która rzeczywiście przyprawiała ją o silne bóle i wysoką gorączkę.

- Zachowujesz się jak mała dziewczynka! - wrzasnął kiedyś na nią Phillip. - Czekasz, aż zjawi się ktoś, kto cię ochroni. Zamiast wstać i wziąć sprawy w swoje ręce!

Powinien był wiedzieć, że i tym razem ucieknie.

Znużony i wyczerpany siedział przy kuchennym stole, opróżnił drugi kieliszek wina i nasłuchiwał delikatnego szemrania deszczu. Dopiero gdy usłyszał, że ktoś cicho otwiera drzwi wejściowe, uniósł głowę.

- Nie musisz się skradać! - zawołał. - Nie śpię.

Do kuchni wszedł Mario, jego dwudziestoczteroletni syn. Ciemne włosy miał mokre od deszczu, a w dłoni trzymał ociekający wodą bukiet bzu. Niepewnym wzrokiem rozejrzał się wokół.

- Czekałeś na mnie? - zapytał. - Zrywałem kwiaty. Phillip spojrzał nań nieco zdumiony. Była już noc, padało.

- Zrywałeś kwiaty?

- Ja... nie byłem sam. - Mario wyjął z kuchennej szafki wazon, napełnił go wodą, po czym ułożył gałązki. Sprawiał wrażenie, jakby poczuwał się do wina, czego Phillip nie mógł zrozumieć. A zatem poznał jakąś dziewczynę - i widocznie zakochał się. Tylko w takim stanie zbiera się kwiaty w deszczową noc. Najwyższy już czas, by zaczął interesować się żeńską połową ludzkości. Mimo wszelkich zmartwień Phillip poczuł ulgę. Jak zawsze, gdy wśród członków swej rodziny zauważał oznaki normalności.

- Jak ma na imię? - zapytał.

- Tina. Znam... znam ją już od jakiegoś czasu. Phillip uniósł ramiona.

- Nie musisz mi nic wyjaśniać. Cieszę się, Mario! - Jego syn sprawiał wrażenie, jakby zapędzono go w koziego róg, dlatego Phillip taktownie zmienił temat. - Która godzina?

- Niedługo północ. Postanowiłeś się wstawić?

- Nie. Wypiłem tylko dwa kieliszki, nie więcej.

- Masz jakieś wieści od Janet? - Już w wieku siedmiu lat Mario i Maximilian zaczęli zwracać się do matki po imieniu. Janet wcale się to nie spodobało, lecz bliźniacy nie zrezygnowali.

- Zadzwoiła - odpowiedział Phillip. - Z Maidstone. To miasteczko w hrabstwie Kent. Mario wlepił wzrok w ojca.

- Jak to? Już dawno powinna być w Szkocji!

- Rozmyśliła się. To znaczy, prawdopodobnie nigdy nie zamierzała odwiedzić Granta. Ale ze mnie idiota! - Phillip uderzył się w czoło. - Powinienem być sam polecieć. Tylko... znasz mój mizerny angielski. I do tego jeszcze to ważne spotkanie w biurze... Mimo wszystko powinienem był to zrobić.

- I co teraz będzie?

- Jutro rano muszę zadzwonić do Granta i poprosić go o wyznaczenie nowego terminu. On naprawdę nie musi uczestniczyć w prywatnych sprzeczkach jakiejś niemieckiej rodziny. Blackstone Farm jest bardzo oblegana.

Mario przysiadł na krześle.

- Może Janet ma jednak rację - powiedział - że to wszystko nie jest dobre dla Maxa.

- To co w takim razie jest dla niego dobre? - spytał nerwowo Phillip.

- Chce wrócić do domu i znów z nami zamieszkać.

- To niemożliwe.

- Ale uważam, że...

- Mario, to wykluczone. Nikt nie może wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. W każdym razie nikt, kto nie ma ku temu odpowiednich kwalifikacji.

- On jest zdrowy, ojcze. Profesor Echinger mówi...

- Nie wierzę mu. Nikt nie może tego zagwarantować. Zmierzyli się wzrokiem. Phillip czuł gniew i głęboki niepokój, Mario siedział zamyślony i smutny.

- Najchętniej trzymałbyś go do końca życia pod kluczem, ojcze, to przecież jasne - odezwał się cicho.

- Dziwi cię to? - spytał szorstko Phillip.

- Nie podzielałam twoich uczuć. - Głos Maria brzmiał łagodnie. - To mój brat. Brat bliźniak. Czasami bardzo za nim tęsknię. Nocami słyszę, jak mówi do mnie. To przygnębiające, że nie mogę mu odpowiedzieć.

Phillip milczał. W końcu odparł:

- Tak czy owak, jutro rano zadzwonię do Granta. Mario skinął głową i podniósł się z

krzesła.

- Idę spać. Jutro o dziewiątej mam pierwszy wykład.

- Dobranoc - pożegnał go Phillip.

Na dworze szum deszczu wzmagął się, krople zaczęły bębnić o dach. Mario odczekał jeszcze chwilę, lecz ojciec znów pogrążył się w rozmyślaniach. Po cichu wyszedł z kuchni.

## Piątek, 26 maja 1995 roku

Tina Weiss prawie nie знаła swej matki, dlatego też rzadko zdarzały się w jej życiu chwile, kiedy z bólem serca odczuwała nieobecność kobiety, która byłaby dla niej autorytetem. Ojciec pokazywał jej fotografie. Z głęboką czcią patrzyła na piękną kobietę o jasnych włosach, jednakże w jej pamięci odżywało jedynie mgliste wspomnienie. Tina miała dwa i pół roku, gdy Marietta Weiss zmarła na raka, lecz nawet do tego czasu matka rzadko z nią przebywała. Ojciec skrupulatnie gromadził wszelkie wycinki prasowe oraz dłuższe artykuły, które w entuzjastycznych słowach rozpisywały się o karierze aktorki teatralnej Marietty Weiss.

- Była wybitną artystką - opowiadał ojciec - i dlatego stale była w rozjazdach. Dostawała jeden angaż za drugim. Błagałem ją, by nie przesadzała, bo odczuwała potworną treść. Kiedy miała wyjść na scenę, zieleniała na twarzy i drżała na całym ciele.

- Dlaczego w takim razie nie przestała? - spytała Tina, pełna współczucia dla tej obcej kobiety.

Michael Weiss potrząsnął głową.

- Nie potrafiła. Namietność do teatru trzymała ją przy życiu. - Ściszone głosem dodał: - I przyniosła śmierć. Jej organizm nie wytrzymał ciągłego napięcia. W końcu zemścił się za to.

Tina nie mogła narzekać na brak miłości, opieki czy wsparcia, ojciec obdarzał ją nimi w nadmiarze. Byli dla siebie wszystkim. Czasami nawet przychodziło jej do głowy, że nie wyobraża sobie obecności trzeciej osoby w swym domu, ba, nie potrafiłaby jej znieść. Dzielić z kimś miłość ojca? To nie do pomyślenia. Nie mogła nawet ścierpieć tego, że oprawiona fotografia jej matki wciąż stoi na nocnym stoliku Michaela, aczkolwiek nie odważyła się wyrazić swego niezadowolenia. Pocieszała się tym, że póki ojciec nie rozstaje się z Mariettą, w jego życiu nie pojawi się żadna inna kobieta. To bowiem bez wątpienia oznaczałoby prawdziwą katastrofę. Tina zdecydowanie wolała zdjęcie kobiety stojące obok jego łóżka niż leżącą w jego łóżku kobietę z krwi i kości.

A jednak od pewnego czasu ich stosunki popsuły się. Tina uświadomiła to sobie ponownie w ten piątkowy poranek, kiedy siedziała przy śniadaniu naprzeciw ojca i dostrzegła na jego czole bruzdę niezadowolenia. Widać było, że źle spał, i pewnie miało to związek z jego córką. Ściszej mówiąc: z jej późnym powrotem do domu poprzedniego wieczoru oraz z faktem, że znowu wałęsała się z „tym Mariem”.

- Jesteś dziś małowówny, ojciec - odezwała się Tina. Michael chwycił łyżeczkę i trochę nerwowo zamieszał w swej filiżance kawy.

- Była już prawie dwunasta, kiedy wróciłaś - odparł. Tina cicho westchnęła.

- Zrywaliśmy kwiaty. Bez. Widziałeś bukiet w pokoju dziennym?

- Nie.

- Ojciec, dwunasta to jeszcze nie tak późno!

- Za późno dla młodej dziewczyny, która za trzy dni zdaje ustną maturę!

- Przecież nie musisz się o to martwić! To prawda. Zawsze miała celujące oceny.

- Dla mnie ten Mario jest po prostu podejrzany, to wszystko - wyznał bez ogródek Michael. - Tak czy owak, jesteś za młoda, by mieć chłopaka!

- Mam osiemnaście lat. A moje koleżanki... - Tina urwała; w ostatniej chwili postanowiła nie wyjawiać ojcu, jakimi to zapierającymi dech przeżyciami przechwalały się jej koleżanki. Gdyby nawet połowa z nich była zmyślona, starczyłoby, żeby dogłębnie zszokować Michaela, w niej samej zaś wywołać poczucie, że jest jakąś gąską, która jak najszybciej musi nadrobić parę nadzwyczaj istotnych w życiu doświadczeń.

Michael nie zwrócił uwagi na niedokończone zdanie. Przyglądał się córce z uczuciem prawdziwego bólu. Tina wytrzymała jego spojrzenie; uświadomiła sobie ze współczuciem, co ojciec przeżywa w głębi serca. Jednakże egoizm młodości niezwłocznie dał o sobie znać. Oczekiwała od ojca, że w sposób dojrzały i rozsądny przystanie na to, czego ona, będąc na jego miejscu, nigdy by nie zaakceptowała: zerwanie ich długoletniej, czulej przyjaźni oraz nieskrywane oddanie się nowej miłości.

Poznała Maria z początkiem lutego, w pewien mroźny wieczór, kiedy to jedna z jej koleżanek zaprosiła ją na przyjęcie urodzinowe swego starszego brata. Byli na nim sami studenci i Tina czuła się całkiem zagubiona. Stała pośrodku domu, ściskając w dłoni szklanekę coli, i zastanawiała się, jak by tu niezauważenie zniknąć, gdy zagadnął ją jakiś młodzieniec. Miał ciemne włosy i bardzo ciemne oczy, a przy tym jego twarz była wyraźnie blada. Jak się potem okazało, gospodarz, który uważnie obserwował gości, poprosił go po cichu, by zajął się nieśmiałą Christiną Weiss. Szybko nawiązali rozmowę i wkrótce doszli do wniosku, że oboje niezbyt dobrze bawią się na tym przyjęciu, postanowili więc pójść razem coś zjeść. Kiedy Tina w końcu wróciła do domu, była pierwsza w nocy. Ojciec stał w drzwiach i aż kipiał ze złości.

- Umówiliśmy się na pół do dwunastej! - krzyknął, po czym chwycił ją za rękę i wciągnął do środka. - Gdzie byłaś?

- Pewien bardzo miły młody człowiek zaprosił mnie na kolację - odpowiedziała Tina,

rozcierając obolały nadgarstek. - Straciliśmy poczucie czasu.

- Nigdy więcej się z nim nie spotkasz!

- Mam osiemnaście lat, ojciec - zaprotestowała Tina i spojrzała Michaelowi przekornie w oczy.

Następnego wieczoru Michael wziął ją w krzyżowy ogień pytań.

- Ile ma lat? Czym się zajmuje? Jak się nazywa? Kim są jego rodzice?

Tina odpowiedziała na wszystkie pytania w nadziei, że tym sposobem zdoła uniknąć sprzeczek z ojcem.

- Nazywa się Mario Beerbaum. Ma dwadzieścia cztery lata i studiuje prawo.

- Ach - odparł zaskoczony Michael, który sam był prokuratorem.

- Sześć lat temu przeprowadził się razem z rodzicami z Monachium do Hamburga.

Założyli tu kancelarię doradztwa podatkowego i dobrze im się powodzi.

- Hm. Ma rodzeństwo? - Nie.

Michael musiał przyznać, że nic w tej relacji nie budziło jakichkolwiek podejrzeń. Mimo to nie przypadła mu do gustu. Wzbraniał się poznać Maria osobiście i cierpiał katusze, kiedy Tina spędzała z nim czas.

- Wczoraj wieczorem, kiedy cię nie było, zadzwoniła ciotka Paula - oznajmił. - Chciała się dowiedzieć, jak tam twoja matura.

- Wszystko dobrze, jak mogłoby być inaczej - odparła chmurnie Tina.

Niezbyt lubiła ciotkę Paulę. Starsza siostra Michaela była surową, pozbawioną poczucia humoru kobietą, która nigdy nie wyszła za mąż. Mieszkała w Berlinie, twierdząc uporczywie, iż przed czterdziestu laty miała tam wielbiciela, który nieszczęśliwie zmarł na zapalenie płuc, zanim zdążył ją poślubić. Tina wątpiła w prawdziwość jej słów. Jej zdaniem Paula chciała w ten sposób zatuszować skazę staropanieństwa, jaka ją naznaczyła z racji kościstej sylwetki, wąskich ust oraz całkowitej rezygnacji z wszelkich ziemskich uciech. Brat i bratanica w równym stopniu traktowali ją jak swarliwą zrzędę, choć Michael przynajmniej rozumiał, że mimo wszystko była do nich serdecznie przywiązana, i dostrzegał tragizm jej samotnego, niewesołego życia. Tina natomiast nie potrafiła okazać wyrozumiałości kobiecie, która wciąż się jej czepiała i nieustannie ją krytykowała.

- Paula chciałaby zaprosić cię po maturze do siebie, do Berlina - powiedział Michael. - Chce ci pokazać miasto i okolice.

- Chryste, przecież znam Berlin - obruszyła się Tina. - Byliśmy tam już ze sto razy!

- Ale zawsze tylko na krótko. A okolicy w ogóle nie znasz, przedtem nie wolno było tam jeździć.

- Ojcie, proszę! Nie chcę włożyć się za tą zasuszoną, chodzącą książką historyczną i słuchać bez końca jej wywodów o tym, jak to powinnam porządnie czesać włosy i nie nosić tak obcisłych dżinsów!

- Ona ma dobre chęci. Chce ci sprawić frajdę i...

- To niemożliwe - przerwała mu Tina. Nie patrzyła na ojca. - Po maturze wyjeżdżam z Mariem na jakiś czas.

Cisza. Po chwili rozległ się cichy głos Michaela:

- Co takiego?

- Muszę. I tak zrobię.

- Dlaczego musisz?

- Nie zrozumiesz - ucięła Tina. Ojciec był ostatnim człowiekiem, z którym chciałyby porozmawiać o problemie dotyczącym Maria.

Dom był stary, liczył sobie ponad sto lat. Wzniesiony z kamienia, z zewnątrz nieco przysadzisty, wewnątrz chaotycznie rozplanowany, podniszczony, przytulny. Stał pośród rozległych łąk i pól. Przed portalem wejściowym znajdował się szeroki brukowany dziedziniec. Aleja targanych wiatrem wierzb prowadziła aż do lokalnej drogi, która niczym szara wstęga wiła się wśród pól rzepaku. Rzadko kiedy przejeżdżał nią jakiś pojazd. Tutaj, na północnym krańcu Niemiec, niecałe dwa kilometry od granicy z Danią, dni i noce mijały w spokoju. Kilka pojedynczych domostw z czerwonego klinkieru, łaciate krowy pasące się na soczyście zielonych łąkach, niewielkie miejscowości, w których wszyscy się znali. Turyści pojawiali się jedynie przejazdem, kierując się dalej, do Skandynawii, albo na Wyspy Północnofryzyjskie. Idylliczne zatoczki na wybrzeżu Bałtyku nie zostały jeszcze na dobre odkryte.

Ów stary dom był wcześniej częścią ogromnego majątku; stajnie i stodoły zostały w międzyczasie rozebrane. Rezydująca tu ongiś rodzina rozjechała się w cztery strony świata. Młode pokolenie właścicieli uznało w pewnym momencie, że niezwykle kosztowne utrzymywanie feudalnego dworu, który stał pusty praktycznie przez cały rok, było nieopłacalne. Od czasu do czasu szukała tam schronienia ta czy inna prawnuczka budowniczego domu, by otrząsnąć się z przygnębienia po miłosnym zawodzie bądź przygotować się do egzaminu. Niekiedy rodzina spędzała tam letnie wakacje, nudząc się niemilosiernie. Parę razy podjęto też próbę zorganizowania w starodawnych wnętrzach uroczystości bożonarodzeniowych czy sylwestrowej zabawy dla wszystkich członków klanu, jednak zawsze dochodziło wówczas do gwałtownych kłótni i przedwczesnego wyjazdu gości. Z początkiem lat osiemdziesiątych podjęto w końcu decyzję o sprzedaży posiadłości. Nowym



właścicielem został pewien samotny mężczyzna, profesor psychoterapii z Hamburga. Pięćdziesięcioletni Friedrich Echinger, otrzymawszy w odpowiedniej chwili spadek, zrealizował marzenie swego życia i w tej nordyckiej samotni założył prywatną klinikę neurologii i psychoterapii. Po trudnym początku obecnie zakład był już oblegany i niełatwo było zdobyć w nim miejsce. Echinger zatrudnił wybitnych lekarzy, ludzi pełnych idealizmu i zaangażowania, których nie odstraszało odosobnienie tego miejsca. Opieka uchodziła za wzorową.

Maximilian Beerbaum stał przy oknie w pokoju na pierwszym piętrze i spoglądał na zroszony deszczem majowy krajobraz. Właśnie teraz szemrzący przez całą noc deszcz nieco zelżał. Chmury rozeszły się, zajaśniał błękit nieba. Mokre od deszczu pola rzepaku kołysały się na lekkim wietrze. Olbrzymie liście rosnących w ogrodzie paproci połyskiwały ciemną zielenią i wilgocią. Ptaki witały głośnymi trelami pierwsze słoneczne promienie. Na okalającym ogród murze przysiadł rudzik i dziobał z zapalem w szczelinach między kamieniami. Styłowy mur, zbudowany z prostokątnych szarozielonych kamieni, miał trzy metry wysokości i należał do niewielu elementów, które przypominały, iż tego domu nie można opuszczać zupełnie swobodnie.

- Przestaje padać - stwierdził Maximilian, odwracając się od okna.

Profesor Echinger siedział w czarnym, obitym skórą fote-lu w przedniej części pokoju. Założył nogę na nogę, ręce zaś oparł na kolanach. Obserwował Maximiliana sponad wąskich złotych oprawek okularów do czytania.

- Może wyruszy pan później na jedną ze swych długich wędrówek - zaproponował.

Maximilian wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Kiedy rok temu po raz pierwszy wolno mi było samemu, bez dozoru, przejść przez tę bramę, był to dla mnie istny cud. Nie mogłem się tym nacieszyć. Włóczyć się po łąkach, wylegiwać nad stawem, obserwować zaby...

- Brakowało panu tej wolności przez te wszystkie lata, nieprawdaż? - zapytał ostrożnie Echinger.

Maximilian przytaknął. Wrócił na swoje miejsce naprzeciw profesora. Nie rozsiadł się jednak wygodnie w fotelu, lecz oparł obie ręce na kolanach i skrył głowę w dłoniach.

- Z początku było mi bardzo ciężko, wie pan o tym. Pierwsze dwa lata były... ach, lepiej zapomnijmy o tym. Z biegiem czasu doceniłem to, że jestem tutaj, a nie w więzieniu. Zacząłem dostrzegać pozytywne strony mojej sytuacji. Ale wdzięczność nie jest szczególnie trwałym uczuciem, nie sądzi pan? Depresje już nie powracały, ale mimo wszystko czułem się... jakby to miejsce stało się więzieniem. - Maximilian umilkł na chwilę, po czym uniósł

wzrok i spojrzął na profesora. - Mam nadzieję, że moje słowa nie uraziły pana?

- Ależ skąd - odparł Echinger. - Dobrze rozumiem pańskie odczucia. Proszę powiedzieć, co pan teraz czuje, kiedy pomyśli pan o powrocie do domu?

Maximilian zaśmiał się cicho, wstał znowu i stanął za fotelem.

- Do domu! Przecież wie pan, że to nie jest już dla mnie możliwe!

- Sprawy wciąż jeszcze się nie wyjaśniły?

- Mój ojciec stanowczo sprzeciwia się temu, bym wrócił do rodziny. Matka jest innego zdania, ale nie zdoła go przeforsować. Mam zapewnione miejsce na tej okropnej farmie w Szkocji.

- Ale pan bynajmniej nie dąży do tego, by tam się udać?

W oczach Maximiliana pojawił się wyraz cynizmu. Profesor Echinger uświadomił sobie po raz kolejny, jak inteligentnym i - by użyć banalnego słowa - przystojnym był on człowiekiem. Jego oczy miały barwę tak głębokiego brązu, że sprawiały wrażenie czarnych jak węgielki. Uśmiechem zdawał się obejmować każdego swego rozmówcę. W ciągu kilku sekund potrafiłby zjednać sobie sympatię zupełnie obcych ludzi. Niestety, umiejętność ta w żadnym razie nie ułatwiała mu życia.

- Wie pan, jacy ludzie mieszkają na tej farmie? Narkoma-ni, kryminaliści, alkoholicy. Proste życie na wsi w niewielkiej społeczności, opieka nad zwierzętami, ciężka praca w polu mają umożliwić im powrót do życia w społeczeństwie. Być może niektórym to pomaga, ale...

- Tego rodzaju projekty sprawdziły się.

- Owszem. Ale ja jestem przecież zdrowy. Po co miałbym orać pole i spać na drewnianej pryczy?

- Inni młodzi ludzie, którzy tam przyjeżdżają, także nie są już chorzy - odparł Echinger. - To byli narkomani. Byli alkoholicy. Byli kryminaliści. Musi pan się nauczyć...

- Byli kryminaliści... - przerwał mu Maximilian. - Jak ja.

- Ma pan dwadzieścia cztery lata, jest pan dorosły. I wolny. Na podstawie wielu niezależnych ekspertyz sąd krajowy orzekł zawieszenie pańskiego pobytu tutaj. Nikt nie może pana zmusić, by udał się pan, dokądkolwiek, jeśli pan tego nie chce. Owszem, podlega pan pewnej kontroli, sprawowanej przez pańskiego kuratora; co prawda wyraził on zgodę na wyjazd do Szkocji, niemniej nie będzie forsował tego planu wbrew pańskiej woli. Może pan odmówić.

|i

Maximilian uśmiechnął się.

- Teoretycznie, być może. Ale jak będzie wyglądać moje życie, kiedy opuszczę te

mury? Nie ukończyłem szkoły, nie mówiąc już o zdobyciu jakiegoś wykształcenia. Nie mam pieniędzy. Mam za to papiery poświadczające sześćioletni pobyt w klinice psychiatrycznej. Pomijając... - przygryzł wargi.

- Tak? - podjął Echinger.

- Powód, dla którego w ogóle tu się znalazłem - dokończył cicho Maximilian.

Echinger spojrział na mały zegar stojący przed nim na stoliku. Dzięki niemu mógł kontrolować czas, nie drażniąc przy tym pacjentów zerkaniem na zegarek na ręce.

- Nasz czas, niestety, dobiegł końca. Z pewnością porozmawiam raz jeszcze z pańskim ojcem.

- To nic nie da. Chce, bym wyjechał jak najdalej od niego. Szkocja! Ustronna farma gdzieś w samotnej głuszy. Sądzi pan, że wybrał ją przypadkowo? To cud, że nie posyła mnie prosto do Ameryki! - Maximilian podszedł do drzwi. Profesor podniósł się z fotela, zdjął okulary. Maximilian wiedział, że terapia w tutejszej klinice pod okiem samego Echingera była przywilejem. Profesor miał wysokie kwalifikacje. Problem w tym, że jego wpływ sięgał co najwyżej do końca alei prowadzącej do jego dworu. Potrafił postawić pacjenta na nogi, potem jednak musiał pozwolić mu iść dalej samodzielnie. Maximiliana przeniknęło nagle uczucie, iż poza tą dziką, mokrą od deszczu, otaczającą go samotnością czyha świat, który kryje w sobie wyłącznie niebezpieczeństwo i wrogość - on zaś, po tylu latach spędzonych w tej bezpiecznej przystani, nie będzie umiał sobie z nim poradzić. Na kilka chwil poddał się owej panice, której doświadczył dopiero tutaj, a z którą zmagał się przez ostatni rok aż do całkowitego wyczerpania. Poczul, że pobladł na twarzy. Ten krytyczny moment nie uszedł uwagi profesora.

- Pański brat - odezwał się - brat bliźniak... chce, żeby pan wrócił, prawda?

Maximilian, który położył już dłoń na klamce, odwrócił się.

- Mario... sam nie wiem. Zmienił się od jakiegoś czasu. Coś... on nie chce o tym mówić. Mam wrażenie, że oddala się ode mnie. - Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Profesor podszedł zamyślony do swego biurka, wyjął z szuflady duży, oprawny w skórę notatnik i zapisał w nim kilka informacji uzyskanych w ciągu ostatniej godziny. Zastanawiał się, dlaczego nagle poczul się tak bardzo znużony. Tak bardzo przygnębiony i stary.

Odłożył ołówek, wstał, podszedł do okna i otworzył je. Odetchnął głęboko świeżym, przesyconym wilgocią powietrzem.

Zawsze był zdeprymowany, kiedy musiał odesłać swojego pacjenta. Krytyczny wobec

samego siebie, powtarzał sobie często, że takie postępowanie jest niewłaściwe i nie przystoi terapeutę. Mimo iż usilnie starał się tego unikać, wcielał się w rolę ojca każdego człowieka, który siedząc przed nim na krześle, pozwalał mu zajrzeć w głąb swej psychiki, szukał u niego rady, pociechy, pomocy, i przez pewien czas uznawał go za najwyższą instancję w zmaganiach z własnym życiem. A kiedy potem musiał odsyłać pacjentów z tych opiekuńczych murów swego domu, kiedy musiał ich znów powierzyć światu, życiu i całej jego nieprzewidywalności, czuł się tak, jakby odrywał od serca własne dzieci i wrzucał je do rzeki - nigdy nie mając pewności, czy umieją pływać. W chwilach gdy szczególnie surowo oceniał własne postępowanie, wyrzucał sobie, iż ów rzekomy strach o dalszy los swych podopiecznych to jedynie próba zwodzenia samego siebie - nawet jeśli nie powinien był traktować swych pacjentów jak dzieci, to jednak skrywał owo uczucie pod płaszczykiem troski, współczucia, odpowiedzialności. Niewybaczalnym błędem byłoby, gdyby w istocie nie potrafił znieść myśli, że traci swój wpływ na nich, że nie jest już dłużej kotwicą, której mogliby się uchwycić. Jakież urojenia o wielkości żywiło się w tym odosobnieniu, za wysokim murem kliniki, w której było się dla pacjentów ojcem, matką, Bogiem?

Dlaczego trafił go akurat los Maximiliana Beerbauma? Bo znał trudne problemy młodego człowieka, którego wciąż odpychał od siebie własny ojciec? Czy też dlatego, że musiał pożegnać pacjenta, który tak naprawdę nigdy do niego nie przylgnął, ani w ciągu dwóch pierwszych lat głębokiej depresji (tęsknił wówczas za matką i bratem), ani później, kiedy powracał do zdrowia. Wręcz przeciwnie; z pomocą swej cynicznej inteligencji Maximilian czasem odgradzał się od niego murem, stwarzając często drwiący dystans wobec swego terapeuty. Czy Maximilian Beerbaum - choć mógłby być dumny z błyskotliwego rozwoju swego „przypadku” - naruszał jego poczucie własnej wartości?

Myśl ta zasiała w nim głęboki niepokój. Mimo niezłomnej uczciwości wobec samego siebie nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie w sposób zadowalający. Kiedyż to jednak ludzka dusza podszeptowała zadowalającą - a zadowalającą profesor zdefiniowałaby w tym przypadku jako jednoznaczną - odpowiedź na którekolwiek z pytań?

Być może to właśnie było powodem jego znużenia - zajmowanie się przez całe życie nauką, która w ścisłym znaczeniu nauką nie jest. Nauką, w której dwa plus dwa nie równa się cztery, lecz pięć albo osiem. W której rozmyślenia nad psychiką, własną bądź cudzą, z łatwością mogły doprowadzić do nieustannego neurotycznego rozdarcia.

To męczące, pomyślał, bardzo męczące, nie znajdować nigdy odpowiedzi.

Zamknął oczy.

Andrew Davies wciąż zajmował niewielkie mieszkanie w Chelsea, którego adres

podał Janet w swym ostatnim liście, wysłanym przed laty do Niemiec.

Kiedy Janet zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru z Maidstone, była niemal pewna, że odbierze ktoś obcy i poinformuje ją, iż Andrew wyprowadził się dawno temu. Kiedy usłyszała jego głos - owo charakterystyczne „Hello?” - wprost oniemiała ze zdziwienia. Dopiero gdy padło gniewne „Kto mówi?”, odzyskała panowanie nad sobą.

- To ja. Janet.

Tym razem zamilkł Andrew. Po chwili zapytał z niedowierzaniem:

- Janet? To niemożliwe!

- A jednak. Jestem przypadkiem w Anglii i pomyślałam, że się odezwę.

- Jesteś w Londynie?

- Nie, w Maidstone. Ale jutro rano będę w Londynie. - Co prawda zamierzała jeszcze dziś w nocy przybyć do Londynu i poszukać jakiegoś hotelu, nie chciała jednak, by odniósł wrażenie, że się mu narzuca.

- Jutro rano? - Rozwagał coś przez moment. - Myślisz, że moglibyśmy się spotkać?

- Tak. Jeśli masz czas.

- Jutro przez cały dzień, niestety, nie mogę. Ale wieczorem, tak od pół do szóstej byłbym wolny. Nie będzie za późno?

Janet zastanawiała się, czy może jednak nie chce się z nią zobaczyć i przypadkiem nie zaproponował tego terminu w nadziei, że do tego czasu ona już wyjedzie. Postanowiła zaryzykować.

- Zabawię w Anglii na dłużej - odrzekła - a zatem mam czas.

Andrew sprawiał wrażenie szczerze uradowanego.

- A więc jesteście umówieni. Gdzie się spotkamy?

- Mogłabym wstąpić po ciebie. O szóstej.

- Okay, Janet. Cieszę się!

Na tym zakończyli rozmowę. Janet dojechała do Londynu, zwróciła samochód i wynajęła pokój w hotelu. Następnego ranka stwierdziła, że jeśli rzeczywiście zamierza zostać na dłużej, koniecznie musi kupić jakieś ubrania i przede wszystkim bieliznę na zmianę. Jej karta kredytowa była wystawiona na konto wspólne z Phillipem. Mogła sobie wyobrazić, że nie będzie zachwycony, jeśli pokryje z niego wszelkie wydatki swego nieplanowanego wypadu do Anglii; zaraz jednak przegnała tę myśl. Znow udą się do Harrodsa, kupiła bieliznę, pończochy, parę mocnych butów, dzinsy, dwa swetry oraz sukienkę. Zawsze kiedy obawiała się, że pograży się w rozmyślaniach o Phillipie i Mariu, nakazywała sobie natychmiast zająć się czymś zupełnie innym. Na przykład znikła w przy-mierzalni z

sukienką, której zakup w ogóle nie wchodził w rachubę, i wciskała się w nią tylko po to, by roześmiać się na widok nazbyt śmiałego dekoltu. Zastanawiała się przy tym, czy rzeczywiście istnieją kobiety, które mają dość odwagi, by pokazać się w czymś takim między ludźmi. W ten sposób do popołudnia zdołała oderwać się od nierozwikłanych problemów rodzinnych, później zaś była tak bardzo zdenerwowana czekającym ją spotkaniem z Andrew, że nie potrafiła już myśleć o niczym innym.

Nagle uświadomiła sobie, że wygląda zupełnie nieatrakcyjnie. Sukienka, którą kupiła, źle na niej leżała, sprawiała wrażenie prostej i niemodnej. Jej włosy zlepily się w strączki i straciły połysk. Miała zmęczone, zapadnięte oczy. Trwożliwie dotknęła szyi, omacała ją dłońmi, bezlitośnie szukała wzrokiem każdej zmarszczki. Nie należała do kobiet, które dręczy lęk przez starością, teraz jednak uprzytomniła sobie, że kiedy Andrew widział ją po raz ostatni, miała zaledwie dwadzieścia pięć lat - była wtedy bardzo seksowna, bardzo pociągająca, a czasem też nieco bezwstydna.

- A dziś masz czterdzieści trzy - powiedziała do swego odbicia w lustrze. - Po co w ogóle idziesz do tego mężczyzny?

Wydawało jej się, że to dobre pytanie. Zachowała się niestosownie. Andrew zastanawiał się nad tym, gdzie mogliby się spotkać, ona zaś od razu wypaliła, że przyjdzie do jego mieszkania. Czy tak wypada - nawet jeśli spędziło się z owym mężczyzną najbardziej szalone noce swego życia?

- Po prostu tam nie pójde - powiedziała do siebie. - On nie wie, w którym hotelu mieszkam, więc nie może nawet zadzwonić i zapytać, gdzie się podziewam. Unieszkodliwi go tak samo jak Phillipa.

Tyle że Andrew nie był Phillipem i Janet zawsze traktowała go inaczej. Nie rzuciła go ot tak, bez słowa wyjaśnienia, nigdy nie wyładowywała na nim swych humorów, nie szarpała mu nerwów krzykiem, nie dobijała go zawziętym milczeniem. Phillip za każde niewłaściwe słowo mógł się spodziewać trzaskania drzwiami, potoku łez, tłuczenia naczyń oraz trwającej tygodniami odmowy współżycia. Andrew natomiast traktowała w aksamitnych rękawiczkach nawet wtedy, gdy ją zdradzał i upokarzał.

I tak oto Janet ruszyła na spotkanie, dodawszy sobie nieco odwagi buteleczką szampana z minibarku. Podjechała taksówką do Chelsea Embankment, a potem poszła piechotą wzdłuż rzeki aż do Cheyne Walk. Ciepły maj owy wieczór sprawił, że od razu poczuła się lepiej. Przez cały dzień nie spadła już ani kropla deszczu, od wczoraj wyraźnie się ociepliło. Drzewa rozkwitły w pełni, ich gałęzie igrały na wietrze, wokół unosiła się woń rzeki i alg, na Tamizie kołysały się białe łódki. Złocisty blask wieczoru skusił wiele osób do

spaceru. Panowie w szarych garniturach wracali z biur do domów, pary zakochanych, ciasno objęte, przechadzały się pod drzewami, starszycy drzemali na ławkach, a dzieci bawiły się lub jeździły na deskorolkach. Janet skręciła w Old Church Street. Kiedy dotarła do King's Road, była w wyśmienitym nastroju, poczuła się piękna i polubiła nawet sukienkę, którą włożyła. Odżyły w niej uczucia, o których istnieniu zdążyła już niemal zapomnieć: wolność, lekkość, beztrudne, niecierpliwe wyczekiwanie na to, co przyniesie przyszłość.

Andrew mieszkał przy Chelsea Square. Kiedy Janet zadzwoniła pod „Davies”, poczuła rumieńce na policzkach i wiedziała, że jej oczy odzyskały blask. Rozległ się brzęczyk; weszła do środka. Andrew przechylił się przez poręcz na piętrze i zapytał:

- Janet?

Oczy z trudem przywykały do półmroku. Zamrugła powiekami.

- Tak, to ja.

Weszła po schodach na górę.

Kiedy Mario wrócił wieczorem do domu, był zaskoczony, widząc ojca w ogrodzie. Phillip na swój własny, powolny i pedantyczny sposób zabrał się za pielęgnowanie różanej grządki. W żadnym razie nie był miłośnikiem kwiatów i nie miał ani krzty zręczności w obchodzeniu się z nimi, stąd też unikał wszelkich prac w ogrodzie. Musiał go dopaść jakiś głęboki kryzys, skoro wyszedł z domu i zaczął grzebać w ziemi.

- Myślałem, że wyjedziesz do Szkocji - powiedział Mario.

Phillip, trzymając w rękach sekator jak bagnet, przycinał krzewy róż, zmieniając je w mizerne kaleki.

- Dzwoniłem do Granta - wyjaśnił wściekły. - To najbardziej arogancki człowiek, jakiego spotkałem. Powiedział, że skoro Janet nie uznała za konieczne pojawić się punktualnie w ustalonym terminie, przyznał miejsce komu innemu.

Phillip stulił usta w ciup i afektowanym falsetem naśladował mowę Granta.

- Jak pan sądzi, jak długa jest lista oczekujących? Nie mogę pozwolić, by inni ludzie potrzebujący pomocy czekali tylko dlatego, że pańska żona nie może się zdecydować!

Sekator szcęknął gniewnie, a gruba gałąź z ciemnoczerwonym pękiem wystrzeliła w powietrze. Mario chwycił Phill i pa za rękę.

- Co ty wyrabiasz z tymi biednymi różami?

- Trzeba je od czasu do czasu przycinać, prawda? - wyjaśnił niepewnie Phillip.

- Raczej jesienią. Na pewno nie teraz - odparł Mario. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądał jak szarmancki, lekkomyślny włoski aktor. - Kiedy wraca Janet?

Phillip poniechał dalszego dręczenia róż i odłożył sekator. Powoli zdjął ogrodowe

rękawice.

- Nie wiem - odpowiedział. - Od wczorajszego wieczoru nie mam od niej żadnych wiadomości.

Mario popatrzył na niego, zaskoczony.

- Nie zadzwoniła? - Nie.

- I... mówisz to tak zwyczajnie? Może coś jej się stało!

- A co według ciebie powinienem zrobić?

- Nie wiem... Ale nie możemy tak po prostu nic nie robić!

- Może odwiedzi przyjaciół z dawnych czasów. Zadzwoń do jej ciotki Liz w Ely. Jeśli Janet zjawi się u któregoś z nich, Liz będzie o tym wiedzieć i powiadomi mnie.

- To nie w porządku z jej strony - powiedział rozgniewany Mario. - Włóczy się gdzieś po Anglii, zostawiając nas w niepewności!

- Myślę, że w tej chwili ucieka przed ciężarem problemów. Nie wie, podobnie jak ja, co zrobić z Maximilianem, i po prostu znika.

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem tego wszystkiego. Dlaczego on nie może znowu zamieszkać z nami?

- Nikt tu nie wie o jego istnieniu. Jak mielibyśmy wyjaśnić jego nagłe pojawienie się?

- Chodzi ci tylko o ludzi?

- Wiesz, Mario, mamy tu już jako taką pozycję. Jestem doradcą podatkowym. Ludzie będą przychodzić do mnie, jeśli będą mi ufać. Wiem, że dla twojego pokolenia to zwykle kołtuństwo, ale dla mnie to rzecz najwyższej wagi, by mieć dobrą reputację. Jeśli się rozniesie, że mój syn... - Umilkł. Rzucił niedbale rękawice w trawę. - Chodź. Wejźmy do środka i zobaczymy, co można zjeść na kolację.

Kiedy obaj stali w kuchni, zajęci krojeniem pomidorów i szatkowaniem ogórków, Mario powiedział mimochodem:

- Tina zdaje w poniedziałek ustną maturę.

Phillip zdziwił się, po chwili jednak przypomniał sobie. Tina, dziewczyna, o której Mario opowiadał poprzedniego wieczoru.

- Jak długo się znacie? - spytał.

- Od początku lutego.

- Nigdy nic nie mówiłeś. Mario wzruszył ramionami.

- Chciałem zachować to najpierw tylko dla siebie.

- Rozumiem. A teraz zdaje maturę?

- Zgadza się. Tydzień później, w poniedziałek po Zielonych Świątkach, chcielibyśmy



razem wyjechać. Na dłużej.

Phillip zsunął pomidory do salaterki.

- Oczywiście. Musi wypocząć, czyż nie? Dokąd chcecie jechać?

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Myślałem o Prowansji.

- O Duverelle?

- Nikt z nas nie był tam od wieków. Można by przy okazji zrobić w domu porządki.

- Już od jakiegoś czasu zastanawiam się nad jego sprzedażą - przyznał Phillip. - Trzeba płacić za jego utrzymanie, choć w ogóle z niego nie korzystamy.

- Ale wiąże się z nim tyle wspomnień. Wszystkie nasze poprzednie wakacje...

- Tak - przerwał Phillip - poprzednie... - Przez chwilę igrał w myślach z kilkoma uroczymi mglistymi obrazami, potem jednak zauważył, że syn patrzy nań wyczekująco.

- Jeśli o mnie chodzi, możecie spędzić tam urlop. Kiedy bądź. Obawiam się jednak, że twoja Tina będzie się tam nudzić. Pewnie wolałaby zatrzymać się w jakimś szykownym hotelu na Lazurowym Wybrzeżu?

- Spodoba jej się - odparł Mario. - Kiedy się spotkamy, od razu przekażę jej dobre nowiny.

Ton jego głosu wprowadził Phillipa w konsternację. Z zadumą przyglądał się synowi. W jego słowach brakowało radości, nie wyglądał też na szczęśliwego. Sprawiał wrażenie, jakby wyjazd z Tiną wcale go nie cieszył.

- Musisz coś źle robić - stwierdziła Dana.

Siedziała na parapecie w pokoju Tiny, z nogami na oparciu fotela. Na kolanach trzymała rozłożony podręcznik do fizyki.

- Pewnie wcale go nie zachęcasz. Tina leżała na brzuchu na środku pokoju; miała przed sobą taki sam podręcznik i była równie mało zainteresowana jego treścią jak jej przyjaciółka. Znały się z Daną od pierwszej klasy. Ufały sobie bezgranicznie i nie miały przed sobą tajemnic. Bardzo się różniły wyglądem: zgrabna, filigranowa blondynka Tina sięgała krzepkiej, ciemnowłosej Danie ledwie do pół głowy. Dana już w wieku dwunastu lat nabrała kobiecych kształtów, Tina zaś nawet teraz, mając lat osiemnaście, wciąż wyglądała jak chuderlawe dziecko. Czuła się czasem zdeprimowana, widząc, jak silny wpływ wywiera Dana na mężczyzn. Przyciągała ich w magiczny wprost sposób, gdziekolwiek się znalazła. Naturalnie zdążyła już zakosztować wszelkich smaków życia: seksu, haszyszu, przelotnych romansów z podejrzanymi typami. Z gangiem motocyklowym wybrała się do Hiszpanii na festiwal rockowy, na własną rękę przemierzyła Kanadę. Przez cały rok raz w tygodniu - a miała wtedy piętnaście lat - spotykała się z podstarzałym kochankiem w apartamencie w

hotelu Atlantic, pozwalając karmić się kawiozem i gromadząc przy tym całą kolekcję modnych ciuchów. Jednocześnie związana była z pewnym długowłosym włóczęgą, z którym zabawiała się na tylnym siedzeniu jego rozklekotanego kolorowego garbusa. Dana ani nie była zarozumiała, ani też nie miała żadnych zasad. Brała z życia to, co sprawiało jej frajdę, a jako że jej matka, liberalna dziennikarka samotnie wychowująca córkę, pozwalała jej dosłownie na wszystko, nigdy nie napotykała na żadne bariery. Mimo to łączyła ją wzruszająca przyjaźń ze staromodną Tiną, która razem ze swym konserwatywnym ojcem Michaelem stanowiła dla niej oparcie, jakiego zawsze, choć nieświadomie, poszukiwała.

- Może poczuł się onieśmielony tym, co mu mówiłam o moim ojcu - Tina podchwyciła uwagę Dany. - Na pewno myśli, że ojciec go zastrzeli, jeśli tylko za bardzo zbliży się do mnie.

- Ta obawa nie jest oczywiście całkiem bezpodstawną - odparła Dana.

Miała na sobie dzinsy oraz top, który odsłaniał jej pępek i tak opinał jej pełne piersi, że Michael, spotkawszy ją w holu na dole, zakłopotany odwrócił wzrok.

- Mimo wszystko ten Mario ma już dwadzieścia cztery lata. Powinien mieć już na tyle odwagi...

- Co takiego? - spytała Tina. Dana uśmiechnęła się krzywo.

- Na litość boską, Tina, tyle czasu spędzacie sami! Mam na myśli... Twój ojciec chyba już nie łązi wszędzie za tobą.

Tina zarumieniła się. Dana przemilczała to taktownie.

- To dobrze, że uparłaś się, żeby pojechał razem z tobą - przyznała.

- Dziś ma zapytać ojca, czy możemy zatrzymać się w ich domu pod Niceą - wyjaśniła Tina.

- No więc, powiem tak: to jego ostatnia szansa. Jeśli tam się z tobą nie prześpi, to znaczy, że coś z nim jest nie tak!

- Dana, gadasz, jakby chodziło o jakiś egzamin! Jego ostatnia szansa! Kocham Maria. To dobrze, że mu się nie spieszy. Przecież spotykamy się dopiero od czterech miesięcy.

- To wystarczy - uznała Dana. Wyciągnęła papierosa i zapaliła. - Jakoś... sama nie wiem... - dodała niejasno, śledząc wzrokiem unoszący się dym.

Tina bacznie obserwowała przyjaciółkę.

- Dana, proszę cię, powiedz szczerze, co sądzisz o Mariu?

- Och, ledwie go znam - odparła wymijająco. Rzeczywiście, spotkali się dopiero dwukrotnie. Po raz pierwszy zupełnie przelotnie na przyjęciu, na którym poznała go także Tina, potem w kwietniu, na urodzinach Dany. Za-’ wsze było przy tym zbyt wielu ludzi, by

mogła go lepiej poznać, lecz Tina wiedziała, że mimo to zdążyła już sobie wyrobić o nim opinię. Dana zawsze od razu oceniała ludzi i zazwyczaj się nie myliła.

- Przecież masz jakieś zdanie na jego temat - drażyła Tina.

Dana przemogła się.

- Okay. Skoro koniecznie chcesz wiedzieć: niespecjalnie go lubię.

- Ale kiedy spytałam cię o to po raz pierwszy, powiedziałaś, że jest całkiem miły - odparła nieco dotknięta Tina.

- Tak, mówiłam. - Dana poczuła zakłopotanie, ponieważ okłamała wtedy Tinę, co się jej nigdy nie zdarzyło. - Nie chciałam ci sprawić przykrości. A poza tym cieszyłam się, że wreszcie znalazłaś jakiegoś chłopaka. Nie chciałam ryzykować i wybić ci go z głowy.

- A czemu go nie lubisz?

- To tylko przecucie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Coś w nim jest takiego... Mój Boże, naprawdę brakuje mi słów, żeby to opisać. Pewnie to jakieś urojenie.

- Pewnie tak - przyznała z ulgą Tina. Jej zdaniem Dana traktowałaby podejrzliwie każdego mężczyznę, który nie rzucił się od razu na kobietę. Przypuszczalnie uważała Maria za geja.

- Ojciec pozwoli ci bez problemów na wyjazd? - spytała Dana, starając się zmienić temat.

Tina potrząsnęła głową.

- Nie. Tak dobrze to nie jest. Najchętniej w ogóle by mi nie pozwolił. Pierwszy raz w życiu powiedziałam mu, że jestem pełnoletnia. Od tego czasu nie jest już między nami tak jak dawniej. On wie, że nie może mi tego zabronić, a ja mam teraz wyrzuty sumienia.

- Wielki Boże, chyba się nie rozmyślisz? Jeśli z nim nie pojedziesz, nici z waszego związku!

- Zrobię to - powiedziała krótko Tina. Nagle przyszło jej na myśl, że byłoby lepiej, gdyby nigdy nikomu nie mówiła o Mariu. Wówczas Dana nie mogłaby przyznać, że go nie lubi, a ojciec nie uparłby się, by poznać go osobiście jeszcze przed wyjazdem. Wspólną kolację zaplanowano na najbliższą niedzielę. Naraz Tinę obleciał strach. A jeśli ojciec go nie polubi? Jeśli coś pójdzie nie tak, kolacja skończy się fiaskiem, Michael zachowa się jak inkwizytor, a Mariowi puszcza nerwy i powie coś niestosownego...?

Najchętniej uciekłaby z nim potajemnie na południe Francji, by nie wysłuchiwać opinii tylu życzliwych osób z jej otoczenia.

- Nic a nic się nie zmieniałaś, w ogóle się nie zmieniłaś! - tak brzmiały pierwsze słowa, jakie Janet i Andrew wypowiedzieli niemal równocześnie po tylu latach rozłąki. Kiedy

spotkali się po raz ostatni, Janet miała dwadzieścia pięć lat, Andrew trzydzieści sześć. Dziś ona liczyła sobie czterdzieści trzy, on - pięćdziesiąt cztery. Naturalnie zmienili się, nie chodziło jednak o wzajemne pochlebstwa. Łącząca ich zażyłość przetrwała w tak niezmienionej formie, iż wydawało się, że od ich rozstania nie minął nawet jeden dzień. Ani siwizna Andrew, ani drobne zmarszczki wokół oczu Janet nie miały żadnego znaczenia, podobnie jak obecne na ich twarzach ślady uśmiechów i łez, samotności i euforii. Miały się one uwidocznic dopiero w ciągu najbliższych dni, gdy mieli sposobność uważnie się sobie przyjrzeć.

Andrew uściskał Janet i pocałował w oba policzki.

- Janet! Jak miło znów cię widzieć! - Ujął jej dłonie i wprowadził ją do mieszkania. - Wejdz, zdejmij płaszcz! Napij się czegoś? Dżin z tonikiem, jak zawsze?

- Jak zawsze. - Rozejrzała się po pokoju, kiedy on krzątał się w kuchni. Tak właśnie zawsze wyobrażała sobie jego mieszkanie: jasne, prosto umeblowane, z mnóstwem książek. Na parapecie stała oprawiona fotografia. Janet podeszła bliżej. Chłopiec i dziewczynka, oboje około dziesięciu, dwunastu lat.

- Moje dzieci - wyjaśnił Andrew. Niepostrzeżenie zjawił się w pokoju i stanął za jej plecami, trzymając w dłoniach dwie szklaneczki. - Pamela i Nicolas. Mieszkają razem z matką w Nowym Jorku.

- Jesteś...

- Byłem żonaty. Rozwiedliśmy się trzy lata temu.

- Och... - Spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

- Clare jest Amerykanką - wyjaśnił Andrew. - Po naszym rozstaniu chciała wrócić do swej ojczyzny. Ma prawa do opieki nad dziećmi, więc zabrała je ze sobą.

- Niewiele ci po nich zostało.

- Owszem. - Po jego twarzy przemknął wyraz smutku, jednak po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Podał jej szklaneczkę.

- Proszę. Wypijmy za nasze spotkanie.

Gawędzili przez chwilę. Janet starannie ukrywała prawdziwy powód swego przyjazdu do Anglii. Ot, po prostu poczuła tęsknotę za domem - wyjaśniła - i dlatego postanowiła wybrać się na kilka dni na Wyspy.

- W takim razie na pewno chcesz także odwiedzić Cambridge? - spytał Andrew.

- Sama nie wiem, być może. Ale niekoniecznie.

Później wybrali się do chińskiej restauracji. Andrew opowiadał o swojej pracy. W młodości zamierzał zostać adwokatem, jednak po studiach i kilku latach praktyki zmienił

plany i wstąpił do Scotland Yardu. W swoim czasie donosił o tym Janet listownie. Zastanawiała się zmieszana, co mogło wpłynąć na tę zmianę. Nie potrafiła tego zrozumieć, nie chciała wszakże teraz o to wypytywać. Pracował jako inspektor, lecz ze sposobu, w jaki o tym opowiadał, Janet wywnioskowała, że w żadnym razie mu to nie wystarczało. Nie był zadowolony - ani ze stopnia służbowego, ani ze swej pracy.

- Ciągle mam do czynienia z naprawdę potwornymi zbrodniami. Z ludźmi, którzy robią ohydne rzeczy, mając jednak sami po części taką przeszłość, przy której odnosi się wrażenie, że praktycznie nie mieli innego wyjścia, jak tylko zejść na złą drogę. W gruncie rzeczy człowiek jest wobec tego zupełnie bezradny.

- Żałujesz, że jednak nie zdecydowałeś się na pracę w wymiarze sprawiedliwości? - zapytała Janet. - Czy dzisiaj również wybrałbyś tę samą drogę?

Andrew zastanawiał się przez krótką chwilę, po czym skinął głową.

- Tak. Narzekam, ale koniec końców zrobiłbym tak samo. - Sięgnął nad stołem po dłoń Janet. - Opowiadaj o sobie. Co u twoich chłopców?

- Dobrze. Wszystko w porządku - zapewniła nerwowo

.Janet.

Andrew taksował ją wzrokiem.

- Coś nie tak?

- Nie. Naprawdę wszystko dobrze.

- A... jak się miewa Phillip? Janet nie spojrzała na Andrew.

- Nie wie, gdzie jestem.

- Nie wie, że jesteś w Anglii? Uciekłaś?

- Wie, że pojechałam do Anglii. Ale potem nie odezwałam się więcej. Pewnie obdzwania moich krewnych, żeby się dowiedzieć, gdzie się dokładnie podziewam.

- Chcesz...?

Domyślając się, o co zamierza zapytać, przerwała mu.

- Nie. Nie chcę o tym mówić. Nie teraz. Nie wiem, jak długo zostanę w Anglii, może kilka dni, może kilka tygodni. I przez ten czas po prostu nie chcę myśleć o domu.

- W porządku. Czy możemy spotkać się parę razy, dopóki tu jesteś?

- Oczywiście. Jeśli masz czas. Andrew roześmiał się.

- Mam za sobą tyle przepracowanych wieczorów! Naprawdę zasłużyłem na te kilka godzin w twoim towarzystwie.

## Sobota, 27 maja 1995 roku

W sobotę Andrew zabrał Janet na przyjęcie urodzinowe swego zaprzyjaźnionego współpracownika. Nikt nie zadręczał jej tam pytaniami; uznano ją po prostu za nową przyjaciółkę Andrew i przywitano bardzo serdecznie.

Oczywiście, pomyślała Janet, nie wiedzą, że jestem mężatką, że zostawiłam męża i synów własnemu losowi. Ciekawe, czy uznaliby mnie za równie uroczą, gdyby o tym wiedzieli?

W trakcie przyjęcia Janet miała kilkakrotnie sposobność, by przyjrzeć się Andrew z boku, kiedy rozmawiał z innymi osobami. Był jednym z najwyższych mężczyzn w pokoju, zarazem też jednym z najszcuplejszych. Dawniej był niemalże chuderławy i pod tym względem niewiele się zmienił. Janet uznała, że miało to związek z jego chroniczną nerwowością. Niemal zawsze, gdy mówił, drgała mu powieka, a niezmiernie czujny wyraz twarzy zdradzał niezwykle gotowość do zauważania wszystkiego, co się wokół niego działo. Dawniej - o czym Janet wiedziała aż za dobrze - to przede wszystkim jego nienasycona ambicja sprawiała, że nie potrafił się odprężyć nawet na chwilę, i do dzisiaj tak pewnie było. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Janet miała szesnaście lat, Andrew dwadzieścia siedem. Studiował w Cambridge i pisał doktorat pod kierunkiem jej ojca. Czasami podejrzewała, że właśnie dlatego się z nią zaprzyjaźnił. Jednak wkrótce okazało się, że bardzo się przeliczył, bowiem profesor Hamilton, ojciec Janet, wpadł w furję, odkrywając ich związek. Mimo wszystko Andrew nie rozstał się z nią i dokończył pisanie pracy u innego profesora. Robił wszystko, by osiągnąć sukces, lecz nie pozwolił, by go szantażowano. Mimo całej swej ambicji wyznaczył sobie wyraźną granicę, której przekroczenie oznaczałoby zdradę samego siebie.

Po przyjęciu, odwożąc Janet do hotelu, Andrew wyznał:

- Miło, że poszłaś ze mną, Janet. Przez ostatnie trzy lata wszędzie chodziłem sam. Już zapomniałem, jak przyjemnie może być we dwoje.

Nagle Janet zapytała:

- Dlaczego rozstałeś się z żoną?

Zaskoczony Andrew milczał przez chwilę, potem odparł:

- Półtora roku przed naszym rozводом miałem romans. Zakończyłem go stosunkowo szybko, jednak Clare nie mogła tego zapomnieć. Doszło do tego, że dostawała kręćka, kiedy wracałem do domu choćby dziesięć minut później. W pewnym momencie przestało to mieć

jakikolwiek sens.

Janet uśmiechnęła się cierpko.

- Wciąż taki sam jak dawniej - powiedziała, po czym otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

- Zostań - zaproponowała, kiedy spostrzegła, że Andrew również zamierza wysiąść, by się pożegnać. - Dziś nie chcę całusa na dobranoc. - Zatrzasknęła drzwi i pobiegła do hotelu.

Andrew wysiadł, został jednak przy samochodzie. zawołał za nią. -

- Jutro niedziela. Moglibyśmy pojechać na wieś!

Nie odwróciła się.

- Przyjedź po mnie o dziesiątej - odpowiedziała, po czym zniknęła w drzwiach obrotowych.

## Niedziela, 28 maja 1995 roku

Tina spodziewała się, że wieczór w towarzystwie Maria i jej ojca zakończy się fiaskiem. I rzeczywiście, od samego początku wszystko szło nie tak. Zaczęło się od jedzenia. Choć nieźle radziła sobie w kuchni, tej niedzieli nic jej nie wychodziło. Mięso było łykowate, warzywa miały najpierw mdły smak, później zaś, kiedy je doprawiła, okazały się za słone. Zupa na przystawkę smakowała jako tako, za to spód tortu truskawkowego, który miała podać na deser, lekko się przypalił. Tina z trudem powstrzymywała łzy; to byłoby prawdziwe ukoronowanie wieczoru, gdyby pokazała się z zapłakanymi oczami. Michael nakrył do stołu w jadalni. Wyjął najlepszą porcelanę, najładniejsze kieliszki, stare srebra rodowe Marietty. Tina wiedziała, że nie zrobił tego, by w jakiś szczególny sposób uhonorować Maria, lecz po to, by go od razu onieśmielić. Nie zależało mu na tym, by pierwsze spotkanie z chłopakiem jego córki przebiegło w swobodnej, niewymuszonej atmosferze. Wręcz przeciwnie. Zniknął w swoim pokoju, a kiedy wrócił, wyglądał niczym angielski lord - miał na sobie ciemny garnitur, a siwe włosy starannie uczesał.

Nawet sama królowa nie mogłaby być bardziej niedostępna, pomyślała ze zgrozą Tina.

Mario zjawił się punktualnie o siódmej. Zaczekał przed domem w samochodzie, by zadzwonić do drzwi równo z biciem zegara. Wręczył Tinie bukiet kwiatów, a jej ojcu butelkę wina. Od razu było widać, że Michael go nie polubi.

Rozmowna przy kolacji nie kleiła się. Obojętnie, jaki temat poruszyli, Michael odpowiadał tak lakonicznie, że nie mogła wywiązać się jakakolwiek rozmowa. Mario był tym tak zdenerwowany, że dwukrotnie upuścił z brzękiem widelec na talerz i zakrztusił się napojem, tak iż przez kilka minut musiał zmagać się z napadem kaszlu, zanim mógł znowu mówić. Tina poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Stary dumny uparciuch, pomyślała o ojcu. Odrobina uprzejmości wobec Maria nic by go nie kosztowała.

Dopiero po przesolonym daniu głównym Michael zagadnął Maria.

- Studiuje pan prawo?

Ulga w oczach Maria była wzruszająca.

- Tak, na czwartym semestrze.

- Ach tak. Jakież zaliczenia?

- Ech... prawo karne, oba. Zrobiłem mały kodeks cywilny, ale jeszcze nie wiem, czy go zaliczyłem.

Michael uniósł brwi.



- To niewiele. Wygląda na to, że prawo publiczne nie jest pańską wielką miłością?

- Zgadza się - odparł dzielnie Mario.

- Przecież to zupełnie nieistotne - wmieszała się Tina. - Ojczy, Mario nie przyszedł tu zdawać egzaminu.

- Uważam, że studia młodego człowieka nie są rzeczą zupełnie nieistotną - odparował chłodno Michael. Nagle zwrócił się ponownie do Maria. - Był pan w wojsku?

O Boże, pomyślała Tina.

- Ja... nie... - jąkał się zmieszany Mario. Twarz Michaela przypominała maskę z kamienia.

- Odmowa?

- Ja... odbyłem służbę zastępczą w domu starców...

- Uważam to za wspaniałe osiągnięcie - wtrąciła spiesznie Tina. - Mycie starszych ludzi, karmienie ich, przewracanie na łóżku... to ostatnia rzecz, jakiej bym się podjęła! - Podniosła się z krzesła. - Przyniosę deser. Mam nadzieję, że macie jeszcze apetyt!

Kiedy wyszła z pokoju, Michael odezwał się:

- A więc chce pan wyjechać razem z moją córką? Na południe Francji?

- Tak. Moi rodzice mają tam dom letni.

- Aha. Pańscy rodzice wyrazili na to zgodę?

- Tak. - Mario przemilczał fakt, że matka nic o tym nie wiedziała. Nie zabrzmiałoby to zbyt dobrze, gdyby teraz oznajmił, iż Janet zniknęła gdzieś w Anglii, nie informując rodziny o miejscu swego pobytu. - Moi rodzice cieszą się, że ktoś z nas znów tam pojedzie. Nie byliśmy tam już od sześciu lat. Pewien człowiek z wioski dogląda wszystkiego, ale na pewno nie zaszkodzi patrzeć mu od czasu do czasu na rękę.

Michael wstał i wziął ze stolika w rogu pokoju płaskie pudełko cygar.

- Ma pan rodzeństwo?

- Nie - odparł Mario i zarumienił się.

Na szczęście Michael nie patrzył w jego stronę.

- Cygaro? - podsunął mu pudełko.

- Dziękuję. - Mario potrząsnął głową. - Nie palę.

Bez słowa komentarza Michael zapalił swoje cygaro. Nie wiadomo, czy zapisał mu to na plus.

Pewnie nie, pomyślał Mario. Poczul się zdeprimowany i potraktowany w sposób krzywdzący. Przecież nie zależało mu na tym, by wyjechać z Tiną na wakacje; to on uległ jej powtarzanym od tygodni namowom. A teraz człowiek ten traktował go tak, jakby chciał

uwieść jego córkę, wywieźć ją gdzieś i zrobić jej nie wiadomo co. Dlaczego Tina musi mieć tak szorstkiego, niezdolnego ojca?

Potem jednak uświadomił sobie, że Tina jest taka, jaka jest, właśnie z powodu swojego ojca. To on jest odpowiedzialny za owo niemal namacalne tchnienie niewinności, jakie pociągało go w niej od pierwszej chwili. W Tinie mógł się zakochać, bo różniła się od pozostałych dziewcząt. W jego oczach była doskonałością, doświadczenie wszakże nauczyło go, iż w życiu wszystko ma jakieś „ale”. W przypadku Tiny był nim ów palący cygaro wstręciuch, siedzący jak na tronie u szczytu stołu.

Po wyjściu Maria Tinę rozboleła głowa, pozostał też niesmak w ustach. Z głośnym brzękiem zebrała talerze, zaniósła je do kuchni, gdzie piętrzył się już stos innych naczyń, i gniewnymi ruchami zaczęła zapełniać nimi zmywarkę. Kiedy Michael pojawił się w drzwiach, właśnie rozbiła szklankę.

- Halo! - wzdrygnął się. - Czemu wszystkie rzeczy wrzucasz do zmywarki?

- Bo jestem zła, dlatego! - Tina sięgała palcami między kosze i usiłowała wydostać kawałki szkła. - Byłeś niezdolny, ojczu. Albo go ignorowałeś, albo traktowałeś jak jakiegoś śmiecia. Postanowiłeś go zupełnie zdezorientować. Przykro było słuchać, jak go wypytywałeś o studia!

- Chyba mam prawo wiedzieć wszystko o człowieku, który chce wyjechać na wakacje z moją ledwie pełnoletnią córką!

- Sam to powiedziałeś. Pełnoletnia. Jestem już dorosła. Nie możesz mi zaufać? Ojczu, zachowywałeś się tak, jakbyś miał przed sobą jakiegoś świadka, którego musisz wy badać i zastraszyć. Mario nie jest przestępcą. A ty nie jesteś na okrągło prokuratorem!

Michael milczał przez chwilę.

- Nie lubię go - powiedział w końcu.

- Nie spodziewałam się niczego innego - odparła ironicznie Tina. Zaraz potem krzyknęła: - Au!

Krew trysnęła z palca wskazującego prawej ręki. Tina natrafiła na ostrą krawędź szklanego odłamka. Michael dwoma susami znalazł się przy niej, wyjął chusteczkę i owinął nią ranę. On zawsze, zawsze ma pod\* ręką czystą chustkę, pomyślała Tina i nagle wybuchnęła płaczem. Szlochała gwałtowniej chwytającej za serce rozpacz, płakała nawet wtedy, gdy Michael wziął ją w ramiona i przytulił. Dygotała i drżała jak świeca w poddmuchu powietrza, mocząc śnieżnobiałą koszulę ojca czarnymi stróżkami tuszu do rzęs.

Mimo lekkiego dysonansu, jakim zakończył się poprzedni wieczór, Janet i Andrew spędzili razem uroczą niedzielę. Pojechali najpierw do Windsoru, gdzie przez dwie godziny

włączyli się po zamkowych ogrodach. Później podziwiali urokliwe domy stojące nad Tamizą w Henley i odbyli długi spacer brzegiem rzeki. Po południu zjedli w pubie sandwicze, a na kolację zatrzymali się w wiejskim zajeździe opodal Newbury. Słoneczny majowy dzień chylił się ku zachodowi, powiało chłodem. Andrew siedział przy stole naprzeciw Janet i spoglądał na nią z wyrazem czulej zadumy w oczach.

- Wyglądasz dziś bardzo młodo - powiedział. - Włosy zmierzwił wiatrem i zaróżowione policzki dodają ci uroku.

- A ty się troszkę opaliłeś. Przy twoich siwych włosach wygląda to niezmiernie elegancko.

Roześmiał się, ale śmiech nie przegnał napięcia z jego twarzy. Janet łagodnie dotknęła jego ramienia.

- Coś cię gnębi przez cały dzień. O czym myślisz?

- Nieważne. - Andrew skinieniem dał znać kelnerce, że prosi o rachunek. - Sprawy zawodowe.

- To mnie ciekawi.

- Jeden przypadek nie daje mi spokoju... Psychopata, którego chciałbym widzieć za kratkami do końca życia. Jego adwokat będzie wnioskował o uznanie go za niepoczytalnego, ale mam nadzieję, że przeforsują najwyższy wymiar kary. - Andrew przetarł dłonią oczy, wyglądał na bardzo zmęczonego. - Wciąż jeszcze nie nauczyłem się dystansu do takich historii.

- Co takiego zrobił? - spytała Janet.

- Chcesz wiedzieć dokładnie?

- Tak...

- Popęłnił cztery morderstwa - albo i więcej, do czterech się przyznał. Prawdopodobnie jest ich więcej. Mordował wyłącznie kobiety, młode i atrakcyjne.

Janet przełknęła ślinę.

- W jaki sposób je zabijał?

- Napadał na nie w odludnych okolicach i w małym kombi wywoził do opustoszałej willi w pobliżu Basildon. On sam mieszkał w Londynie.

- Czyj to dom?

- To kompletna ruina. Właściciel wyprowadził się, a dom już dawno miał zostać rozebrany, ale z jakiegoś powodu sprawa się przeciągała. Budynek stał i niszczał.

- Prowadziłeś dochodzenie w tej sprawie? Andrew przytaknął.

- W okolicach Londynu wciąż ginęły kobiety. Bez śladu. Jeśli chodzi o warunki życia i

tego typu kwestie, to nie miały ze sobą nic wspólnego, ale wszystkie były, jak już mówiłem, młode i bardzo atrakcyjne. Całymi miesiącami badaliśmy każdy najdrobniejszy ślad, każdą wskazówkę. Bez skutku. A potem jedna z ofiar zdołała mu uciec.

- Z tego domu?

- Tak. Miał pecha, to była świetnie wytrenowana biegaczka długodystansowa. Udało jej się uwolnić i uciekła, on zaś nie dał rady jej dogonić. Powiadomiła nas i zaprowadziła do tego domu.

Janet przełknęła ślinę. - A tam...

- ...znaleźliśmy ciała czterech kobiet, owszem. Do tego mnóstwo materiałów pornograficznych, całe stosy magazynów, ale także gadzety z sex shopów, głównie dla sadoma-sochistów.

- Potworne - szepnęła Janet. - Biedne kobiety!

- Pański rachunek, sir - powiedziała kelnerka, kładąc paragon na stole. - Mieliśmy dziś niemal zupełnie letni dzień, prawda?

- Miejmy nadzieję, że lato będzie takie, jakie zapowiada wiosna - odparł Andrew, wyciągając pieniądze.

Janet, taksując go przenikliwym wzrokiem, zauważyła, że granatowy sweter, który miał na sobie, był zrobiony na drutach. Miał kilka nieregularności, które dodawały mu uroku. Janet zastanawiała się, kto go mógł zrobić. Czyżby żona Andrew?

Opuścili zajazd i wrócili do samochodu. Mrok szybko zapadał. Kiedy już siedzieli w samochodzie, Janet zapytała:

- A więc mordował kobiety w tamtym domu? Andrew uruchomił silnik, po czym spojrzał w skupieniu na drogę, jakby nie chciał pozwolić na to, by zdarzenia, o których opowiadał, zbyt silnie nim zawładnęły.

- Zamęczał je na śmierć. Widziałem ciała... Proszę, oszczędź mi podawania szczegółów. Potem zagrzebywał je naprędce w starej szopie obok domu...

- Schwytaliście go w tym domu? Zaczailiście się tam na niego?

Andrew potrząsnął głową.

- Na to był zbyt przebiegły, nigdy więcej się tam nie po-jawił. Nie, na podstawie zeznań niedoszłej ofiary sporządziliśmy portret pamięciowy, który ukazał się w prasie i telewizji.

Dostaliśmy anonimowy telefon, prawdopodobnie od sąsiadów Freda Corveya - tak się ten człowiek nazywa. Kiedy się tam zjawiliśmy, znaleźliśmy Corveya pijanego w sztok. Od razu przyznał się do wszystkiego.

- Przyznał się?

- To pierwsze zeznanie nigdy nie miało by jakiegokolwiek wartości dowodowej, ponieważ, jak już mówiłem, był pijany. Przesłuchaliśmy go, kiedy wytrzeźwiał. Naturalnie pouczono go o jego prawach, o tym, że może odmówić składania zeznań, że wszystko, co powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu. Oświadczył, że to rozumie, po czym ponownie przyznał się do wszystkich postawionych mu zarzutów. Więcej nic nie powiedział.

- Przesłuchiwałaś go jeszcze? Andrew wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wolno mi. Przesłuchania odbywają się na samym początku. Po aresztowaniu nic już nie można zrobić.

- Ale masz przecież przyznanie się do winy!

- Tak. I wniosłem oskarżenie. Mam nadzieję, że nie był to błąd, bo nie mam nic prócz jego przyznania się do winy.

- Czy mimo to odbędzie się rozprawa?

- Była rozprawa wstępna i sędzia postanowił, że dojdzie do rozprawy głównej. Przyznanie się do winy stanowi oczywiście istotny dowód w sprawie. A w angielskim wymiarze sprawiedliwości, inaczej niż w niemieckim, na początku rozprawy głównej pyta się oskarżonego, czy jest winny czy niewinny. Jeśli przyzna się do winy, wyrok może zapaść praktycznie od razu, bez dalszego postępowania dowodowego. A to oznacza, że jeśli Corvey pozostanie przy swoim zeznaniu, nie będzie żadnych trudności.

- Ty zaś sądzisz, że może zmienić zdanie?

- Mam takie głupie przeczucie...

- Ale... - upierała się Janet - przecież przyznał się do winy. Pouczono go także, że to zeznanie zostanie wykorzystane jako dowód przeciwko niemu. Dopiero co powiedziałaś, że to istotny materiał dowodowy. Przecież nie może ot tak, po prostu oświadczyć, że... cha, cha, cha, żartowałem!

- Tak łatwo oczywiście nie jest. Jednak zdarzały się już rzeczy... Może niepotrzebnie widzę to w czarnych barwach.

- Ale przecież macie jeszcze tę kobietę, która zdołała mu uciec.

- Przypuszczam, że boi się dnia, w którym go zwolnią. W każdym razie podczas konfrontacji zrejterowała. Nie potrafiła go jednoznacznie zidentyfikować.

- W domu muszą być odciski palców!

- Nie. Corvey to cholerny bystrzak. Zawsze zakładał rękawiczki, więc oprócz odcisków palców ofiar nie ma żadnych innych. Istnieją odciski w kurzu ślady stóp, których wielkość odpowiada rozmiarowi butów Corveya, lecz nie znaleźliśmy u niego obuwia o

odpowiednim profilu. Oczywiście miał mnóstwo czasu, by się go pozbyć. Nawet jego kombi zniknęło.

- Miał kombi?

- Starego gruchota. Oddał go na złom na dzień przed aresztowaniem.

- To więcej niż podejrzane!

- Naturalnie. Ja wiem, że to jego sprawka. Ale jego obrońca podważy wszystkie punkty oskarżenia. Nie jest zabronione oddawanie samochodu na złom.

- Musieli się nieźle uwijać na tym złomowisku.

- Przypuszczam, że dał komuś pieniądze. Oni zaś nie mają odwagi tego przyznać. Twierdzą, iż to przypadek, że samochód Corveya został tak szybko zezłomowany.

- To nie do wiary!

- W Basildon ma ciotkę, często tam bywał. Nic dziwnego, że podczas jednej ze swych wędrówek po okolicy odkrył ten stary dom. Ale mieszkająca w Basildon ciotka nie wystarczy za dowód.

- Jest jeszcze portret pamięciowy - upierała się Janet. - To także jest coś warte.

- Niewiele. Nie ma na nim wyraźnego podobieństwa. Jestem pewien, że ów anonimowy informator miał własne powody, by Corveya uznano za sprawcę, dlatego sądzę, że pochodzi z sąsiedztwa. Z pewnością zaobserwował coś podejrzanego. Nadal próbujemy go odnaleźć, ale walimy głową w mur. Wszyscy się boją, i wcale mnie to nie dziwi. Jeśli Corvey dopuścił się zbrodni, które mu się zarzuca, nie jest człowiekiem, lecz potworem.

- Czy są ślady spermy?

- Nie. Kobiet nie zgwałcono. Przypuszczamy jednak, że sprawca zaspokajał swój popęd seksualny, kiedy zadawał im męczarnie. Zachował jednak wszelkie środki ostrożności. Ani na podłodze, ani na ścianach, ani nigdzie indziej nie znaleźliśmy spermy.

Oboje milczeli przez chwilę. Nagle Janet odezwała się zdenerwowana:

- Dlaczego mężczyźni robią kobietom coś takiego? Andrew odwrócił się ku niej, zaskoczony ostrym tonem jej głosu. Choć zrobiło się zupełnie ciemno, mógł dojrzeć na jej twarzy bladość i napięcie.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Dlaczego znajdują przyjemność w dręczeniu kobiet? W ich upokarzaniu? I w najgorszym przypadku w zabijaniu?

- Tego nie wiem. - Znów spojrzął na drogę. - Nie potrafię wczuć się w ich sytuację. Nie mam takiej potrzeby.

- Poza paroma znikomymi wyjątkami nie zdarza się to wśród kobiet. Oczywiście

kobiety także zabijają mężczyzn, lecz ofiarą jest wówczas konkretna osoba, poza tym mają one jasno określony motyw: zazdrość, chciwość, strach przed utratą dzieci... Coś w tym rodzaju. Ale jak często miewałeś przypadki, żeby kobieta dla zaspokojenia własnych żądz zaciągnęła pierwszego lepszego mężczyznę do jakiejś kryjówki, by go tam dosłownie zarżnąć?

- Takiego przypadku jeszcze nie miałem. Widziałem jednak morderczynie, które ze swoimi ofiarami obchodziły się bez żadnych ceregieli. Ale masz rację: ich motywy, jakkolwiek nikczemne, zawsze miały konkretną i dającą się przewidzieć podstawę.

- Ten... ten Fred Corvey... musi potwornie nienawidzić kobiet...

- Jego nienawiść do kobiet to dopiero drugi stopień. Psycholog mówi w takim przypadku przede wszystkim o głębokim lęku, jaki sprawca żywi wobec kobiet. Lęk jest zazwyczaj i powodem tego, że mężczyzna odczuwa podniecenie seksualne jedynie wówczas, gdy kobieta jest mu całkowicie podporządkowana, a on może robić z nią, co zechce.

Janet wytrzymała wzrok, patrząc przez szybę w mrok nocy, widziała przemykające czarne cienie krzewów i drzew. Dygotała.

- Mógłbyś włączyć ogrzewanie? - spytała. Andrew przekręcił włącznik.

- Wydaje mi się, że moja opowieść cię wzburzyła - odparł. - Nie powinienem był nic mówić.

- Zaciekało mnie to. Czemu mężczyźni tak postępują? Tak jak ten Corvey. Jak myślisz?

Andrew wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie jestem psychologiem. Te sprawy mają chyba swe źródło we wczesnym dzieciństwie.

- To wina matek - powiedziała Janet. Jej głos zabrzmiał ostro. - Tak zawsze bywa. W przypadku takich całkowicie skrzywionych i perwersyjnych mężczyzn to zawsze ich matki ponoszą całą winę!

Andrew znów obrzucił ją wzrokiem. Zirykowało go brzmienie jej głosu.

- Na Boga, Janet, czemu tak cię to porusza? Poza tym wszystko upraszczasz. Dlaczego zawsze miałyby to być matki? Może winni są też ojcowie albo nauczyciele - albo coś zupełnie innego! Nie możesz tak generalizować.

- Masz rację - odparła cicho Janet. Przyłożyła czoło do zimnej szyby samochodu. Nie rozmawiali już więcej aż do samego Londynu. Andrew nie pojechał prosto do hotelu, lecz zaparkował przed swoim domem. Wyłączył silnik i światła.

- Nie chciałbym teraz zostać sam - powiedział ostrożnie. - Miałabyś ochotę na drinka,

u mnie?

Janet zawahała się.

- Andrew... - Wiedziała, co niechybnie nastąpi, jeśli pójdzie z nim na górę. Wiedziała to, ponieważ w tej chwili sama niczego bardziej nie pragnęła. Powstrzymywała ją nikła resztką lojalności wobec Phillipa.

Andrew wziął ją za rękę.

- Janet, pewnie nie muszę ci tłumaczyć, że bardzo chciałbym spędzić z tobą noc. Ale o tym zdecydujesz ty. Nic się między nami nie zmieni, jeśli tylko napijesz się ze mną, a potem odwiozę cię do hotelu. Okay?

- Okay - zgodziła się Janet i otworzyła drzwi samochodu. Sekunda wahania wydała jej się wystarczająca, by zachować pozory przyzwoitości wobec męża. Na resztę nocy gotowa była o nim zapomnieć.



## Niedziela, 4 czerwca 1995 roku.

- Obawiam się, że nie powinnam pozwolić Tinie wyruszyć samej w świat - powiedziała Dana. Siedziała przy kuchennym stole w mieszkaniu swej matki i malowała sobie paznokcie. Karen Graph, jej matka, wyciągnęła się w kącie na dywanie z owczej wełny. Leżała na plecach, podparta ramionami pod boki, zaś jedną nogę trzymała pionowo w górze. Obok niej wisiała przyszpilona do ściany kartka z rozrysowanymi ćwiczeniami poprawiającymi napięcie tkanek i wzmacniającymi muskulaturę. Karen miała ciągle rozmaite fazy, w których z niesłychaną konsekwencją realizowała coraz to nowe projekty. Obecnie poświęciła się bez reszty programowi treningu fizycznego. Danie bardziej podobała się faza poprzednia - przez kilka tygodni Karen z zapalem usiłowała przemienić się w wyrafinowaną kucharkę. Zaopatrzyła się w stos książek kucharskich i przytaszczyła do domu mnóstwo produktów spożywczych. Niektóre próby zakończyły się co prawda fiaskiem, jednak czasem udawało jej się zaserwować całkiem smaczne potrawy. Jak zwykle zarzuciła to zajęcie z dnia na dzień i wyruszyła na poszukiwanie nowej przygody. Teraz na stole pojawiały się przeważnie muesli i surówki, mimo to Dana wspierała matkę także i w tej kwestii. Najważniejsze, że Karen skupiała całą swoją energię na jakimś konkretnym zajęciu. Bowiem w okresach pomiędzy takimi fazami cierpiała na depresję i za dużo piła, a to było najgorsze.

- Powinnaś się cieszyć, że wreszcie zrobi coś samodzielnie - odparła Karen. Jej głos był nieco zduszony, ponieważ już przez dłuższą chwilę trzymała nogę w powietrzu. - Nie może przecież ciągle przesiadywać w domu pod opieką ojca!

- Nie. Dlatego też z początku sama radziłam jej wyruszyć w tę podróż. Ściśle mówiąc, to był mój pomysł. - Dana rozłożyła szeroko palce i poruszała nimi w powietrzu, by wysechł lakier do paznokci. - Ale teraz nie czuję się już z tym dobrze.

- Kiedy wyjeżdżają?

- Jutro z samego rana.

- Ja też chętnie pojechałabym do Prowansji - westchnęła Karen.

- Spróbuj wyciągnąć od jakiejś gazety zlecenie na relację z podróży - zaproponowała Dana. - Na Lazurowe Wybrzeże. Tak czy owak, trochę pieniędzy by się nam przydało.

- Wiem. - Z westchnieniem ulgi Karen opuściła nogę na dywan, by po chwili odpoczynku unieść drugą i rozprostować ją w powietrzu. - Ale w tej chwili panuje absolutny zastój. Nikt nie ma dla mnie pracy.

- Może powinnaś spróbować ubierać się nieco poważniej - podsunęła ostrożnie Dana.

Jej zdaniem Karin nosiła się zbyt ekstrawagancko. Każdy redaktor naczelny z początku wzdrygał się na jej widok. Ocenianie ludzi po wyglądzie zewnętrznym Dana uznawała za idiotyzm, wiedziała jednak, że w jakimś stopniu każdy tak robi i należy się z tym pogodzić, jeśli chce się osiągnąć sukces. Mając krótko ścięte, ufarbowane na marchewkową czerwień włosy, lubując się w legginsach w szokujących kolorach oraz nosząc olbrzymie kolczyki, Karen nie miała szans na otrzymanie wymarzonych zleceń, choć z całą pewnością potrafiłaby im sprostać. Wy tłumaczenie jej tego wymagało wszakże istic dyplomatycznej zręczności, dlatego też Dana postanowiła poczekać na odpowiedni moment.

- Ach, kiedyś na pewno coś się znajdzie - powiedziała radośnie Karen. Opuściła nogę, usiadła i spojrzała na córkę. - Nie rób takiej miny! Czy to z powodu Tiny? Jesteś gorsza niż jej ojciec!

- Nie lubię tego Maria - odparła zamyślona Dana. - Po prostu coś mi się w nim nie podoba!

Karen wstała, wzięła jabłko z koszyka przy oknie i usiadła przy stole. Wskutek wysiłku na jej czole pojawiła się cieniutka warstwa potu.

- Jesteś zazdrosna, mój skarbie - stwierdziła. - Nieważne, jak bardzo mobilizowałaś Tinę, żeby stanęła na własnych nogach i postarała się o chłopaka - tak naprawdę przywykłaś do tego, że byłaś dla niej najważniejsza i zawsze miałaś ją wyłącznie dla siebie.

- Bzdura. Tak jak powiedziałaś: zawsze ją zachęcałam do tego, żeby wreszcie sama...

- Oczywiście - przerwała jej Karen - ale nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo cię to dotknie, kiedy ona rzeczywiście to zrobi. Teraz nie wybijaj jej tego z głowy. Tina powinna wreszcie poczuć się swobodnie, nie możecie jej więcej ograniczać, ani ty, ani jej ojciec!

- Może masz rację - mruknęła Dana, zastanawiając się, czy to rzeczywiście możliwe, by zazdrość mąciła jej obiektywizm w ocenie Maria. Miała wrażenie, że w słowach matki pobrzmiwa coś prawdziwego. A jednak... nie potrafiła stłumić w sobie złych przeczuć. Nieważne, czy były uzasadnione; (dręczyły ją, niepokoiły i irytowały. Przez najbliższe tygodnie będzie musiała zebrać w sobie mnóstwo energii, by nadać swym myślom inny kierunek.

- I Janet nie dała żadnego znaku życia? - zapytał z niedowierzaniem Maximilian.

Wygrzewał się w słońcu, siedząc na drobnym białym piasku, i obmywał nagie stopy w chłodnych jeszcze wodach Bałtyku. Nic nie zakłócało popołudniowej ciszy w tej niedużej zatoczce; jedynie kilka mew przecinało z wrzaskiem niezmacony błękit nieba. W oddali słychać było warkot samolotu. Brzęczały pszczoły. Mario przysiadł na kamieniu. Tak jak jego brat, miał na sobie džinsy i T-shirt, nie zdjął jednak butów ani skarpet. Był blady i

zdenerwowany.

- Nie, żadnego - odparł - jakby zapadła się pod ziemię.

- Ojciec nie powiadomi policji? Może coś jej się przydarzyło?

Mario spojrział ponad powierzchnią wody. Jak zawsze, kiedy przebywał nad morzem, ogarnęło go uczucie spokoju i odprężenia. Wzburzenie, jakie często usiłowało nim zawładnąć, łagodził szum fal oraz woń soli i alg.

- Ojciec nie sądzi, żeby coś się jej stało - powiedział. Maximilian spojrział nań ze zdziwieniem.

- Jest tego pewny?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. Sprawia takie wrażenie. Wiem, o czym myśli.

- Skąd wiesz... - Maximilian urwał i westchnął głęboko.

- Sądzi, że to... Andrew Davis?

- Ja też tak myślę.

- Po tylu latach... czy naprawdę uważasz, że to możliwe?

- Ich znajomość tak naprawdę nigdy się nie zakończyła. Na pewno nie w jej myślach.

Janet zawsze za nim tęskniła.

- To powinna była z nim zostać - odparł gwałtownie Maximilian. Wziął garść piasku i gniewnym ruchem cisnął go w wodę. - To byłoby bezwzględne, ale przynajmniej fair wobec ojca.

- Może nie zrobiła tego ze względu na nas. Albo żeby się zabezpieczyć.

- Zabezpieczyć? Przed czym?

- Przed Daviesem. Może przewidywała, że sprawi jej ból, jeśli z nim zostanie.

- Miała po temu jakieś podstawy?

- On ma w sobie coś... niestałego, coś nieprzewidywalnego...

Maximilian w zamyśleniu taksował wzrokiem swego brata.

- Dobrze go jeszcze pamiętasz. Mieliśmy po sześć lat, gdy się rozeszli.

- Później widziałem jeszcze jego zdjęcia - odparł Mario. W biurku Janet.

Maximilian roześmiał się.

- Węszyłeś za nim? - Tak.

- Rozumiem. Znalazłeś coś jeszcze? Jakieś listy?

- Nie. Tylko tych kilka zdjęć.

Maximilian skinął powoli głową. Nagle zapytał:

- Jutro z rana wyjeżdżasz do Duverelle?

- Zamierzam ruszyć koło siódmej.

- Ciekaw jestem, co ty tam będziesz robić - powiedział Maximilian. - Możesz czuć się tam bardzo samotnie.

Mario podniósł się z miejsca, włożył okulary przeciwsłoneczne, odgarnął ciemne włosy.

- Może tego właśnie szukam - odparł.

Jaki on przystojny, pomyślał Maximilian. W chwilach takich jak ta, kiedy uświadamiał sobie fizyczną atrakcyjność swego brata, zapominał, że są bliźniakami. Potrafił obserwować go pełnymi podziwu oczami, jak zupełnie obcy człowiek, zgłębiać symetrię rysów jego twarzy, smukłe, mocno nakreślone linie jego sylwetki. Było to rzadkie, osobliwe wrażenie rozdwojenia. Zazwyczaj byli zbyt mocno ze sobą stopieni, by któryś z nich mógł wynurzyć się z jednej istoty i spojrzeć na drugiego z boku. Często ze sobą rozmawiali o swoim bliźniactwie, o zesłanym im przez los, dożywotnim współistnieniu. Obaj odbierali je podobnie: stanowili jedną istotę. Mario i Maximilian, Maximilian i Mario. Ich imiona były zupełnie przypadkowe i równie dobrze mogłyby zostać przydzielone inaczej. Ich dwa ciała były przypadkowe; ciało jednego równie dobrze mogłoby należeć do drugiego. To, że posiadali dwie tożsamości, wydawało im się osobliwym kaprysem natury, która dla żartu wyposażyła jedną duszę w dwa ciała, tudzież wyrazem bezradności i braku zrozumienia ze strony rodziców, którzy nadali im dwa imiona.

Także i teraz, gdy Maximilian przez chwilę patrzył na brata z niezwyklej perspektywy postronnego obserwatora, wiedział, że owo uczucie zaraz się ulotni. Kiedy to sobie uzmysłowił, znów stopili się w jedno; to na swoje lustrzane odbicie spoglądał, to swoją urodę podziwiał.

Wstał, zabierając ze sobą buty i skarpety. Piasek kleił się do jego mokrych stóp.

- Powinniśmy już wracać do kliniki - powiedział. - Czeka cię jeszcze długa droga do Hamburga. A jutro musisz wcześniej wstać.

- Masz rację - przyznał Mario.

Zgodnie poczłapali do samochodu. Słońce zniżało się właśnie ku czarnej linii na horyzoncie, którą tworzył zarys sosnowego lasu.

Naraz Maximilian przystanął. Jakby w zapamiętaniu powiedział:

- Coś przede mną ukrywasz, prawda? To znaczy... czuję to...

Także Mario zatrzymał się. Nie odpowiedział. Ciemne okulary zasłaniały jego oczy, Maximilian nie mógł dostrzec w nich żadnej reakcji na swoją uwagę.

- Davies - potwierdził Phillip do słuchawki - tak, Andrew Davies. W Londynie. Co takiego? Wytężył słuch.

- Nie, nie znam ulicy. Ale to jest w Chelsea. Jeśli nadal tam mieszka.

Szperając zazdrośnie w biurku Janet, Phillip znalazł przez te wszystkie lata tylko jeden list od Daviesa. Jeden jedyny list, krótki i rzeczowy. Davies informował w nim, że już od lat pracuje dla Scotland Yardu i przeprowadził się do Londynu, żadnych miłosnych zaklęć, żadnych zapewnień o tęsknocie. Phillip ponownie szukał tego listu, by sprawdzić adres, nie mógł go jednak odnaleźć. Mogło to oznaczać, że Janet miała go przy sobie; pewnie sama potrzebowała tego adresu. Oblała go fala gorąca; usiłował przypomnieć sobie nazwę ulicy. Pamiętał tylko, że było to bodaj w Chelsea.

- Tak... tak, dziękuję, już zapisuję... - Przycisnął słuchawkę ramieniem; w jednej ręce trzymał niewielki notes, drugą nagryzmolił podyktowany numer. Potem odłożył słuchawkę, spojrzął w notatki i zastanawiał się, czy naprawdę chce to wiedzieć...

Ponownie podniósł słuchawkę, wybrał kierunkowy do Anglii, Londynu, następnie numer Andrew Daviesa. Kiedy czekał na sygnał dzwonka, zauważył, że drżą mu dłonie, a na czole pojawił się pot.

- Wszystko w porządku - szeptał uspokajająco do siebie.

W Londynie ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - zapytał kobiecy głos. Była to Janet.

Phillip wypuścił słuchawkę z dłoni, jakby sparzył sobie palce. Wlepił wzrok w aparat telefoniczny. Oczywiście, że się tego domyślał, w gruncie rzeczy nie był tym w najmniejszym stopniu zaskoczony. A jednak słysząc głos Janet, poczuł się jak porażony prądem. Ten znajomy głos kobiety, która zupełnie naturalnie odbiera telefon w mieszkaniu innego mężczyzny... Czyżby mieszkała u niego?

Phillip przeszedł powolnym ciężkim krokiem do pokoju dziennego, wyjął z szafki kieliszek i nalał sobie koniak. Ogromnym wysiłkiem woli oduczył się zazdrości, stłumił ją w sobie tak silnie, iż gwałtowność, z jaką nim teraz owładnęła, wstrząsnęła nim do głębi. Dlaczego wciąż sprawiała mu ból, po tylu latach? Od dawna pogodził się z tym - tak mu się przynajmniej wydawało - że Janet darzyła go uczuciem czysto przyjacielskiej natury. Lubiała go, postrzegała go jako godnego zaufania partnera, z którym łatwiej poradzi sobie w zmaganiach z drobnymi przeciwnościami codziennego życia. Phillip, ojciec jej dzieci, od czasu do czasu ramię, na którym można się wesprzeć. W gruncie rzeczy parszywa rola, jaką mu wyznaczyła.

Czy jednak kiedykolwiek zrobiłem coś, by zmienić swoje położenie, pomyślał Phillip, popijając koniak małymi łykami i podziwiając letni wieczór. Nic. Zupełnie nic. Cholernie dobrze dopasowałem się do sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Janet miała osiemnaście lat, kiedy ją poznał. Przyjechała z Anglii do Monachium jako opiekunka do dzieci. By nauczyć się języka, twierdziła. Jak się później okazało, w rzeczywistości podjęła rozpaczliwą próbę zerwania z Andrew Daviesem.

Phillip nadawał się na pomocnego kompana. Był jeszcze studentem i prowadził bogate życie towarzyskie, był przystojny i miał wielu przyjaciół. Wszędzie zabierał ze sobą Janet i troszczył się o to, by nie zostawała sama i nie pogrążała się w rozmyślaniach. Chodzili na przyjęcia, do kina i teatru, wędrowali po górach i spędzili wspaniałe lato u znajomych na południu Francji. Przez trzy czwarte roku ich znajomość i pozostawała czysto platoniczna, choć Phillip był już od dawna zakochany w Janet. Kiedy wreszcie została jego kochanką, wyczuł, że kryje się za tym więcej rezygnacji niż namiętności. Pogodził się z tym, mając nadzieję na zbawienny wpływ czasu, wyczekiwał czegoś, co nigdy nie nastąpiło. W gruncie rzeczy nadal miał nadzieję, nawet wtedy gdy usłyszał jej „halo” w słuchawce Daviesa. Gotów był czekać aż po grób, wciąż żywić nadzieję. I się tym ośmieszać.

Jestem prawdziwym nieudacznikiem, mówił sobie. Przegrać może każdy, lecz prawdziwym przegranym jest ten, kto ponosi klęskę, nawet nie podejmując walki. Kto godzi się na nią, jakby była nierozzerwalną częścią jego istoty.

Być może tak było. Klęska była mu pisana od samego początku. Wiedział o tym. Dlatego pogodził się z tym i dopasował do swej roli.

Przez długi czas stał przed oknem i nawet nie zauważył, że zapadła już noc, ciepła jasna czerwcową noc, kiedy to robaczki świętojańskie tańczą ponad łąkami. Dopiero gdy usłyszał odgłos otwierania drzwi wejściowych, drgnął i ocknął się z zadumy. Do pokoju wszedł Mario.

- Jeszcze nie śpisz? - spytał zdziwiony. - I czemu stoisz w ciemnościach?

Phillip odwrócił się.

- Zamyśliłem się. Wracasz od Maximiliana?

- Tak, ale pojeździłem też trochę po okolicy. Piękna dziś noc.

- Nawet tego nie zauważyłem - wyznał Phillip. Niezdecydowanie obracał w dłoniach pusty kieliszek. - Spakowałaś się już? Chcieliście wyjechać dosyć wcześnie rano.

- Jeszcze nie. Zaraz się za to zabiorę.

Pewnie nie chce jechać, pomyślał Phillip.

Zdawał sobie sprawę, że powinien to rozważyć, jednakże miał zbyt wiele własnych zmartwień. Był zmęczony wszystkimi problemami, które go dręczyły.

- Położę się spać - oznajmił. - Obudź mnie, proszę, nieważne, jak wcześnie wstaniesz.

Chciał wyjść z pokoju, lecz Mario przytrzymał go za ramię.

- Masz jakieś wieści od Janet?

- Nie - odparł Phillip, po czym odszedł.

- Czy mogę zająć panu chwilę, profesorze? - spytał Maximilian. Złapał Echingera na korytarzu przed jego gabinetem. W całej klinice panowała cisza, prawie wszyscy albo już spali, albo przynajmniej zaszyli się w swoich pokojach. Echinger odbył jeden ze swych długich późnych spacerów i miał jeszcze zamiar przesiedzieć godzinę lub dwie przy biurku. Wystarczała mu niewiarygodnie mała ilość snu; u wszystkich swych współpracowników wzbudzał poczucie winy, bowiem w jego obecności każdy wydawał się niepoprawnym próżniakiem.

- Pan Beerbaum! - rzekł zaskoczony profesor. - Jeszcze pan nie śpi? Nie widziałem pana przy kolacji, a chciałem bezzwłocznie przekazać panu dobre wieści. - Otworzył drzwi do swego gabinetu. - Proszę, niech pan wejdzie.

Maximilian wszedł do środka. Echinger zajął miejsce za biurkiem i zaczął szperać w stosie papierów.

- Jest! - Wyciągnął kartkę. - To oficjalne potwierdzenie z sądu krajowego we Flensburgu. Z dniem pierwszego sierpnia bieżącego roku pański pobyt w klinice zostaje zawieszony.

- Och - odparł Maximilian. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, wsunął je do kieszeni spodni, lecz zaraz znów wyciągnął, poczuwszy się jak jakiś uczeń.

- Niechże pan siada - poprosił Echinger. Maximilian zajął miejsce na krześle, które stało przed biurkiem. Osobliwa, zupełnie inna perspektywa pomieszczenia sprawiła, że od razu poczuł się inaczej w obecności profesora. Podczas zajęć terapeutycznych obaj siedzieli naprzeciw siebie w fotelach po drugiej stronie pokoju. Masywne, budzące respekt biurko, które stało teraz między nimi, sprawiło, że Maximilian poczuł się mniejszy. I podporządkowany.

- Cieszy się pan? - spytał Echinger. - To znaczy, wiedzieliśmy, że tak się stanie, ale teraz jest to, by tak rzec, nie do podważenia.

- Oczywiście, że się cieszę.

- Obawia się pan, prawda? Czy coś się zmieniło w stosunkach z pańskim ojcem?

- Szkocja przepadła. Moja matka nie pojawiła się tam, a drugiej szansy nikomu tam nie dają. Ojciec oczywiście próbował ich przekonać za wszelką cenę, ale nic już nie dało się zrobić. Miejsce przyznano komu innemu.

- Aha. Czy poczuł pan ulgę? Maximilian wzruszył ramionami.

- W pewnym sensie, owszem. Ale wciąż nie wiem, co ze sobą począć. Z taką

przeszłością mam same słabe karty.

Echinger nachylił się i spojrział na Maximiliana przenikliwym wzrokiem.

- Tak często o tym rozmawialiśmy. Jest pan skłonny widzieć wszystko w ciemnych barwach, interpretować wszystko na własną niekorzyść. To zupełnie normalne w pańskiej sytuacji. Spędził pan sześć lat za grubymi murami kliniki; oczywiście boi się pan powrotu do normalnego życia. Ale proszę dostrzegać także i te rzeczy, które mogą dawać nadzieję.

- Panie profesorze... - zaczął Maximilian, jednak Echinger przerwał mu.

- Nigdy nie powiedziałem panu tego w sposób tak bezpośredni, ale jest pan najinteligentniejszym pacjentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Przyznaję, że pańska przeszłość będzie panu bardzo ciężać. Ale to nie wszystko. Pańskim kapitałem jest pańska inteligencja, a tego nikt panu nie odbierze.

- Ale może nikt jej nie zauważy.

- Sądzę, że ludzie silni zdołają się przebić - odparł Echinger. - Nie powinien pan sobie jednak utrudniać tego procesu, będąc dla samego siebie największym przeciwnikiem. Proszę nie robić z siebie współnika tych, którzy są przeciwko panu.

Ma dar przekonywania, pomyślał Maximilian, mocny apel, który dodaje odwagi. Nagle powiedział:

- Moja matka zniknęła. Echinger zmarszczył czoło.

- Zniknęła?

- Nie wróciła z Anglii. I nie odezwała się.

- Czy to możliwe, by coś jej się przydarzyło? Czy ojciec rozpoczął stosowne poszukiwania?

- Nie. Ojciec jest przekonany, że nic jej nie jest. Razem z moim bratem sądzą, że zatrzymała się u Andrew Daviesa.

Po sześciu latach terapii profesor Echinger znał każdy szczegół życia rodzinnego Beerbaumów. Od razu wiedział, o kogo chodzi.

- Andrew Davies. To ten mężczyzna, który...

- Tak. To on. Wiele na to wskazuje, że jest u niego. Zawsze go bardzo... pożądała. Kiedy stanęła na angielskiej ziemi, dawne uczucia mogły powrócić.

Echinger zamyślił się, po czym zapytał:

- Co dokładnie pan czuje, wiedząc, że matka jest teraz z Andrew Daviesem?

Maximilian potrząsnął głową.

- Nie, panie profesorze, to nie czas na zajęcia terapeutyczne. Tym razem nie odpowiem na to pytanie.



- Oczywiście, nie musi pan odpowiadać - odparł łagodnie Echinger. - Pomyślałem tylko, że skoro poinformował mnie pan o tym...

Maximilian podniósł się z krzesła.

- Po prostu chciałem to panu powiedzieć. Nie chcę jednak tego roztrząsać.

- Czekał pan do tak późnej pory przed drzwiami. Sądziłem, że chce pan porozmawiać.

- Rozmyśliłem się - oznajmił Maximilian. Podszedł do drzwi, jednak przystanął, trzymając dłoń na klamce. - Chyba nie chcę wiedzieć, co czuję na myśl o mojej matce i Andrew Daviesie. Rozumie pan?

- Ależ tak - zapewnił Echinger. Podniósł się i spojrział wyczekująco na Maximiliana. Ten otworzył drzwi, zamierzał wyjść, a jednak jeszcze raz się odwrócił.

- Co daje panu pewność, że jestem zdrow, profesorze?

- Jak to?

- Przede wszystkim dzięki pańskiej opinii mogę opuścić to miejsce.

- Nie. W równej mierze zawdzięczamy to orzeczeniom niezależnych specjalistów wyznaczonych przez sąd.

- Zgoda. Ale pańska opinia wiele znaczy, po sześciu latach. Co daje panu tę pewność?

- To pan mi ją daje. Po prostu.

- Ale bierze pan na siebie pewną odpowiedzialność, czyż nie? A jeśli się pan myli? - Nie czekając odpowiedzi, wyszedł na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi.

Echinger potrząsnął głową i usiadł. Znał tego rodzaju gierki pacjentów. Terapeuta je prowokował, niemal nieuchronnie wynikało to z sytuacji.

Nie był to powód do irytacji czy gniewu.

Maximilian Beerbaum był jednym z największych sukcesów terapeutycznych w całej jego karierze. W ciągu dwóch pierwszych lat jego depresja wręcz uniemożliwiała jakiegokolwiek zbliżenie się do niego. Musiał pozostawać pod stałym nadzorem ze względu na skłonności samobójcze. Jednak z czasem było coraz lepiej; Maximilian zaczął się otwierać, zaś Echinger powoli zaskarbiał sobie jego zaufanie oraz gotowość do współpracy. Dziś dałby sobie rękę uciąć, iż Maximilian jest zdrow. Czy aby na pewno?

Westchnąwszy, wziął do rąk książkę i otworzył ją.

Nie potrafił wszakże skupić myśli.

## Poniedziałek, 5 czerwca 1995 roku

Po dziesięciu godzinach jazdy nie wytrzymała.

- Na Boga, Mario, zgłodniałam! I jestem okropnie zmęczona. Czy nie powinniśmy pomyśleć, gdzie się zatrzymamy, żeby coś zjeść i przenocować?

Przekroczywszy granicę z Francją w okolicach Miluzy, I jechali przez Burgundie w stronę doliny Rodanu. Dochodziła siódma, był ciepły i jasny letni wieczór. Rankiem w Hamburgu padał deszcz; im dalej na południe, tym bardziej niebo się przejaśniało. Teraz nad horyzontem żeglowało zaledwie kilka różowawych chmurek.

- Chcesz coś zjeść w jakimś mieście? - spytał Mario tonem, który wyraźnie świadczył o tym, że nie podoba mu się ten pomysł. - Przecież o tej porze wszędzie będzie pełno ludzi.

- Autostrady też są przepełnione. - Rzeczywiście, posuwali się naprzód w istic zółwym tempie. - Myślałam, że przy okazji obejrzymy co nieco.

- Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Uznałam to za oczywiste, że gdzieś się zatrzymamy i rozejrzemy. Nie wiedziałam tylko gdzie, ponieważ nie mieliśmy pojęcia, jak daleko dziś dotrzemy.

Mario westchnął. Tina odwróciła się do niego, spojrzała na jego urodziwy, kształtny profil. Nawet patrząc z boku, mogła zauważyć, jak bardzo jest znużony. Mimo to układ jego warg świadczył o determinacji. Nagle w głowie Tyny zrodziło się mgliste podejrzenie.

- Chyba nie zamierzasz jeszcze dziś dotrzeć nad Morze Śródziemne?

- Czemu nie?

- Przecież to jeszcze co najmniej pięćset kilometrów! Potrwa to całą noc!

- Za to zyskamy cały jeden dzień.

- Ach, jeden dzień! I dlatego mamy się tak męczyć!

- Przecież chciałaś koniecznie jechać do Prowansji - rzucił urażony Mario - a teraz tak łatwo rezygnujesz z jednego dnia!

- Uważam tylko, że nie musimy pędzić na złamanie karku. Stracisz cały tydzień, żeby wypocząć po tej jeździe!

- Dam radę - oświadczył Mario. Po chwili dodał: - Ale jeśli koniecznie chcesz...

Zabrzmiało to tak markotnie, iż Tina natychmiast się wycofała.

- Nie, wcale nie musimy. To tylko propozycja.

Mario spojrzał na nią. Uśmiechnął się, jego twarz przybrała pogodny i odprężony wyraz.

- Zjedzmy coś. Czy masz coś przeciwko temu, byśmy zatrzymali się w jakimś zajeździe niedaleko autostrady? Nie znoszę błędzić po obcych miastach...

W końcu znaleźli się w przydrożnej gospodzie; Tina zgłodniała tak bardzo, że było jej to zupełnie obojętne. Od śniadania odpoczywali tylko raz - na stacji benzynowej na wysokości

Frankfurtu; oboje zjedli po dwa zeschnięte sandwicze z serem smakującym jak plastik. Ta gospoda wyglądała całkiem zachęcająco. Było tam zaskakująco niewielu ludzi.

Tina i Mario usiedli przy stoliku w kącie i oboje zamówili tę samą potrawę z makaronu. Tina poprosiła o kieliszek białego wina, Mario jako kierowca pił tylko wodę mineralną. Z kuchni dochodziły smakowite zapachy, za oknami kontury dnia rozplływały się w miękkich szarobłękitnych welonach zmierzchu. Tinę owładnął kojący, nieco senny nastrój. Spoglądając na Maria, pomyślała, jak dobrze się złożyło, że go poznała i że mogli teraz wybrać się razem w podróż. Ponad blatem stołu sięgnęła po jego dłoń.

- Cieszę się na te wakacje, Mario - wyznała cichym głosem.

Chwycił mocno jej palce.

- Ja też się cieszę! - On także sprawiał wrażenie nieco odprężonego. Jego ręce były przyjemnie chłodne w dotyku.

Kelnerka podała napoje. Tina oderwała na chwilę wzrok od twarzy Maria. Za jego plecami dostrzegła jakiegoś mężczyznę. Nosił zbyt obcisły brązowy golf z włókien syntetycznych, Miał tłuste włosy. Wgapiał się w Tinę swymi ciemnymi oczami, tak wąskimi, iż mogły sugerować azjatycki rodowód.

Tina odwróciła wzrok, lecz nadal czuła na sobie spojrzenie tego obcego człowieka. Musiała ponownie spojrzeć w jego kierunku. Nadal świdrował ją wzrokiem, jakby czał się na jakąś zdobycz.

- Mario - szepnęła - odwróć się dyskretnie. Siedzi tam jakiś człowiek i gapi się na mnie, jakby nigdy jeszcze nie widział kobiety!

Oczywiście Mario nie odczekał ani chwili, lecz odwrócił się od razu, zwracając na siebie uwagę. Nieznajomego mężczyzny wcale to nie zirytowało. Ani na moment nie spuścił wzroku z Tiny.

- Chcesz, żebyśmy usiedli gdzie indziej? - zapytał Mario. Tina potrząsnęła głową.

- Bzdura. Ale przyznasz, że sprawia trochę dziwne wrażenie.

- Rozumiem go - uśmiechnął się Mario. - Wyglądasz ślicznie.

Tina nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż podano potrawy. Makaron z gotowym, ledwie zmieszonym sosem serowym smakował nieszczególnie, niemniej Tina pożerała wszystko,

jakby umierała z głodu.

- Jak myślisz - spytała, gdy skończyła jeść i z ulgą rozparła się na krześle - kiedy dotrzemy do celu?

- W nocy - odparł Mario. - Prześpisz się w samochodzie, a kiedy się obudzisz, będziemy na miejscu.

- Okay - zgodziła się. Nie przywykła do alkoholu, toteż jeden kieliszek wina wystarczył, by udzielił się jej przyjemny i łagodny nastrój. Już jej nie przeszkadzało, że Mario chce dotrzeć do Nicei, nie zatrzymując się po drodze. Nie mogła zrozumieć, dlaczego w ogóle się o to złościła.

Dziwny nieznajomy zjadł sałatkę i wypił piwo. Odliczoną kwotę położył obok talerza, po czym podniósł się z miejsca. Spojrzał na Tinę... Odwróciła wzrok.

Kiedy Mario zapłacił, Tina chciała jeszcze pójść do toalety. Mario postanowił wyjść i zatankować samochód. Tina musiała zejść po schodach, po czym pokonać długi ciemny korytarz, w którym odgłosy jej kroków odbijały się echem. Toaleta dla pań mieściła się w piwnicy, patrząc z perspektywy restauracji, jednak ponieważ budynek usytuowany był na zboczu, po drugiej jego stronie okna znajdowały się tuż nad powierzchnią ziemi.

W toalecie nie było nikogo. Tina guzdrała się nieco w dużej łazience; dokładnie rozczesała włosy i umalowała usta ciemnoczerwoną szminką. Do jej zakupu namówiła ją Dana.

- Musisz dać mu wyraźny sygnał - pouczała ją. - Tym bladym różem, którego zawsze używasz, nic nie działasz!

Efekt całkiem niezły, uznała Tina. Głęboka czerwień jej ust przydała jej lat i uczyniła ją nieco bardziej atrakcyjną. Ojcu by się to nie spodobało, ale ciekawa była, jak zareaguje Mario.

Zajrzała do każdej kabiny, nim wybrała tę, którą uznała za najczystszą. Kiedy rozglądała się za miejscem, gdzie mogłaby powiesić torebkę, usłyszała skradające się kroki.

Zrazu nie wiedziała, z której strony dochodzą odgłosy. Po chwili zorientowała się już, że ktoś drepce na zewnątrz budynku i zagląda w każde okienko. Kroki przybliżyły się. Tina spojrzała w górę rozszerzonymi oczyma, nagle zaschło jej w ustach. Na górze pojawił się cień. Przez mleczne szkło nie mogła nic więcej dostrzec, nieznajomy podglądacz także niewiele więcej mógł zobaczyć. Bez wątplenia zorientował się jednak, gdzie się akurat znajduje.

Mężczyzna przykucnął. Przez wąską szczelinę przy górnej krawędzi uchylonego okna Tina mogła usłyszeć jego przytłumiony oddech.

Nagle odzyskała przytomność umysłu. Drżącymi palcami chciała przekręcić zamek w drzwiach. Ani drgnął, coś się w nim zacięło albo w roztargnieniu robiła coś niewłaściwie. Zdjęta panicznym strachem szarpała za drzwi.

- Mario! - Jej głos zabrzmiał przeraźliwie. - Gdzie jesteś?

Cień za oknem oddalił się spiesznie. Tina usiłowała oddychać powoli i głęboko. Nie miało sensu dłużej krzyżeć i szaleńczo dobijać się do drzwi. Ponownie spróbowała przekręcić zamek. Drzwi otworzyły się z łatwością.

Tina rzuciła się pędem przez łazienkę i omal nie zderzyła z inną kobietą, która właśnie weszła. Ze zdziwieniem spojrzała na roztrzęsioną dziewczynę, która przemknęła obok niej jak błyskawica.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, Tina wybiegła po schodach, po czym próbując nad sobą zapanować, przeszła nieco wolniejszym krokiem przez salę restauracji. Dostrzegła Maria na stacji benzynowej. Właśnie umieścił wąż we wlewie i zaczął napełniać bak.

- Mario, dzięki Bogu, że jesteś! - Wzburzona chwyciła go za rękę.

Mario popatrzył na nią zdziwiony.

- A gdzie mam niby być? - Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Czy myślisz, że odjechałbym bez ciebie?

- Tam, przed oknem, był jakiś mężczyzna! Próbował zaglądać do środka!

- Przed którym oknem?

- W toalecie. Głośno dyszał i próbował zajrzeć do środka!

- Mam sprawdzić? Może nadal się tam kręci.

- Nie. Na pewno uciekł. Zaczęłam głośno krzyżeć, to go wystraszyło.

Naraz Tina odniosła wrażenie, że cała ta sytuacja jest trochę niedorzeczna. W piwnicy było strasznie, lecz tutaj, na zewnątrz, kręcili się ludzie, stali przy dystrybutorach, dzieci bawiły się, dwa psy gniewnie szczekały na siebie. Na ławkach cykały świerszcze. Co ją tak wzburzyło? Jakiś podglądacz, który zapewne stale straszył kobiety przez okna toalet w zajazdach przy autostradach, przy czym pewnie był zupełnie niegroźny.

- Może to ten facet, który tak ci się przyglądał - powiedział Mario. Rozejrzał się wokół. - Wydaje się, że już go tu nie ma.

- Ach, zapomnij o tym. Nieważne, kto to był. Przestraszyłam się, to wszystko. Ruszajmy w drogę.

Mario zapłacił, po czym oboje wsiedli do samochodu i wrócili na autostradę. Tina postanowiła puścić w niepamięć owo nieszczęsne zdarzenie, kiedy Mario odezwał się:

- Sama trochę prowokujesz tego rodzaju sytuacje.

Tina spojrzała na niego.

- Co takiego?

Mario nie odrywał wzroku od drogi.

- Nigdy jeszcze nie widziałem cię w tak krótkiej spódniczce jak dzisiaj!

Tina poczuła konsternację.

- Wybacz, ale mamy lato! Jedziemy na wakacje! Co masz przeciwko krótkiej dżinsowej spódnicy?

W końcu popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Maleńka, nie denerwuj się! Ja tylko powiedziałem...

- Powiedziałeś, że to ja prowokuję. Próbujesz zrzucić winę na mnie.

- Nie było mowy o żadnej winie. Istnieją mężczyźni, dla których krótka spódniczka jest wyraźnym zaproszeniem.

(Chciałem ci to tylko uświadomić.

- Mówiłeś o prowokacji - upierała się Tina - a to oznacza, że przypisujesz mi przynajmniej część winy.

Mario przewrócił oczami.

- Nie miałem takiego zamiaru. Może źle się wyraziłem.

- No właśnie - odparła poirytowana Tina. Mario milczał. W końcu spytał od niechcienia:

- Co ty w ogóle zrobiłaś z ustami?

- Z ustami? - Zupełnie zapomniała o szmince i w pierwszej chwili nie wiedziała, co Mario ma na myśli. Niepewnie dotknęła warg. - Co z nimi?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Sporo koloru.

- Och... nie podoba ci się?

- Bardziej podobała mi się ta poprzednia szminka. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie będziesz się malować. Twojej twarzy niczego nie brak.

- Chciałam wyglądać nieco doroślej - powiedziała nieśmiało Tina.

Odchyliła daszek przeciwsłoneczny i przejrzała się w lusterku. Jej usta rzeczywiście wyglądały zbyt jaskrawo. Ot i cała Dana; żeby wcisnąć jej szminkę takiego koloru! Szybko wygrzebała chusteczkę i wytarła usta.

- Tak lepiej? - spytała.

Mario uniósł dłoń i delikatnie musnął jej policzek.

- Jesteś śliczna, Tino. Masz twarz anioła.

Uśmiechnęła się cierpko, po czym spojrzała na przemykający za oknem, miękko pofałdowany, zalesiony krajobraz Burgundii oraz na wspaniały zachód słońca. Zastanawiała się, dlaczego ów komplement jej nie ucieszył. Mario nie powiedział przecież nic prócz tego, że bardziej mu się podoba, kiedy się nie maluje, i porównał ją do anioła.

Dlaczego nagle poczuła się tak mizernie? Jakby popełniła jakiś wielki błąd albo zachowała się zupełnie niestosownie?

Siedzieli zgodnie przy kolacji, w cichym porozumieniu, niczym długoletnie małżeństwo. Jedli łososia, chleb tostowy i rozmaite sałatki, sączyli bardzo zimne wino. Cicha muzyka rozbrzmiewała ze stojącego w kącie odtwarzacza CD. Słysząc też było przytłumione odgłosy londyńskiej ulicy.

Andrew miał na sobie stary, niebieski, podniszczony już szlafrok, pochodzący jeszcze z czasów studenckich. Nowy, mechaty, z ciemnobrązowego frotte, oddał Janet. Musiała kilkakrotnie podwinąć rękawy i uważać, by nie nadepnąć na obrąb, niemniej czuła się w nim bezpiecznie. Materiał przeniknął zapachem Andrew, jego mydłem, wodą po goleniu, jego ciałem. Andrew chciał go najpierw wyprać, lecz nie po - - zwoliła mu na to. Polubiła go takiego, jakim był.

Starzy małżonkowie, pomyślała, prawdopodobnie nie kochaliby się kwadrans przed kolacją. Byliby nazbyt sfrustrowani. Ona długim dniem spędzonym samotnie w domu, on kłopotami w pracy.

Janet wszakże nie nudziła się ani przez chwilę. Spali długo, zjadła obfite śniadanie, po czym odwiedziła Täte Ga Hery. Dopiero po południu uświadomiła sobie ze zdziwieniem, ile godzin tam spędziła. Zrobiła zakupy na kolacji; i wróciła do mieszkania ledwie pół godziny wcześniej niż Andrew. Kiedy się zjawił, od razu było widać, że trapią Ho zmartwienia.

- Fred Corvey? - spytała. Ucałował ją i przytaknął.

- Jutro zaczyna się rozprawa główna. Trochę się denerwuję.

- Nie powinienes się tym tak bardzo przejmować! Pełnym rezygnacji gestem przetarł lekko zaczerwienione ze zmęczenia oczy.

- Masz rację. Jak ci minął dzień?

Opowiedziała o swej wizycie w muzeum, a następnie wypili po jednym sherry i poszli do łóżka. W ten sposób zaczynali każdy wieczór w ciągu owego tygodnia, jaki Janet spędziła w mieszkaniu Andrew. Przez wszystkie lata małżeństwa z Phillipem Janet zapomniała niemal, jak wspaniale było kochać się z Andrew. Pociągał ją fizycznie znacznie bardziej niż Phillip. Do tego Andrew jako kochanek łączył w sobie delikatność i dominację, zaspokajając niewypowiedziane pragnienia Janet z lunatyczną pewnością. Śmiało docierał aż do granic,

które Janet gotowa była zaakceptować, a przy tym opanował sztukę, by nie przekraczać ich ani o krok. Nigdy też nie prowadzili owych przykrych dyskusji, przyprawiających Janet o rumieńce na policzkach, na temat ich seksualnych potrzeb, jakie Phillip, po skrupulatnym przestudiowaniu licznych pism kobiecych, uznawał za podstawę nowoczesnego, otwartego, równoprawnego partnerstwa.

Czy ty właściwie lubisz, kiedy ja...? Janet bardzo ceniła u Andrew, iż nigdy nie zadawał tego rodzaju pytań.

Potem wspólnie nakryli do stołu, nie odzywając się słowem, a jedynie poddając się błogiemu nastrojowi spokoju. Nagle Andrew niespodziewanie zapytał:

- Co właściwie było powodem twojego przyjazdu do Anglii?

Janet spojrzała nań z przerażeniem w oczach, spieszenie łyknęła wina, by zyskać na czasie, po czym odparła:

- Czemu akurat teraz o to pytasz?

- Nie dopiero teraz. Już od dłuższego czasu zastanawiam się nad tym, ale czułem, że nie chcesz na ten temat rozmawiać. Tymczasem... - zawahał się. Janet nie pomogła mu, tylko patrzyła na niego wyczekująco. Andrew westchnął. - Na Boga, Janet, nie chcę cię zdręczyć. Ale zastanawiam się, co dalej. Ja... - Na jego twarzy pojawił się rozbrajający młodzieńczy uśmiech. - Zaczynam przywykać do twojego towarzystwa. Każdego dnia, kiedy wracam do domu, cieszę się z twojej obecności. A zarazem boję się chwili, kiedy to wszystko się skończy.

- Czemu w ogóle o tym myślisz? Nie możesz po prostu żyć teraźniejszością i...

- Nie. - Położył swoją serwetkę na stole, wstał i podszedł do okna. Trzymając ręce w kieszeniach szlafroka, spoglądał na zapadający zmierzch. - Wybacz, te czasy już minęły. Potrzebuję nieco jasności na temat przyszłości. Nie jestem już na tyle młody, by żyć wyłącznie dniem dzisiejszym i nie zastanawiać się nad tym, co przyniesie jutro.

- Chyba znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że z pewnością nie wstanę ot tak, nagle, i zniknę - odpowiedziała Janet.

Andrew odwrócił się.

- Czy twój mąż, twoi synowie także mają tę pewność? Janet pobladła.

- To nie w porządku, Andrew - odparła cicho.

- A czy to w porządku trzymać mnie w zupełnej niepewności? - odpowiedział pytaniem.

Milczeli przez chwilę; potem Janet wstała i zaczęła zbierać naczynia.

- Wieczór był tak uroczy, aż do teraz - wyznała - Andrew podszedł do niej i wziął ją za rękę.



- Spróbuj mnie zrozumieć. Bardzo chciałbym wiedzieć, co sprawiło, że tak nagle wtargnęłaś w moje życie.

- Dlaczego?

- Bo wówczas może będę wiedział, czy powrócisz czy też nie.

- Nie mogę o tym rozmawiać.

- Janet, To, że zostawiasz męża, jeszcze potrafisz zrozumieć... to znaczy... coś takiego zdarza się często. Ale dzieci?! To po prostu do ciebie niepodobne!

- To już nie są dzieci. To młodzi mężczyźni, mają po dwadzieścia cztery lata.

- Mimo wszystko. - Andrew potrząsnął głową.” To niedorzeczne. Pokłóciłaś się z nimi? Miałaś jakiś poważny problem, z którym nie potrafiłaś sobie poradzić?

- Nie! - Zabrzmiało to bardzo ostro. Andrew spojrział na nią.

- Janet? Na pewno? Uwolniła swoje ręce.

- Nie stoję tu przed panem jako oskarżona, panie inspektorze - powiedziała zdecydowanym głosem. - Nie ma powodu poddawać mnie przesłuchaniu!

- Wcale tego nie chciałem. Chciałem tylko...

- Skoro tego nie chcesz, dlaczego to robisz? - Janet zabrała tacę i wyszła z pokoju.

Andrew słyszał, jak uwija się w kuchni wśród głośniego brzęku naczyń. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien pójść za nią i jeszcze raz spróbować porozmawiać, potem jednak pomyślał sobie, iż wystarczy, że już raz potraktowano go tak szorstko. Poczł wzbierającą złość. Cokolwiek skłoniło ją do wyjazdu z Niemiec, nie mogło to być aż tak tajemnicze, by nie napomknąć o tym nawet w aluzjach.

Wyszedł z pokoju, udał się do swego gabinetu i głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Skoro Janet chce zachować dystans, proszę bardzo.

Przez resztę wieczoru nie zamienili ze sobą ani słowa.

Było już krótko po dziesiątej, kiedy u Michaela Weissa zabrzączał dzwonek do drzwi. Michael, który właśnie drzemał przed telewizorem, zerwał się i dopiero po chwili oprzytomniał. Spojrział na zegarek. Któż to mógł być o tej porze? Miał wrażenie, iż jego serce zamarło ze strachu na kilka uderzeń, kiedy naszła go myśl, że coś mogło przytrafić się Tinie. Wypadek... a teraz przybyła policja, by go powiadomić, że...

Rzucił się do drzwi wejściowych, otworzył je szarpnięciem. Przed nimi stała Dana, trzymając w ręku butelkę wina.

- Coś nie tak? - spytała zaniepokojona.

- Nie... czemu...? - Michael odetchnął głęboko; w głębi ducha zaśmiał się z samego siebie.

- Jest pan zupełnie blady - stwierdziła Dana - dlatego pomyślałam, że może coś...

- Chyba przysnąłem przed telewizorem - oświadczył Michael. Wstyd mu było się przyznać, że się niepokoi o córkę.

- Może dlatego jestem blady.

- Pewnie nie jest to odpowiednia pora na odwiedziny - powiedziała Dana - ale pomyślałam sobie, że w pierwszy wieczór bez Tiny może się pan poczuć samotny. Dlatego postanowiłam zajrzeć do pana i napić się razem wina.

Uniosła butelkę. Tani gatunek z supermarketu, poznał Michael. Wzruszyło go, że Dana pomyślała o nim. To sympatyczne, musiał przyznać, aczkolwiek nieszczęśliwie za nią przepadał. Wynikało to stąd, iż w zasadzie nie lubił ludzi niekonwencjonalnych, zaś Dana taka właśnie była, i to w najwyższym stopniu. Choćby teraz: zjawia się u niego po dziesiątej wieczorem, bez zapowiedzi, z butelką wina w dłoni, a wygląda jak... jak... Usiłował zignorować jej srebrne buty na szpilkach oraz odkryte nogi, czarną streczową spódniczkę, która ledwie zakrywała jej pupę, a także czerwony gorsetowy top, który w każdej chwili groził rozerwaniem. Poza tym ujrzał młodą, pogodną, inteligentną twarz, wesole ciemne loki, ufny uśmiech. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zaprosić ją do środka.

- W takim razie proszę wejść - powiedział.

Weszła do środka. Zanim Michael zamknął drzwi, zauważył, że w domu naprzeciwko poruszyły się zasłony w kuchni. Pięknie, teraz to już cała okolica będzie plotkować o niezwykłych damskich odwiedzinach, jakie pan prokurator miał późnym wieczorem.

Poszedł za Daną do pokoju dziennego, wyłączył telewizor i wyjął z szafki dwa kieliszki do wina. Dana wprawnie odkorkowała butelkę.

- A więc: pańskie zdrowie!

Wino przypominało jakiś podrzędny sikacz, lecz Danie wyraźnie posmakowało, gdyż jej twarz od razu się rozpromieniła. Rozsiadła się na sofie; jej niedorzeczna spódniczka przesunęła się jeszcze wyżej, odsłaniając czarne koronkowe figi. Michael odchrząknął i próbował znaleźć neutralny temat rozmowy.

- Jak pani poszły egzaminy? - zapytał. Dana wypila spory łyk wina.

- Matura? Dobrze. Choć nie tak dobrze jak Tinie. Ona jest po prostu większą spryciarą.

- Tak, Tina... - odparł Michael, zamyślony i zmartwiony - - Co się z nią teraz dzieje?

- Ja także stale o niej myślę - przyznała Dana.

Przez absurdalną chwilę oboje - siwowłosa prokurator i wyzywająco ubrana młoda dziewczyna - sprawiali wrażenie zatroskanego małżeństwa, które całą noc czeka na powrót

córki z dyskoteki.

- Nie powinienem się tak zamartwiać - powiedział Mi-chael i ostrożnie pociągnął jeszcze jeden łyk wina. Obawiał się, że od tego trunku dostanie strasznego bólu głowy.

- Ja też się martwię - odparła Dana - a przy tym ciągle ją zachęcałam, by wreszcie... - Ugryzła się w język.

- Tak? - spytał Michael.

- By się nieco usamodzielniała. Ona jest po prostu... za bardzo pilnowana, rozumie pan?

A ty zdecydowanie za mało, pomyślał Michael. Nic jednak nie odpowiedział.

- Ale - podjęła Dana - że też akurat z tym Mariem... Michael spojrzał na nią uważnie.

- Nie lubi go pani?

- Nieszczęśliwie.

- Co pani o nim wie? Dana wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że pochodzi z dobrej rodziny, jak by to pan powiedział.

- W tak zwanych dobrych rodzinach wydarzają się czasem szczególnie złe rzeczy - odparł Michael. - Niestety, nie znam ani jego ojca, ani matki.

- A jednak bronił się pan uparcie przed nawiązaniem jakiegokolwiek kontaktu z rodziną Beerbaumów - wypomniała mu Dana. - To niemal cud, że w ogóle zgodził się pan przyjąć biednego Maria, a tamten wieczór okazał się chyba zupełną katastrofą.

- Jest pani świetnie poinformowana.

- Rozmawiamy z Tiną o wszystkim. Michael skinął powoli głową.

- Rozumiem. Pewnie wie pani o Tinie więcej niż ja. O tak, pomyślała Dana, tego możesz być pewny!

- Wie pan... co się tyczy Maria... mam złe przeczucia - powiedziała na głos. - Nie potrafię tego wyjaśnić, tak po prostu jest. Moja matka uważa, że jestem zazdrosna. Być może w pana przypadku jest podobnie. Oboje przywykliśmy do tego, że mamy Tinę wyłącznie dla siebie.

Michael przeciągnął ręką wolno po włosach, po czym skosztował jeszcze łyk tego fuzła, który Dana uznała za wino. Bez wątplenia w słowach tej młodej dziewczyny kryła się jakaś część prawdy. Zdawał sobie sprawę, że jego własna opinia o Mariu nie była obiektywna i pozbawiona uprzedzeń. Co takiego zrobił ten młody człowiek, co mogłoby usprawiedliwić ową nieufność?

- Zastanawiam się, czy nie powinnam pojechać za nimi - powiedziała Dana...

- Och, nie wiem, czy...

- Nie pokażę im się. Po prostu ruszę na południe Francji autostopem i wynajmę jakiś pokój. Chcę być blisko Tiny.

- Na litość boską, czy nikt pani nie wytłumaczył, jak niebezpiecznie jest jeździć autostopem? - Aż strach go obleciał na myśl, że ta dziewczyna, w mini i szpilkach, mogłaby stanąć na poboczu drogi i wystawiać kciuk.

- Nie wolno pani tego robić - ostrzegł zdecydowanym tonem. - Proszę przejrzeć statystyki przestępstw! Co roku dziewczęta giną bez śladu podczas tego rodzaju przygód, zostają zgwałcone albo zamordowane. Naprawdę nie chciałbym, by panią spotkało coś takiego.

Dana, która podróżowała autostopem od dwunastego roku życia i nigdy nie usłyszała z ust matki jakiegokolwiek przestrogi, uznała reakcję Michaela za wielce przesadzoną, nie chciała jednak podejmować dyskusji na ten temat.

- Okay - odparła, by go udobruchać. - Nie zrobię tego. To był tylko pomysł... najwyraźniej nie za dobry.

Michael sięgnął po butelkę i dolał nieco wina do obu kieliszków. Zaczął się już przyzwyczajać do tego trunku, poza tym było mu zupełnie obojętne, czy rozboli go głowa czy nie. Tak czy owak nie zazna ani chwili spokoju, póki Tina nie powróci do niego cała i zdrowa.

## Wtorek, 6 czerwca 1995 roku

Tina przebudziła się, gdy samochód przystanął. Spała przez wiele godzin, nękana chaotycznymi snami. Ominęła ją podróż przez uroczą dolinę Rodanu, jazda krętą drogą wzdłuż południowego krańca Luberon, karkołomna wspinaczka we francuskim Wielkim Kanonie Verdón. Zerwała się, nie wiedząc z początku, gdzie się znajduje.

- Co się dzieje? - spytała zasnana.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Mario. - Udało się! - Zmuszał się, by jego głos brzmiał rześko. Był potwornie zmęczony, u kresu sił. Przez chwilę nie wiedział, czy zdoła zebrać w sobie tyle energii, by wysiąść z samochodu i wnieść do domu bagaże. Miał wrażenie, że zaraz zaśnie na kierownicy.

Tina przeciągnęła się i cicho przy tym westchnęła. Jej ciało zeszywniało, mięśnie były przykurczone i sprawiały jej ból. Dłonią masowała sobie kark, próbowała ostrożnie poruszać ramionami. Budziła się do życia. Podekscytowana wyjrzała na zewnątrz.

- Jesteśmy w Nicei?

- W pobliżu. Przecież ci mówiłem, że nasz dom nie stoi w centrum Nicei.

Tina otworzyła drzwi i wysiadła. Ogarnął ją mrok nocy. Dopiero kiedy się odwróciła, spostrzegła w oddali dwa bądź trzy światełka. Wdychała intensywną woń lawendy, zmieszaną z zapachem dziko rosnącego tymianku oraz szaławii, którą lekki wietrzyk przynosił z pobliskich gór. Oddychała głęboko ciepłym powietrzem prowansalskiej nocy. Nad jej głową sklepiało się pogodne, rozgwieżdżone niebo.

- Jak tu pięknie - odezwała się.

Mario właśnie wygramolił się z samochodu i otworzył bagażnik.

- Chodź, pomóż mi wnieść rzeczy.

Wzrok Tiny przywyknął do ciemności. Mogła już dostrzec niewielki dom, wzniesiony z jasnoszarego nierównego kamienia występującego w tej okolicy. Stał on pośrodku zapuszczonego ogrodu.

- Czy to ten? - spytała.

- Tak. Zaczekaj, pójde naprzód i zapalę światło. - Po dróżce z kamiennych płyt, otoczonej przez żywopłot z rozmarynu oraz cyprysy, dotarli do drzwi wejściowych. Mario otworzył je i zapalił światło w korytarzu. W blasku lampy Tina po raz pierwszy pomyślała o tym, by spojrzeć na zegarek. Była prawie trzecia.

Podróżowali bez mała przez dwadzieścia godzin.

Tina stała w małym pokoju na poddaszu, który Mario przeznaczył na jej sypialnię, rozpakowywała swoją walizkę i miała wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Dana rwała sobie włosy z głowy. Ona nie pozwoliłaby się odepchnąć. Cóż jednak można było zrobić w sytuacji, kiedy nie zostało się obdarzonym przez naturę wrodzoną niefrasobliwością oraz wielką przemądrzałą jadaczką?

Mam jeszcze dwa tygodnie, pomyślała Tina, układając bieliznę w szufladzie komody. Może on kiedyś odrzuci tę swoją rezerwę.

Dom, na ile zdążyła go już obejrzeć, spodobał jej się. Skromna wiejska siedziba, sporo drewna, kwieciste zasłony, doniczki w niewielkich oknach. Kwiaty wyglądały na nieco zaniedbane; najwyraźniej brakowało im systematycznej pielęgnacji, jednak Francuz, któremu powierzono pieczę nad domem, przynajmniej utrzymywał je przy życiu. Mario zatelefonował do niego przed wyjazdem i powiadomił o ich przyjeździe. Wnętrze było odkurzone i porządnie przewietrzone.

Wnieśli bagaże i złożyli je najpierw w korytarzu. Następnie Mario pokazał Tinie pokój dzienny i kuchnię na parterze oraz trzy mniejsze pokoje i łazienkę na piętrze. Potem wspięła się za nim po stromych schodach na poddasze. Mieścił się tam tylko jeden pokój - izdebka o skośnych ścianach, z dwoma okienkami dachowymi. Znajdowały się tam łóżko, komoda oraz szafy wnękowe. Nad komodą wisiało stare lustro, przed nim stały porcelanowa miednica i dzban. Oba przedmioty były ozdobione wyblakłym wzorem w róże i miały liczne rysy.

- Macie tu śliczne rzeczy - powiedziała z zachwytem Tina. Wszystko pasuje do tego wnętrza!

- To dzieło mojej matki - odparł Mario. - To ona urządziła dom. Dużo myszkuje po targach staroci i tam znajduje takie rzeczy jak ten zestaw do mycia.

- Naprawdę ładne - powtórzyła Tina.

Przez chwilę stali obok siebie, trochę niezdecydowani.

- Tak - powiedział w końcu Mario. - Przyniosę ci twoją walizkę.

- Gdzie jest twój pokój? - spytała Tina tak niewinnie, jak tylko mogła.

- Dokładnie pod twoim - odparł Mario. Następnie poszedł po bagaż, a kiedy wrócił, zapytał Tinę, czy chciałaby coś do jedzenia lub picia. Kiedy zaprzeczyła, pocałował ją w czoło i życzył dobrej nocy. Usłyszała jego kroki na schodach, a potem szcęk zamka w drzwiach na dole.

Wypakowała wszystkie rzeczy, włożyła nocną koszulę i szlafrok, zabrała ze sobą szczoteczkę do zębów i zeszła po cichu po schodach. Przystanąła na chwilę przed pokojem

Maria. Nie usłyszała żadnego odgłosu, nie zauważyła odblasku światła. Czyżby tak szybko położył się spać? Może nawet nie rozpakował się i padł w ubraniu na łóżko. Musiał być u kresu sił po tylu godzinach spędzonych za kierownicą.

Tina weszła do łazienki, umyła zęby i rozczesała włosy. Zanim zniknęła w swoim pokoju, pogasiła wszystkie światła. Pościel pachniała delikatnie lawendą. Było uroczo, pobyt zapowiadał się przyjemnie.

Kiedy zapadła się w głębokie poduszki, poczuła się bezpiecznie. Tuż przed zaśnięciem pomyślała: Jak dobrze, że dopięłam swego i wyruszyliśmy w tę podróż!

Zasnęła w okamgnieniu.

Po kłótni z Andrew Janet była bardzo przygnębiona. Przede wszystkim dlatego - co uświadomiła sobie przez noc - że ponosi całkowitą winę za tę scysję. Andrew miał prawo zapytać o jej dalsze plany. Nie było też przestępstwem, że chciał się dowiedzieć czegoś o jej synach i ich problemach. Świadczyło to jedynie o dobrym wyczuciu w kontaktach z ludźmi, potwierdzało instynktowną pewność, z jaką wynajdywał słabe punkty. Janet już wcześniej zauważyła tę jego umiejętność, zaś wieloletnia praca w Scotland Yardzie z pewnością jeszcze ją udoskonaliła.

Janet udawała, że śpi, kiedy Andrew późno w nocy kładł się do łóżka; podobnie uczyniła rankiem, gdy wstawał. Słyszała, jak poszedł do łazienki, a następnie wrócił do sypialni i ubrał się po cichu. Janet była wzruszona, widząc, jak bardzo stara się jej nie obudzić. Dwa razy omal się nie podniosła, by mu powiedzieć, że jest jej przykro. A jednak nie mogła się na to zdobyć; leżała nieruchomo, kiedy wychodził z mieszkania, dopóki nie usłyszała, jak na ulicy uruchamia samochód. Wstała z łóżka i pomyślała, że jest potworem, ponieważ właśnie dziś pozwoliła mu wyjść bez słowa pożegnania. Czekala go rozprawa główna przeciwko Fredowi Corveyowi, a przecież Janet wiedziała, że myśl o tym nie daje mu spokoju.

Zjadła śniadanie i ubrała się, po czym postanowiła pójść do sądu i spróbować namówić Andrew na wspólny obiad.

W trakcie rozprawy z pewnością zostanie ogłoszona przerwa.

Okolo dziesiątej wyszła z mieszkania; pojechała metrem do katedry św. Pawła, a stamtąd poszła piechotą na Newgate i Street, przy której mieścił się Old Bailey, czyli Centralny Sąd Kryminalny. Dzień był ciepły i słoneczny. Janet poczuła się lekko, zważywszy na spodziewane pojednanie z Andrew. Im bardziej jednak zbliżała się do budynku sądu, tym wolniejszym szła krokiem. Naraz obleciał ją strach.

Zobaczy Freda Corveya! Seryjnego zabójcę. Mężczyznę, który nienawidzi kobiet tak

bardzo, że morduje je w okrutny sposób. Co się z nim stało? I kiedy? Gdzie, w którym miejscu jego umysłu coś się popsło? Janet stanął przed oczami obraz niezliczonych kółek zębatych, które poruszają się jednostajnie i precyzyjnie do siebie pasują, dzięki czemu ów wielki mechanizm może działać bez przeszkód. Jednakże jedna z tych zębatek wypadła z rytmu, przez co wszystko się popsło; całą maszynię opanował chaos. Co zakłóciło nich tego trybika? Niewłaściwe słowo, niewłaściwe spojrzenie? Długoletnie złe traktowanie? Czy ktoś zdoła to ustalić, I czy może kiedyś pojawi się całe mnóstwo ekspertyz w sprawie Freda Corveya, z których każda bronić będzie innej teorii dotyczącej jego przypadku?

Janet była już niemal zdecydowana zawrócić, ale właśnie dotarła do budynku sądu, imponującej budowli zwieńczonej wysoką kopułą, na której szczycie, świecąc złotym blaskiem, stał posąg Iustitii. Nagle odniosła wrażenie, jakby jakieś ręce wyciągnęły się ku niej, pochwytyły ją i pociągnęły naprzód. Przeszła przez portal; pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to tłum dziennikarzy uzbrojonych w aparaty i mikrofony, którzy rozprawiali o Fredzie Corveyu.

- ...to naprawdę grubsza sprawa.....będzie teraz cholernie ciężko.....będą potrzebować ekspertyz...

Zwróciła się do młodego mężczyzny, który siedział na stopniach schodów i jadł banana. Obok niego leżał aparat fotograficzny.

- Przepraszam... rozprawa Freda Corveya... gdzie się odbywa?

Mężczyzna wetknął ostatni kęs do ust i odparł, przeżuając:

- Schodami na górę, trzecie drzwi po lewej. Ale pół godziny temu została przerwana.

- Jak wygląda sytuacja?

- Na pytanie, czy jest winny czy nie, Corvey odpowiedział zdecydowanie „Niewinny”.

Zbił tym wszystkich z pan-tałyku.

- Niemożliwe! Przecież to mu się nie uda! Młody człowiek wzruszył ramionami.

- To zależy. W każdym razie oskarżyciel ma teraz problem.

- Przecież się przyznał. Był w pełni świadomy.

- Droga pani, ależ ja nie twierdzę, że jest czysty. Jednakże... - Nie dokończył zdania, dając tym do zrozumienia, jak przedstawia się sprawa Corveya: pozostaje nierozstrzygnięta. Jej wyniku nie da się przewidzieć.

Janet przysiadła obok niego na schodach. Młodzieniec wyciągnął z torby kolejnego banana.

- Chce pani połowę?

- Dziękuję. Dopiero co jadłam śniadanie. W skupieniu obierał owoc ze skórki.



- Przy okazji, jestem Paul Fellowes z Nottingham Daily. To lokalne pismo, ale o sprawie Corveya chcą wiedzieć wszyscy. Dla kogo pani pisze?

- Dla nikogo. Jestem... znajomą inspektora Daviesa. - Janet postanowiła nie wyjawiać swego niemieckiego nazwiska.

- Mam na imię Janet.

Paul spojrział na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

- Hej... znajoma Daviesa? Ostrego Daviesa?

Janet zmarszczyła czoło.

- Co ma pan na myśli, mówiąc „ostry”?

- On nie cacka się z ludźmi, których koniecznie chce wsadzić za kratki. Podobno ma niezwykle instynkt łowiecki, dlatego przed laty przeistoczył się z prawnika w policjanta. Zzera go ambicja. Kiedy musi kogoś wypuścić, to dla niego istna tragedia osobista. - Paul przymknął na chwilę oczy, rozkoszując się następnym bananem. - To znaczy, Davies idzie po trupach. Ale tak twierdzą pewnie tylko ci, którzy zazdroszczą mu sukcesów.

- Z pewnością - przyznała nieco zaniepokojona Janet. Ostry Davies...

- Skoro jest pani jego znajomą, pewnie dobrze zna pani tę sprawę? - spytał Paul z nadzieją w głosie. - To znaczy, może jakieś nieznane szczegóły? - Obudził się w nim dziennikarz liczący na zdobycz.

Janet wykrzywiła twarz.

- Obawiam się, że wiem mniej od pana. Andrew niewiele mi opowiadał.

- Szkoda. Byłoby świetnie, gdyby Nottingham Daily wiedział o tym jako pierwszy.

- Nie pojawili się żadni nowi świadkowie?

- Nie. Jest tylko ta jedna...

- ...która nie ma pewności. Wiem. Corvey ma mnóstwo szczęścia.

- A Davies pecha. Jest pewien, że schwycił właściwego człowieka. A teraz sprawa wymyka mu się z rąk.

- Corvey złożył oficjalne przyznanie się do winy - przypomniała Janet - i podtrzymywał je całymi tygodniami. Dlaczego nie przygwoźdzą go na tej podstawie?

- Pewnie tak zrobią. Ale przypuszczam, że będzie twierdził, iż był zupełnie niepoczytalny. Że został zastraszone, był skołowany, urwał mu się film... bo ja wiem. Wytoczy wszelkie możliwe argumenty, a raczej zrobi to jego adwokat.

W tej właśnie chwili zbiegła po schodach jakaś blondynka w dzinsach, krzycząc:

- Corvey idzie! Rozprawa odroczone!

Natychmiast wśród zgromadzonych dziennikarzy zapanowała gorączkowa krzątanina.

Także Paul zerwał się na równe nogi, wsunął niedbale do kieszeni na wpół zjedzonego banana i jak szalony zaczął majstrować przy swoim aparacie. Włączano magnetofony, przeprowadzano próby mikrofonu, zmieniano filmy. Potem wszyscy rzucili się ku schodom i zaczęli walczyć o najlepsze miejsca.

Janet szybko podniosła się z miejsca, by nie otrzymać przypadkiem jakiegoś kopniaka, i przywarła do kamiennej balustrady. Jej serce biło jak szalone. Fred Corvey przejdzie tuż obok niej - chyba że nie zechce zмагаć się z tą masą dziennikarzy i każe się wyprowadzić bocznym wyjściem, do czego bez wątplenia ma prawo. Coś jej jednak podszeptywało, że pragnął się pokazać, że za nic w świecie nie przepuściłby okazji do konfrontacji z mediami, by potwierdzić swoją dotychczasową popularność.

Poczuła się tak słaba, że chciała uciec, lecz nie ruszyła się ani o krok, bo dziennikarze obstąpili ją murem, a żaden z nich nie chciał ryzykować utraty z trudem wywalzonego miejsca. Na górnym krańcu schodów zaczęli się już pojawiać pierwsi widzowie oraz policjanci, przez co ucieczka w tamtym kierunku również stała się niemożliwa. Janet musiała pozostać na swoim miejscu.

Fred Corvey był spięty kajdankami z jednym z policjantów, idącym po jego lewej stronie. Po przeciwnej stronie tłoczyli się obaj jego adwokaci. Wyglądali na zadowolonych, aczkolwiek zamarli na chwilę, ujrawszy zebrany tłum. Corveya to jednak w najmniejszym stopniu nie przeraziło. Napiął mięśnie ramion i wysunął podbródek, jakby starał się uchodzić za wyższego i bardziej przystojnego niż w rzeczywistości, a przynajmniej tak wyglądać na wszystkich fotografiach. Miał na sobie spodnie w piaskowym kolorze, brązowe buty, brązową marynarkę, a pod nią biały T-shirt. Włosy koloru ciemnoblond już dawno nie widziały nożyczek pośledniego nawet fryzjera; Corvey jednak starannie zaczesał je z czoła i okiełznał za pomocą żelu.

W groteskowy sposób wyglądał przeciętnie; jego postać ani nie rzucała się w oczy, ani też nie zapadała w pamięć. Miał stosunkowo krótkie nogi, ale długi tors, co sprawiało, że był mężczyzną średniego wzrostu. Z całą pewnością nie uprawiał żadnych sportów; jeśli świadomie nie ściągał ramion, opadały do przodu, do tego był zbyt chudy i miał bladą, niezdrową cerę.

W głowie Janet zrodziła się myśl: Może on rzeczywiście tego nie zrobił. Wygląda tak niegroźnie. Ten człowiek miałby torturować i zamordować cztery kobiety?

Corvey, rozkoszując się chwilą, przystanął na szczycie schodów i niczym jakiś wódz obrzucił wzrokiem zgromadzonego tłum. Następnie powoli ruszył w dół. Niezliczone flesze rozbłysnęły jaskrawym światłem. Paul podsunął Corveyowi; mikrofon.

- Panie Corvey - krzyknął - co pan czuje? Liczy pan na niewinnienie?

Corvey nie odpowiedział, a jedynie się uśmiechnął.

- Żadnych pytań! - krzyknął stojący obok niego policjant. - I zróbcie przejście! Proszę usunąć się z drogi!

Corvey przechodził teraz obok Janet. Nagle przystanął, odwrócił ku niej głowę i spojrzał na nią.

Janet nie mogła oderwać od niego wzroku. Zaszło jej w ustach, nie była w stanie przełknąć śliny, szumiało jej w uszach. Chwilę wcześniej wydawał się jej tak niegroźny i niepozorny, teraz zaś tym mocniej przeraziły ją jego oczy. Oczy ciemnobrązowe, zmatowiałe, pozbawione blasku. Oczy zupełnie bez wyrazu, zimne. Nie można było wyczytać z nich żadnego uczucia. Były to oczy psychopaty.

W tej właśnie chwili Janet zrozumiała, że on to zrobił. Był odpowiedzialny za każde zarzucane mu morderstwo i być może także za tuzin innych. To nie ulegało wątpliwości. Naraz pojęła bezradną wściekłość Andrew, a zarazem ogarnęło ją głębokie, bolesne współczucie dla wszystkich ofiar tego człowieka. Co czuła kobieta, kiedy umierała gwałtowną śmiercią i musiała przy tym patrzeć w te jego oczy?

Corvey wykrzywił twarz w uśmiechu. Wyczuł instynktownie, jakie dręczą ją myśli, i zauważył, że zmaga się z przyływem mdłości. Spodobało mu się to. Nadawało to całej sytuacji nieco więcej pikanterii.

Ruszył przed siebie; jeden z jego adwokatów usiłował odsuwać na bok wycelowane weń mikrofony, wyjaśniając jednocześnie, iż chwilowo nie należy oczekiwać jakichkolwiek komentarzy w tej sprawie. Oczywiście wszyscy mimo to próbowali zadawać pytania i uzyskać na nie odpowiedź. W końcu otworzył usta sam Corvey, lecz jedynie po to, by powiedzieć, że nic nie powie.

Jego głos zaskoczył Janet. Spodziewała się, że będzie wyższy, bardziej chorobliwy, nieco histeryczny. Był on jednak ciepły i głęboki, a przy tym bardzo dźwięczny. Ładny, budzący ufność głos. Potem pomyślała, iż w gruncie rzeczy nie powinno to dziwić. Człowiek ten musiał mieć w sobie coś, co sprawiało, że tyle kobiet tak łatwo pozwoliło mu się złapać na lep. Otóż to! Głos był całym jego kapitałem. Wzbudzał sympatię i rozwiewał wszelkie kielkujące podejrzenia.

Sfóra dziennikarzy wylała się za Corveyem na ulicę, gdzie czekał na niego samochód. Nagle obok Janet pojawił się Andrew i chwycił ją za ramię.

- Co ty tu robisz? - Był błydy i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Janet pocałowała go.

- Chciałam być z tobą - powiedziała zwyczajnie. Wydawało się, że ucieszyły go te słowa, jednak wyraz napięcia nie zniknął z jego twarzy.

- Masz ochotę coś zjeść? - spytał.

- Tak. Andrew... jeszcze go nie uniewinniono! Andrew przytaknął. Sprawiał wrażenie znużonego i zmordowanego.

- Wiem. Ale obawiam się, że może dojść do uniewinnienia. Mogę tylko powiedzieć, że w tej chwili czuję się kiepsko z tego powodu.

Wyszli na zewnątrz. Ciepłe powietrze pogodnego czerwcowego dnia przynosiło ulgę po zatęchłym chłodzie starego budynku. Kiedy przechodzili przez ulicę, Janet wyznała z nutą trwogi w głosie:

- Widziałam jego oczy. Teraz już wiem, że on to zrobił.

- Tak - przyznał Andrew - ale wyraz oczu człowieka nie ma, niestety, w sędzie żadnej wartości dowodowej.

- Jak myślisz, co zrobi, kiedy go uniewinnią?

- Najpierw będzie bardzo uważał. Jestem pewien, iż on zdaje sobie sprawę, że nie dałem jeszcze za wygraną.

- Przecież nie możesz kazać go obserwować dzień i noc!

- Na to raczej nie dadzą mi ludzi. To zbyt kosztowne.

Dotarli do niewielkiego włoskiego lokalu i weszli do środka. Andrew był tam najwyraźniej dobrze znany, bowiem serdecznie go przywitano. Zaprowadzono ich do stolika w kącie sali, skąd mogli ogarnąć wzrokiem całe wnętrze. Kiedy przeglądali kartę dań, do restauracji weszła starsza kobieta w towarzystwie młodego mężczyzny, który wyglądał na bardzo zestresowanego. Kobieta sprawiała wrażenie bezradnej i niepewnej; przystanęła, zagubiona. Najwyraźniej chciała się znaleźć w innym miejscu.

- Patrz - powiedział cicho Andrew. - To przecież pani Corvey. Matka Freda Corveya!

Janet, która z początku jedynie pobieżnie spojrzała na nowo przybyłych, uniosła naraz wzrok, zelektryzowana tą nowiną. Przyjrzała się im dokładnie; zobaczyła niską, nieco przysadzistą sylwetkę kobiety, brązowe, porządnie ufryzowane włosy, kwiecistą letnią sukienkę o suto marszczony spódnicy, kupioną zapewne w domu towarowym. Pani Corvey miała wodę w kolanach oraz grube zylaki, nosiła nieforemne lecznicze sandały i kurczowo ścisnęła ogromną plastikową torebkę. Sprawiała wrażenie zacnej i pocziwej; wydawało się, że jest w stanie szoku. Przez ostatnie tygodnie jej świat musiał lec w gruzach.

- Wygląda jak miła, pracowita sprzątaczką, która musi ciężko pracować, żeby zarobić trochę grosza - stwierdziła Janet.

- Rzeczywiście sprząta - odparł Andrew. - Dzięki temu zdołała wychować syna.

- A ojciec?

- Od czasu wypadku przy pracy jest kaleką. Od dwudziestu lat siedzi na wózku i dostaje mizerną rentę.

Młody mężczyzna, towarzyszący pani Corvey, który jak zauważyła Janet, nosił dobrze skrojony garnitur z cienkiego materiału, właśnie rozmawiał z kelnerem. Z dezaprobatą pokręcił głową, gdy ten wskazał mu stół. Najwyraźniej chciał usiąść z panią Corvey w dyskretnym, nierzucającym się w oczy miejscu.

- Nic dziwnego - mruknął Andrew. - Z pewnością niełatwo im było pozbyć się prasy. Nie chcą teraz ryzykować i zwracać na siebie uwagi.

- Kim jest ten mężczyzna?

- Współpracownikiem jednego z adwokatów Corveya. Widocznie powierzono mu opiekę nad panią Corvey.

- Czy to nie ryzykowne, siedzieć z nią w restauracji tak blisko sądu?

- Raczej sprytne. Nikt się tu ich nie spodziewa.

Janet taksowała wzrokiem kobietę, którą widziała teraz z profilu. Pani Corvey nie czuła się komfortowo, z nieszczęśliwym wyrazem twarzy wpatrywała się bezradnie w kartę dań. Potem odwróciła nagle głowę, jakby poczuła na sobie palący wzrok Janet. Popatrzyła na nią, a Janet wytrzymała spojrzenie. Było to jak krótka, niema rozmowa. Pani Corvey wyczytała z twarzy Janet zrozumienie i współczucie, Janet natomiast ujrzała ból i zmieszanie. Po chwili także młody mężczyzna spojrział w ich kierunku; poznawszy Andrew, niemal niezauważalnie wzdrygnął się, po czym przywitał się oschłym skinieniem głowy. Szeptem wyjaśnił towarzyszącej mu kobiecie tożsamość Andrew, z ruchu jego warg Janet mogła wyczytać słowa „Scotland Yard”. Pani Corvey natychmiast skamieniała. Scotland Yard, przecież to ci ludzie byli wszystkiemu winni. To oni wtargnęli w jej życie i zamienili je w piekło, oskarżając jej syna, jej ukochanego Freddy’ego, o przerażającą, niewyobrażalną zbrodnię.

Wstała tak gwałtownie, że omal nie przewróciła krzesła. Sięgnęła po torebkę. Młody mężczyzna starał się ją uspokoić, usiłował jej coś wyperswadować. Bezskutecznie. Pani Corvey opuściła w popłochu restaurację, jemu zaś nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za nią. Kelner patrzył za nimi w osłupieniu.

- Jest głęboko urażona - powiedziała Janet.

- Jeśli mam być szczery - odparł Andrew - nie mam wiele sympatii dla tej kobiety. Na czas ostatniej zbrodni zapewniła swemu synowi alibi, w moim przekonaniu fałszywe. Założę

się, że ta kobieta nie powiedziała przez całe życie ani jednego słowa nieprawdy, jednak dla dobra syna gotowa jest kłamać. Dla niego zdolna jest nawet zabić.

- Bardzo go kocha, prawda?

- Ubóstwia go, podobnie jak jej mąż. Stereotyp przestępcy, który ma za sobą okrutne dzieciństwo, w przypadku Freda Corveya zupełnie się nie sprawdza. Z pewnością byli biedni, niemniej Fred doświadczył wszelkiej możliwej miłości i opieki.

Janet odłożyła kartę dań. Straciła apetyt. Mimo pogodnej aury dygotała z zimna i wiedziała, że chłód ten płynął z jej wnętrza.

Wspólne wakacje nie zaczęły się zbyt dobrze, a pierwszy dzień nie napawał optymizmem. Tina zastanawiała się, dlaczego od razu tego nie zauważyła. Mario nie powinien zmuszać jej do tak forsownej podróży bez postojów. Teraz zaś musiała także przyznać, że nie był wobec niej zupełnie szczery.

Spała głębokim, spokojnym snem i przebudziła się dopiero około dziesiątej przed południem. Potrzebowała chwili, by zorientować się w sytuacji: skośne ściany, tapeta w kwiatki, staromodna komoda - to nie był jej pokój w Hamburgu. Jaskrawe, białe światło słoneczne wlewało się przez okno do wnętrza. Upalne słońce południa.

Tina od razu wyskoczyła z łóżka, podeszła do okna, otworzyła je i wychyliła się na zewnątrz. Było gorąco, znacznie bardziej, niż przypuszczała. W powietrzu unosił się suchy zapach nieznanych ziół i kwiatów. Tina ledwie to doceniła, bowiem to, co przed sobą ujrzała, wprawiło ją w zdumienie. Nigdzie nie było widać ani skrawka Morza Śródziemnego. Żadnych domów i ulic Nicei. Jedynie dzikie, romantyczne odludzie, zeschła brunatna trawa, szare rumowiska skalne, pola lawendy i kwitnące łąki upstrzone czerwonymi makami. Na horyzoncie widniał ciemny pas lasu. Słychać było dzwonienie cykad. W pewnej odległości przywarły do wzgórz dwa tuziny domów z biało-szarego kamienia. Znajdowała się w jakiejś niewielkiej wiosce gdzieś w Prowansji. Bynajmniej nie na obrzeżach Nicei, jak zapewniał ją Mario.

Mario przygotował śniadanie na tarasie, w cieniu kilku migdałowców. Ujrawszy Tinę, popędził do kuchni, by zaparzyć kawę. Jak wyjaśnił, z samego rana zszedł do wsi, by kupić na rynku wszystko, co potrzeba.

- Do wsi, aha - mruknęła Tina, siadając do stołu. Wiedziała, że to niedobrze kłócić się od razu pierwszego dnia, lecz miała wrażenie, że się udusi, jeśli tego z siebie nie wyrzuci.

- Jak daleko jest do morza? - spytała.

Mario podsunął jej spieszenie szklankę soku pomarańczowego. Z lekkim poczuciem winy Tina uświadomiła sobie, że zadał sobie niemało trudu, by to wszystko dla niej

przygotować. Wydało jej się nie w porządku czynić mu teraz wyrzuty, lecz w tej chwili nie potrafiła się zdobyć na nic innego.

- Morze - odpowiedział ostrożnie Mario - nie jest tak blisko...

- Nie? A gdzie ono jest?

- Jak to gdzie?

- Jak daleko trzeba do niego iść?

- Na piechotę nie dojdziemy. Ale możemy kiedyś podjechać tam samochodem.

Tina ostentacyjnie odsunęła od siebie filiżankę, talerz i szklanę.

- Podjechać samochodem?! Do diabła, Mario, o ile wiem, Nicea leży nad samym morzem!

- Nie jesteśmy w Nicei.

- Co ty powiesz! Mówiłeś co innego, zanim wyruszyliśmy w drogę!

- Mówiłem: w pobliżu Nicei - bronił się nieco żałośnie Mario.

- Na obrzeżach, to są dokładnie twoje słowa. A tymczasem jesteśmy w... w wielkim niggdzie!

Mario położył rękę na ramieniu Tiny.

- Czy to takie ważne, gdzie jesteśmy? Tina odsunęła rękę.

- Ważne jest to, że mnie oszukałeś. Nie potrafię się z tym pogodzić. Wiedziałeś, że chcę pojechać tam, gdzie coś się dzieje. Ale ty przywlokłeś mnie na jakieś zupełnie pustkowie.

- Nie sądziłem, że zaliczasz się do tych dziewcząt, które co wieczór włóczą się po dyskotekach i knajpach i popisują się przed innymi mężczyznami.

- Skoro tak, mogłeś od razu powiedzieć prawdę! - klapnęła Tina.

Mario wstał i poszedł po kawę. Tina rozparła się na lakierowanym na biało wiklinowym krześle. Słońce świeciło, i było pięknie, naprawdę pięknie. Po prostu było inaczej, niż się spodziewała. Może nie powinna od razu obrażać się z tego powodu. A jednak nie wszystko układało się po jej myśli: najpierw długa podróż, potem osobne sypialnie, a teraz odkrycie, że Mario nie powiedział jej prawdy o miejscu ich pobytu.

Zbyt dużo tego naraz, pomyślała i zamknęła oczy. Kiedy usłyszała dzwonek telefonu, wiedziała, że to jej ojciec, czuła się jednak zbyt zmęczona i sfrustrowana, by wstać i podejść do aparatu. Ojciec od razu poznałby po jej głosie, że coś jest nie tak, i z pewnością zaczęłby wypytywać. Nie miała teraz ochoty na rozmowę.

Kiedy wrócił Mario, wypła jedynie trochę kawy; bagietka, jajka i dżem wiśniowy pozostały nietknięte. Siedzieli razem aż do południa, milcząc i wsłuchując się w śpiew ptaków oraz w pojedyncze delikatne odgłosy beczenia kóz pasących się nieopodal. Tina

wdychała zapach, który wiatr przywiewał z pól.

Michael siedział w swoim biurze w prokuraturze, mając świadomość, iż to zupełnie niedorzeczne denerwować się tylko dlatego, że w Duverelle nikt nie odbiera telefonu. Przypuszczalnie Tina i Mario jeszcze tam nie dotarli. Pewnie zatrzymali się gdzieś na noc, długo spali, zjedli porządne śniadanie, może nawet obejrzeni parę zabytków. Prawdopodobnie przyjadą dopiero pod wieczór.

Spojrzał na zegarek. Kilka minut przed trzecią. Skąd brała się u niego ta gorączkowa nerwowość? Miał zbyt wiele innych problemów, by mógł sobie pozwolić na ustawiczne rozmyślanie o własnej córce. Na biurku zalegały stopy akt. Przed południem przegrał ważną sprawę; sąd zdecydował o wymierzeniu kary o wiele niższej niż ta, której się domagał, dlatego taki wyrok musiał uznać za swoją porażkę. W przerwie obrad po raz pierwszy zadzwonił na południe Francji. Bez powodzenia.

Wielkie nieba, już najwyższy czas, by Tina się usamodzielniała, pomyślał. Mój strach o nią nie jest normalny. Póki nie wróci, będę pewnie kłębkim nerwów.

Otworzył jedno z akt i usiłował się skoncentrować. Jednak po chwili znów podniósł wzrok i spojrzał na telefon. Nie mógł się powstrzymać. Chwycił za słuchawkę i ponownie wybrał numer w Prowansji.

I znów nikt nie odebrał. Zdecydowanym ruchem nacisnął widełki i zadzwonił do Dany.

Minęła dłuższa chwila.

- Tak? - warknął w końcu jakiś zaspany, szorstki głos.

- Przepraszam - odezwał się Michael. - Chciałem rozmawiać z Daną... eee... - Mimo najlepszych chęci nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. - Chciałbym mówić z Daną - powtórzył, mając wrażenie, że zachowuje się jak idiota.

- Jestem Karen - odpowiedział zachrypnięty głos. - Matka Dany. - Dało się słyszeć wyraźne ziewnięcie.

- Proszę wybaczyć, najwyraźniej panią obudziłem - jękał się Michael. Już trzecia po południu! Czemu, na litość boską, ta kobieta śpi o tej porze?

- Już dobrze. Nie mógł pan tego wiedzieć. Nie mam teraz pracy, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się obijać.

- Ach... tak mi przykro... to znaczy... że panią obudziłem...

- Jąkam się jak jakiś uczeń, pomyślał gniewnie. Naprawdę nie ma najmniejszego powodu, by tracić panowanie nad sobą. Potem przypomniał sobie, że nawet się nie przedstawił.



- Jestem Michael Weiss, ojciec Tiny.

Po drugiej stronie znów dało się słyszeć ziewnięcie.

- Pan prokurator - powiedziała Karen nieco uszczypliwie - cóż za zaszczyt!

To zupełnie inny świat, pomyślał. Nie ma pracy, śpi do oporu i pewnie uważa mnie za reakcyjnego kołtuna. Ja jestem prokuratorem, przez całe życie wypełniam tylko obowiązki i mam ją za jakąś lewicową kozę. Gdyby nasze córki się nie przyjaźniły, lepiej, żebyśmy nie wchodzili sobie w drogę.

- Czy mogę rozmawiać z Daną? - zapytał.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa - odparła Karen. Sprawiała wrażenie, jakby powoli dochodziła do siebie, choć jej głos nadal brzmiał tak, jakby miała za sobą noce pełne wódki i papierosów. - Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Nie, to tylko... - Michael wydawał się sobie coraz śmieszniej szy. - Dana odwiedziła mnie wczoraj wieczorem - powiedział w końcu. - Rozmawialiśmy o Mariu Beerbau-mie. Wie pani, to ten młody człowiek, który... Karen cicho westchnęła.

- Wiem, kto to jest. No dobrze. Dana ciągle o nim gada. Czy panu także mówiła, że robi na niej „dziwne wrażenie”?

- Mówiła coś takiego, owszem.

- Tylko proszę nie dać się zwariować. Dana coś sobie ubzdurała. Przypuszczam, że kryje się za tym zazdrość - Tina nie należy już tylko do niej.

- Powiedziała mi, że to pani teoria. Jednak możliwe, że nie kieruje nią zazdrość, lecz zdrowy instynkt, który trzeba potraktować poważnie.

Karen odparła z pewną irytacją:

- Sądzę, panie prokuratorze, że, podobnie jak Dana, nie może się pan pogodzić z faktem, iż pańska córka zabawia się z jakimś facetem na południu Francji. Oboje żyliście w przeświadczeniu, że Tina nigdy nie dorośnie, a teraz jesteście zszokowani tym, że tak się jednak dzieje. I dlatego rzuciliście się teraz na biednego Mariu, który z pewnością jest normalnym zakochanym chłopakiem i nie ma pojęcia, jakie wzburzenie wywołuje.

- Może ma pani rację.

- Na pewno. Mówię panu, wkrótce znów przytuli pan Tinę, zupełnie nie rozumiejąc, czemu się tak denerwował. Czy Dana ma do pana oddzwonić?

- Dziękuję, nie trzeba. Chciałem porozmawiać z nią o Mariu, ale to i tak na nic.

- Niech pan choć na chwilę zapomni o córce, wyciągnie się na słoneczku i spędzi miły leniwy dzień - poradziła Karen.

Michael zastanawiał się, kiedy ostatnio spędził taki „leniwy dzień”, ale nie mógł sobie

przypomnieć. Dla tej kobiety, pomyślał, to z pewnością wypróbowane lekarstwo.

- Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem - odezwał się do słuchawki. - I... - nagle coś mu zaświtało w głowie - proszę wyperswadować Danie pomysł wyprawy autostopem w ślad za Tiną. Mówiła mi o tym wczoraj wieczorem.

- O Boże, Tina i Mario z pewnością by sobie tego nie życzyli!

- Myślałem też o Danie. Ten jej plan jest zbyt niebezpieczny. Każdego roku...

Karen nie pozwoliła mu dokończyć.

- Dana jest już na tyle dorosła, by wiedzieć, co robi. Ale dziękuję panu za wskazówkę.

- Ton jej głosu wyraźnie świadczył o tym, iż uważa Michaela za człowieka zacofanego, a w dodatku mieszkającego się w nie swoje sprawy. Zaczynał działać jej na nerwy. To właśnie tacy ludzie napuszczają na innych urząd do spraw młodzieży, z powodu zaniedbywania obowiązku nadzoru czy czegoś podobnego. Jak to dobrze, że Dana ma już osiemnaście lat! Żaden z tych natrętnych prokuratorów nie będzie już wyczyniał takich komedii.

Gdy zakończyli rozmowę - nieco oziębłe - Michael nie mógł się powstrzymać i ponownie wybrał numer we Francji, który znał już na pamięć.

I tym razem nikt nie odebrał.

Od kilku godzin dreptał w kółko, krążył po pokoju od jednej ściany do drugiej, podchodził do okna i wyglądał na zewnątrz, wracał do drzwi, chcąc je otworzyć i uciec od dławiących go myśli. Wciąż jednak cofał rękę, gdyż wiedział, że nie ma od nich ucieczki - od tego natłoku obrazów, jakie kołatały mu się w głowie.

Maximilian zobaczył Janet w objęciach Andrew Daviesa.

Od kiedy jego brat wyraził przypuszczenie, jakoby Janet odwiedziła Daviesa, Maximilian wiedział, że to prawda. Wiedział dlatego, że wyczuwał łączącą ich nierozzerwalną więź, odbierał ją wszystkimi zmysłami, zanim jeszcze się o tym dowiedział. Jako dziecko nie miał pojęcia o takich uczuciach jak pożądanie, namiętność, uległość, a mimo to uświadamiał sobie obsesyjną pożądliwość swej matki wobec Andrew Daviesa. Obrazy te przez całe lata drzemały w nim, pogrzebane w głębi jego duszy, jakby rzeczywiście mogły wreszcie popaść w zapomnienie. A teraz znów stanęły mu przed oczami tak żywe, jakby od tamtego czasu nie upłynął nawet jeden dzień.

Ujrzał przed sobą ten pokój, tonący w półmroku. Okna były zamknięte - dyskretne ustępstwo wobec wstydlivości ewentualnych mimowolnych słuchaczy. Ponieważ przez cały dzień były otwarte, wewnątrz wciąż wypełniało świeże, chłodne, wilgotne od deszczu powietrze. W swoich wspomnieniach czuł ciągle zapach deszczu, choć przecież nie zawsze padało, gdy Janet spotykała się z Andrew. Przeszłość wszakże rządziła się własnymi prawami,

wedle których zapuszczała w pamięci korzenie, te zaś nie zawsze zachowywały logiczną spójność.

Tak więc padało, a wokół unosiła się woń wilgotnego mchu, listowia i mokrej kory. Nie opuszczono żaluzji, ale zasłony były zaciągnięte. Czasem płonęło kilka świec.

Andrew Davies był wysoki, wyższy od Phillipa i z całą pewnością cięższy, choć wyglądał na bardzo szczupłego. Jak filigranowa Janet wytrzymywała jego ciężar, kiedy na niej leżał? Tym bardziej że się przy tym poruszał. Najpierw przywarł do niej i zanurzył twarz w jej długich włosach rozsypanych na poduszce. Jego biodra unosiły się i opadały, a Janet cicho jęczała. Ten mężczyzna zadawał jej ból; dlaczego się nie broniła? Mały chłopiec zaczął dygotać; i dziś jeszcze, po tylu latach, drżał na to wspomnienie. Szeptala słowa, których znaczenia wówczas nie pojmował; dziś rozumiał je i na myśl o nich oblewał się rumieńcem. Słowa, którymi wzywała Andrew Daviesa, by poruszał się szybciej, mocniej, bardziej bezwzględnie. A przecież tak właśnie robił. Davies wsparł się oburącz na poduszce i nacierał z taką gwałtownością, że ciała obojga uderzały głośno o siebie. Janet wpiła palce w jego ramiona, wzywała na zmianę albo Andrew, albo dobrego Boga, jęczała jak jakieś umierające zwierzę. O tym właśnie myślał mały chłopiec: że Andrew za chwilę zabije Janet, on zaś musi przyjść jej z pomocą. Jednakże jego nogi były jak sparaliżowane przez strach i przerażenie, dłonie miał mokre od potu, a serce waliło tak, jakby zaraz miało rozsadzić klatkę piersiową. Janet krzyknęła głośno; Andrew zamarł na chwilę, wyprostowawszy nad nią swe ciało - niczym drapieźny ptak, który upolował jakieś zwierzątko. Potem opadł na nią; leżeli razem, spleceni ze sobą. Chłopcu tak okropnie dudniło w uszach, że nie słyszał ich gwałtownych oddechów i był przekonany, że oboje nie żyją. Za każdym razem w chwili, w której Janet wydawała swój ostatni straszny okrzyk, robił w spodnie. I do tego wszystkiego dochodził jeszcze palący wstyd z powodu tego nieszczęścia, tego cofnięcia się w wiek niemowlęcy, z którego dawno przecież wyrósł. Z początku ukrywał zmoczone ubrania, lecz od pewnego momentu Janet zaczęła ich szukać. Albo sama je wynajdywała, albo dokuczała mu tak długo, aż wyjawiał miejsce ich ukrycia. Tłumaczyła mu, że nie złości się dlatego, że się mu to przydarzyło, lecz dlatego, że próbował to przed nią zataić.

- Nie ufasz mi? Odpowiedz! Co się dzieje?

W tamtym czasie był jednak oniemiały. Nie potrafił wyrazić słowami własnych przeżyć, nie umiał wyartykułować ani swego wstydu, ani strachu. Nie mógł rozmawiać o tym wielkim mężczyźnie, któremu Janet wciąż pozwalała zadawać sobie gwałt, ani o przerażeniu, które odczuwał, myśląc, że oboje w straszliwych bólach umierają na jego oczach.

- Nie potrafił pan - spytał go kiedyś profesor Echinge - porozmawiać o tym nawet z

własnym ojcem?

Zastanawiał się przez długą chwilę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by porozmawiać o tym z Phillipem.

- Nie, nie mogłem. W nieomal fizycznym sensie nie mogłem rozmawiać, kiedy o to chodziło.

- Pańska matka nie podjęła w zasadzie żadnych środków ostrożności. Musiała się przecież obawiać, że pan i pański brat możecie to wyjawić, choćby przypadkiem, niechcący?

To kolejny wstrząsający aspekt.

- Sprawiała wrażenie, że się tego nie obawia. Później pomyślałem nawet...

- ...że pański ojciec wie o wszystkim?

- Tak - odparł tępo Maximilian. - On wiedział. I pogodził się z tym.

Czy Phillip dokładnie wiedział, co robili oboje, gdy go nie było? Przed wybałuszonymi ze strachu oczami małego chłopca odgrywał się każdy wariant miłości cielesnej. Kiedy kucając przy niedomkniętych drzwiach przyglądał się ekstatycznym wybrykom w łóżku swoich rodziców, wyczuwał na szyi ciepły oddech swego brata, słyszał jego strachliwe sapanie, czuł zupełne odrętwienie drobnego ciała. Dlaczego, zapytywał po latach samego siebie, dlaczego Janet nigdy nie domykała drzwi? Przyszło mu na myśl tylko jedno możliwe wyjaśnienie: ze względu na dzieci. Chciała słyszeć, kiedy będą ją wołać. I postarała się o to, że nie zawołali jej już nigdy więcej.

Pewnego razu poczuł ulgę. Było to wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył ich w odwrotnej pozycji. Nareszcie, nareszcie Janet mści się za wszelkie upokorzenia, jakich zaznała. Najchętniej zagrzewałby ją triumfalnymi okrzykami, niczym widz walki bokserskiej, który głośno dopinguje przebywającego, gdy ten nieoczekiwanie staje na nogi i spycha przeciwnika do narożnika. W którymś momencie pojął, że i te zmagania kończyły się wśród krzyków, jęków i westchnień. W końcu zaczął się tej pozycji najbardziej obawiać, bowiem na domiar złego pozbawiała jego matkę wszelkiej godności. Dotąd była jedynie ofiarą, teraz zaś sama przejmowała inicjatywę i stawiała się przez to odrażająca, ohydna. Wyglądała szpetnie; jej wykrzywiona twarz szklila się od potu, piersi kołysały się rytmicznie. To nie była mama, jaką znał. Mama nosiła ładne ubrania, jej blond włosy zawsze były starannie uczesane i lśniły w słońcu. Przyjemnie pachniała i uśmiechała się w najśłodszy sposób. Wieczorami siadała razem z dziećmi na łóżku, brała je w ramiona i dawała im poczucie, że należy wyłącznie do nich i że ustrzeże je przed wszelkim złem tego świata - samą swą obecnością, swoją niewinnością wobec wszystkiego, co nie jest nieskalanie czyste na tym świecie. Iluzję tę zniszczyła do szczytu, a niedługo po romansie z Andrew Daviesem synowie zaczęli zwracać

się do niej „Janet”; mimo jej łez i wyrzutów nigdy już tego nie zaprzestali.

Chodząc zygzakiem po pokoju, znów dotarł do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Była dziesiąta wieczór, lecz wciąż jeszcze nie zapadła zupełna ciemność. Nie lubił tych jasnych letnich nocy na północy, tuż przy granicy ze Skandynawią. Niepokoiły go swym światłem, głosami, bezsennością. Lubił milczące, ciemne noce zimowe, kiedy na niebie iskrzyła się zimna gwiazda, kiedy mrok i śnieg okrywały ochronnym płaszczem wszelkie rany i lęki. Jaka wyglądała noc na południu Francji? Z pewnością była ciemniejsza niż tutaj, aksamitnie czarna.

Czuł tak bliską więź ze swym bratem. Zawsze tak było, przez całe wspólne dzieciństwo, ale także w latach rozłąki. Może tak naprawdę nic nie mogło ich rozdzielić, od owego dawno minionego czasu, gdy zaczęli życie przytuleni do siebie w ciele Janet. Czasami nocą Maximilian wyczuwał bicie serca Maria i poznawał po równomiernym rytmie i szybkości pulsu, czy jego brat śpi spokojnie, czy też dręczą go złe sny albo bezsenne przewraca się z boku na bok. Nigdy tego nie sprawdzał, choć czasem widywali się nazajutrz lub telefonowali do siebie i Maximilian nie był zaskoczony tym, że jego odczucia potwierdzały się.

- Zeszłej nocy nie zmrużyłem oka, może to przez pełnię, nie przespałem ani sekundy...

- Wiem.

Teraz także Mario nie spał. Może wieczór był jeszcze zbyt wczesny, ale Maximilian wyczuwał, że brat całą noc nie zazna spokoju. Mario, tak jak on, widywał Janet w ramionach Andrew, i to nie dawało mu spokoju.

Być może istniało coś jeszcze, co nie pozwalało mu go odzyskać.

Maximilian był pewien, że Mario nie jest sam. Od początku czuł, że brat coś przed nim ukrywa, opowiadając o swej podróży do Prowansji. Dostrzegał to w jego oczach, słyszał to w jego głosie. Były to jedynie niuanse, lecz bracia, niczym nadzwyczaj czułe sejsmografy, zauważali nawet najdrobniejsze zmiany. Maximilian nie miał żadnego dowodu, lecz był pewien, że Mario wyjechał z dziewczyną.

Potrafił ją sobie wyobrazić: zgrabna, delikatna. Subtelne rysy twarzy. Długie blond włosy. Trochę jak młoda Janet, emanująca wrażliwością i niewinnością. A jednak w głębi czaił się ledwie rozpoznawalny, nieposkromiony głód życia, optymistyczna gotowość do skosztowania także i zakazanych owoców. One wszystkie były takie, wiedział to. Ale czy wiedział o tym również jego brat? A jeśli nie, kiedy to zauważy?

Otworzył drzwi na korytarz, łudząc się, że zdoła tym powstrzymać pęd własnej fantazji. Może był szalony. Może już od dawna nie powinien ufać swoim odczuciom. Brał

lekarstwa, psychofarmaceutyki - na „uspokojenie”, jak to określono. Nie znosił tych tabletek. Tłumiły jego umysł niby ciężki welon, otumaniały go, i choć pozwalały mu odczuwać tak jak przedtem, to wszystko rozgrywało się jakby za jakąś zasłoną, która przeszkadzała mu wsłuchiwać się we własne uczucia. Jakby oddzielono go od niego samego. Czasem miał wrażenie, że oszaleje z tego powodu. Potem podawano mu zastrzyki i poczuł się jeszcze gorzej. Ale po odstawieniu leków już po krótkim czasie pojawiała się u niego niekontrolowane drżenie. Zastanawiał się, ilu ludzi trafiało do klinik psychiatrycznych zdrowszymi, niż z nich wychodziło - dzięki tabletkom. Całe noce spędzał na rozpaczliwych próbach przedarcia się przez ową mgłę do źródeł własnego niepokoju. Tego, co wówczas odczuwał, nie życzyłby najgorszemu wrogowi.

Na korytarzu panował mrok, ponieważ nie było tam okien, i paliło się tylko niebieskawe światło awaryjne. Wszyscy pewnie już spali. O dziewiątej podawano tabletki nasenne każdemu, kto ich potrzebował lub się domagał. Zazwyczaj niedługo potem w całym budynku panowała cisza. Echinger z pewnością jeszcze pracował, może również jakiś lekarz dyżurny. Kto w najbliższych dniach nie miał dyżuru i nie mieszkał na terenie kliniki, wyjechał do domu.

Maximilian spojrzął na zegarek. Pół do jedenastej. Jego niepokój potęgował się. Nie zdołałby się wydostać z tej odludnej okolicy, nie o tej porze. Jakies trzy kilometry stąd był przystanek autobusowy, ale teraz nie przejeżdżał tamtędy żaden autobus, najwcześniejszy odchodził o siódmej rano. Można nim było dojechać do Niebüll, trzęsąc się po wiejskich wertepach, a stamtąd dotrzeć pociągiem do Hamburga.

Wrócił do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Drżącymi dłońmi wyciągnął z szafy jedną z szuflad i zaczął grzebać pod stosem bielizny. Odkąd mógł się swobodnie poruszać, otrzymywał do rąk pieniądze, były one jednak oszczędnie rozdzielane, nadto musiał zdawać relację, na co je wydaje. Mimo to w ciągu minionego roku udało mu się zaoszczędzić dwieście marek. Często otrzymywał pieniądze na wizytę w kawiarni, jednakże albo był zapraszany przez brata, albo w ogóle rezygnował z tej przyjemności. Jak na stosunki panujące w klinice dysponował zatem pokaźnym majątkiem. I posiadał coś jeszcze; coś, co stanowiło znacznie większy skarb niż zgromadzona suma: paszport. Co prawda nieaktualny, lecz na zdjęciu widniała jego twarz. Dokument był wystawiony na nazwisko Mario Beerbaum. Brat przyniósł mu go do kliniki.

Właściwie nie wiedział, kiedy w ciągu tych ostatnich godzin dojrzał w nim plan wyjazdu do Duverelle. W gruncie rzeczy nie miało to nic wspólnego z jakimkolwiek planem, z jakimkolwiek przemyśleniami. Czuł wewnętrzny przymus, podążał za głosem, który go

wzywał. Bezimienny niepokój, który targał nim przez cały dzień i napastował dawnymi obrazami, ustąpił pola jasnej świadomości, co powinien uczynić. Bez względu na konsekwencje, a te będą dalekosiężne, zdawał sobie z tego sprawę. Na początek sierpnia wyznaczono datę jego zwolnienia, lecz od tego dnia dzieliło go jeszcze niemal osiem tygodni. Jeśli postanowi teraz uciec, ryzykuje utratę wszystkiego. Echinger będzie musiał natychmiast zgłosić jego zniknięcie, w przeciwnym razie grożą mu kary, w najgorszym zaś mógł nawet utracić zezwolenie. Będzie tę chwilę odsuwał w czasie możliwie jak najdłużej, lecz w którymś momencie nie pozostanie mu nic innego, jak tylko złożyć doniesienie. (od tej chwili będzie ścigany nakazem aresztowania; o swym sierpniowym zwolnieniu może zapomnieć. Mimo to musiał to zrobić - i zrobi.

Usiadł przy oknie i czekał, aż nastanie świt.

## Środa, 7 czerwca 1995 roku

Kiedy Tina przebudziła się, było jeszcze ciemno. Zapaliwszy lampkę, spojrzała na budzik: trzecia w nocy. Zastanawiała się, co ją obudziło. Po chwili usłyszała, że ktoś w domu słucha muzyki. Brzmiała co prawda cicho, niemniej musiała zakłócić jej sen. Była to muzyka dramatyczna, wzburzona, przeszywająca do szpiku kości, nawet z tak dużej odległości. Wśród tej pro-wansalskiej nocy wydawała się drażniąca i nie na miejscu.

Tina wstała z łóżka, zarzuciła płaszcz kąpielowy i wyszła z pokoju. Powoli zeszła po schodach. Przystanęła przed pokojem Maria. Z początku sądziła, że muzyka dobiega stamtąd, lecz teraz stwierdziła, iż dźwięki rozbrzmiewały w pokoju dziennym. Z wahaniem poczłapała na dół.

Drzwi do pokoju były uchylone, pas światła przenikał na korytarz. Muzyka brzmiała tu głośniej.

- Mario? - zawołała Tina.

Nikt nie odpowiedział. Otworzyła drzwi na oścież. Mario stał przy oknie; odwrócony do niej plecami spoglądał w noc. P.vi kompletnie ubrany; miał na sobie dżinsy, T-shirt, buty i skarpety. Włączył jedynie lampę stojącą, pokój tonął w półmroku. Z odtwarzacza CD dobywały się przenikliwe dźwięki muzyki. Tinę przeszedł dreszcz.

- Mario - powiedziała ponownie. Nadal jej nie słyszał. Odchrząknęła.

- Mario!

Odwrócił się. Spostrzegła, że miał bladą twarz, przez co brwi ostro się uwydatniały, a oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

- Co ty tutaj robisz? - spytał zaskoczony po chwili milczenia.

- O to ja powinnam zapytać ciebie! Jest trzecia w nocy. Czy ty w ogóle kładłeś się spać?

Spojrzał na siebie, jakby próbował to sobie przypomnieć, patrząc na ubranie.

- Nie - odparł. - Ale często chodzę spać bardzo późno, bo z trudem zasypiam.

- Ale trzecia w nocy to trochę za późno.

Mario nie wiedział, co odpowiedzieć. Podeszedł do odtwarzacza i wyłączył go. Cisza zapadła tak nagle, że wydawała się przytłaczająca.

Mario przecesał dłonią włosy. Wyglądał na znużonego, jakby miał za sobą wielki wysiłek.

- Cierpię na to od lat - zaczął się usprawiedliwiać. - To znaczy... na bezsenność. I



wtedy muszę coś robić, więc słucham muzyki. Strasznie mi przykro, że cię obudziłem.

- Nie musisz przeproszać. Tylko... czy próbowałaś znaleźć przyczynę? Przecież w twoim wieku bezsenność nie jest czymś normalnym.

- Och, myślę... myślę, że jestem po prostu nerwowy. - rozmowa na ten temat wyraźnie była mu nie w smak. Tina odniosła wrażenie, że go tylko rozdrażniła. Zachowywał się jak zapędzone w kąt zwierzę. Postanowiła nie drażnić głębiej.

- No cóż, ja w każdym razie wracam do łóżka - rzuciła od niechcienia, myśląc w duchu: Boże, jak on kiepsko wygląda! Jest taki spięty, smutny. Zrodziło się w niej poczucie winy, że przez cały dzień zachowywała się z rezerwą i aż do wieczora była taka oziębła. Ostrożnie dotknęła jego ramienia.

- Ładnie tu - powiedziała. - Nieco odludnie, ale uroczo. Byłam zła, bo wszystko to sobie inaczej wyobrażałam, ale teraz jest już okay. Naprawdę.

Uśmiechnął się.

- Miło, że to mówisz, Tina.

Stali blisko siebie. Mario, blady i wrażliwy, Tina młodziutka i bojaźliwa. A jednak to ona uniosła dłoń i dotknęła jego policzka, po czym zanurzyła palce w jego ciemne włosy.

- Mario - odezwała się cicho. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że chce być blisko niego, zaczynała rozumieć, co to znaczy pożądać mężczyzny - duszą, ciałem, wszystkimi myślami i pragnieniami.

- Kiedy to wreszcie zrobisz - prorokowała jej Dana - już nigdy nie będziesz mogła przestać.

I pewnie miała rację. Tina nie знаła równie intensywnego uczucia. W oczach Maria dostrzegła ogień, który płonął w niej samej; wiedziała, że cokolwiek zdarzyło się wcześniej i cokolwiek wydarzy się potem, w tej chwili ogarnęło go podobne uczucie i że nie będzie w stanie mu się oprzeć.

Pocałowali się bez owej zdystansowanej niewinności, jaka do tej pory dzieliła ich niczym mur. Dłonie Maria wśliznęły się pod płaszcz kąpielowy Tiny. Miała na sobie tylko figi i T-shirt. Podkoszulek był za krótki i odsłaniał brzuch, który pokrył się gęsią skórą, kiedy dotknęły go dłonie Maria.

W jakiś sposób udało jej się zdjąć z niego T-shirt. Jego skóra była ciepła i sucha, smakowała po trosze cedrowym mydłem. Serce waliło mu jak szalone. Pociągnął Tinę za sobą na podłogę, wciąż ją całując i pieszcząc, nie kryjąc swego pożądanía. Kiedy przygniótł ją swym ciężarem i poczuła na swej twarzy jego oddech, pomyślała: Już nigdy, nigdy w życiu nie będzie tak wspaniale...

W tej właśnie chwili Mario wyprostował się i obrzucił ją spojrzeniem pełnym przerażenia i... odrazy. Od razu zrozumiała, że już nigdy nie będzie tak samo: nigdy więcej nikt nie spojrzy na nią z takim obrzydzeniem, z tak wielką pogardą, z takim wstrętem.

Odsunął się od niej i ciężko dysząc, położył obok niej na plecach.

Nie mogła pojąć, co się stało. Nie zamienili ze sobą ani słowa, nie mogła zatem palnąć czegoś niestosownego. Co poszło nie tak? Usiadła, naciągnęła T-shirt, owinęła się płaszczem kąpielowym, poprawiła palcami włosy. Spojrzała na Maria, który rozszerzonymi oczami gapił się w sufit, starając się zapanować nad oddechem.

- Mario - nie miała odwagi go dotknąć. - Mario... co się stało?

Nie odpowiedział. Tina ponowiła pytanie:

- Mario... co takiego się stało?

Oderwał wzrok od wyimaginowanego punktu na suficie i skierował go na Tinę. W jego ciemnych oczach nie było już ani krzty czułości czy pożądania. Tylko gniew, niebezpieczna, chorobliwa złość.

- Co się niby stało? Pytasz poważnie? Wiesz, do czego mogło tu dojść?

- Tak, wiem. - Była bezradna. - Oczywiście, że wiem.

- Aha. I w ogóle ci to nie przeszkadza, prawda? - On także usiadł. Jego nagi tors połyskiwał od potu. Miał roziskrzzone oczy. - Spodobałoby ci się, tak?

- Mario... kocham cię. Zawsze myślałam...

- Co? Co sobie myślałaś?

- Zawsze myślałam, że jeśli ludzie się kochają... - Była tak przerażona i speszona, że usilnie szukała dyskretnego omówienia słów, które w nieupiększonej formie mogłyby tylko spotęgować jego gniew - ...to są... ze sobą bardzo blisko...

Mario patrzył na nią, przyczajony.

- Jak blisko chciałaś być ze mną?

Tina miała wrażenie, iż jedno niewłaściwe słowo może wywołać prawdziwą eksplozję.

- Mój Boże, ja chciałam... chciałam...

- Chciałaś mnie uwieść! I prawie ci się udało. Od kogo się tego nauczyłaś? Od twojej przyjaciółki Dany, tej... - dosłownie wypluł z siebie to słowo - tej lafiryndy?

Tina ściągnęła ramiona. Jej zmieszanie przeradzało się stopniowo w gwałtowną złość. Co on sobie myśli? I jak może obrażać Danę?

- Nie mów tak o niej - powiedziała chłodno.

- Zadawała się z każdym facetem z Hamburga i okolicy - odparł z pogardą Mario. -

Wszyscy o tym wiedzą!

- To jej sprawa.

- Najwyraźniej nie. Najwyraźniej przeszło to na ciebie, i tym samym jest to także moja sprawa.

Tina wstała, blada z wściekłości.

- Oszalałeś!

Mario również podniósł się z miejsca.

- Powinienem być się tego domyślić - rzucił.

- Co takiego?

- Że jesteś taka sama jak wszystkie inne. Co do joty.

- Mógłbyś wyjaśnić, co masz na myśli?

- Wyglądasz jak anioł. Ale to tylko złudzenie. Od samego początku chodziło ci tylko o krótką przygodę ze mną. To dlatego koniecznie chciałaś wyjechać. Dążyłaś do tego, by zrealizować bardzo konkretny zamiar. - Był urażony, rozgoryczony, rozczarowany.

To zupełna groteska, pomyślała Tina. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś absurdalnym śnie, karykaturze rzeczywistości. Naraz poczuła się znużona i smutna - i bezradna.

- Mario, myślę, że dalsza rozmowa na nic się teraz nie zda - powiedziała. - Powinniśmy się przespać, a rano zobaczymy, czy chcemy w ogóle kontynuować ten urlop. Ja... w tej chwili mam mętlik w głowie.

Mario milczał, wpatrując się w nią niczym... tak, pomyślała, niczym zbity pies. Był przerażony i roztrzęsiony.

W końcu uniósł rękę, chwycił za kosmyk jej długich włosów i pozwolił mu prześliznąć się powoli pomiędzy palcami.

- Ja naprawdę bardzo cię kocham, Christino - powiedział cichym głosem. Zwrócił się do niej pełnym imieniem, co zabrzmiało w jej uszach obco. - Tyś jest obrazem, który w sobie noszę.

Nie zrozumiała, co miał na myśli.

- Co takiego?

- Muzyka - odparł. - To ta muzyka.

- To jest zdanie z muzyki, której słuchałeś? - Była zmieszana i bezsilna. - Tyś jest obrazem, który w sobie noszę. Co to znaczy?

Nie odpowiedział; odwrócił się i wyszedł z pokoju. Słyszała odgłosy jego kroków na schodach, potem drzwi do jego pokoju na górze głośno się zatrzasnęły.

Tina potrzebowała pięciu minut, by dojść do siebie, zanim poszła do swego pokoju i położyła do łóżka.

Jednak do rana nie zmrużyła oka.

- Czy mogę zabrać panu chwilę, profesorze? - Doktor Rosenberg, jeden ze współpracowników Echingera, zajrzał do biura swego szefa.

Profesor Echinger siedział za biurkiem. Zamrugął z roztargnieniem powiekami i spojrzął znad okularów do czytania.

- Rosenberg wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Tak? O co chodzi?

- Może to bez znaczenia.

- Maximilian Beerbaum zniknął. Bez odmeldowania.

Echinger, z początku niezadowolony, że mu przeszkadzono w pracy, w jednej chwili wyteżył uwagę.

- Kiedy?

- Nie było go już na śniadaniu. Nikt go do tej pory nie widział.

Echinger, jak zwykle zresztą, nie pojawił się na wspólnym śniadaniu, lecz pracował od samego rana. Zmarszczył czoło.

- Nigdy nie opuszczał śniadania?

- Owszem. Ale dziś zaraz potem odbyła się terapia grupowa, na której powinien był się pojawić. Nigdy jej nie opuścił. Tylko dziś.

- Był pan w jego pokoju? Rosenberg przytaknął.

- Oczywiście. Tam go nie ma. Echinger spojrział na zegarek.

- O jedenastej ma u mnie konsultację. Może do tego czasu chciał pójść na spacer i zapomniał o tym zameldować. Do jedenastej powinien wrócić - o tym spotkaniu na pewno nie zapomni.

- Nigdy dotąd nie zapomniał się odmeldować - przyznał Rosenberg - ponieważ wie, co się z tym wiąże.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Jeśli nie przyjdzie do mnie na spotkanie - oznajmił Echinger - przeszukamy jego rzeczy. Czy coś nie zniknęło.

- Musimy to zgłosić jeszcze dziś - powiedział Rosenberg. Echinger wstał i rzucił długopis na biurko.

- Nie wyobrażam sobie, by mógł zwiać! Byłby głupcem! za niecałe osiem tygodni wychodzi. Cóż to jest osiem tygodni? Tyle mógł, na Boga, odczekać!

- W ostatnich dniach sprawiał wrażenie bardzo spiętego. Coś go dręczy.

- Matka - mruknął Echinger - uciekła do Anglii, prawdopodobnie do swego dawnego kochanka. A jego brat pojechał do Prowansji, podobno sam.

Rosenberg dokładnie znał przypadek Beerbauma.

- To bardzo krytyczne czynniki - przyznał.

- Jeśli uciekł... - Echinger zamyślił się. - Jeśli uciekł... to dokąd?

- Do matki?

- Nie sędzę.

- Może zamierzają nakłonić, by wróciła do ojca. Echinger potrząsnął głową.

- Sześć lat się nim zajmowałem. Musiałbym się wielce mylić, gdybym...

- Co?

- Nie sędzę, że będzie się mieszał w sprawy swoich rodziców. Matka nie ma już dlań tak podstawowego znaczenia jak niegdyś. Z pewnością nie jest zachwycony tym, że na powrót rzuciła się w ramiona Andrew Daviesa, ale nie będzie się w to angażował.

- Hm. - Rosenberg był zdania, że w takich sprawach nigdy nie można mieć pewności.

- To pan jest jego lekarzem - powiedział. - Pan może ocenić to lepiej ode mnie.

Echinger wyszedł zza biurka, zbliżył się do półotwartego okna. Mimo wczesnej pory na zewnątrz panowała przytłaczająca duchota. Po południu na pewno nadciągnie burza.

- Z bratem - rzekł powoli - łączy go niezwykle silna więź.

- Nie jest to aż tak niezwykle w przypadku bliźniaków.

- Owszem, to fenomen bliźniąt, czyż nie? Ten tajemniczy, niewidzialny, nigdy niezerwany kontakt pomiędzy nimi. Spotykamy się z tym bardzo często, jednak w przypadku Beerbau-mów jest to zjawisko nadzwyczaj intensywne. Obaj pozostają w ciągłej rozmowie, mimo dzielącej ich wielokilometrowej odległości i trwającej całymi miesiącami rozłąki. Znają nawzajem swe uczucia i myśli. Są świadomi swych lęków, marzeń, nadziei. Czasem wydaje się, jakby byli jedną osobą.

- Istnieje wszakże zasadnicza różnica - przypomniał Rosenberg. - Maximilian zachorował, Mario jest zdrowy.

- Tak - przyznał Echinger - to właśnie ich różni. - Odwrócił się od okna i spojrzał na Rosenberga. - Zrobimy tak, jak ustaliliśmy. Zaczekamy do jedenastej. Potem przeszukamy jego pokój.

- A policja?

- Później - odparł rozdrażniony Echinger. - Nie musimy od razu stawiać wszystkich na nogi. Jeśli nie pojawi się do wieczora... - Nie dokończył zdania. Rosenberg wiedział: jeśliby

przypadek Beerbauma zakończył się fiaskiem, oznaczałoby to osobistą porażkę profesora Echingera. Doświadczony psychoanalityk nigdy by sobie nie wybaczył, że niewłaściwie ocenił stan psychiczny tego młodego człowieka.

- Dana, czy to ty? - głos Karen zabrzmiał obco, ochryple, ociężale. Dobiegał z pokoju dziennego.

Dana, która dopiero co wyszła spod prysznic i owinęła się dużym ręcznikiem, przystanęła w przedpokoju. Spodziewała się, że o tej porze matka będzie jeszcze w łóżku. Uchyliła drzwi.

- Mamo? Nie śpisz już?

Karen leżała na sofie i najwyraźniej w ogóle nie kładła się spać. Miała na sobie poplamiony niebieski dres i ognistoczerwone wełniane skarpety. Jej krótkie włosy były zwichrzone, a pobladała twarz wyglądała na napuchniętą i starczą. Obok niej na podłodze stało kilka butelek i kieliszków, w całym pokoju unosiła się przenikliwa woń alkoholu.

- Ach, mamo, znowu musiałaś! - westchnęła z rezygnacją Dana.

Podtrzymując ręcznik na piersiach, podeszła do okna i otworzyła je. Wielkomiejski hałas wtargnął do środka. Przesycone spalinami powietrze letniego poranka, parne i ciężkie, powoli wypełniało pokój.

Karen przyłożyła dłoń do czoła i ciężko westchnęła.

- Okropnie boli mnie głowa... Masz aspirynę?

- Wczoraj wieczorem musiałaś się strasznie spić - stwierdziła Dana. Pobieгла do swego pokoju i włożyła podomkę, po czym weszła do kuchni i rozpuściła aspirynę w szklance wody mineralnej. Trwający kilka tygodni okres zdrowego trybu życia, upływający pod znakiem ćwiczeń fizycznych, marchewek i zielonej herbaty, zmienił się nagle, bez jakiegokolwiek łagodnej fazy przejściowej, w okres depresji. Poprzedniego popołudnia Karen niespodziewanie rzuciła w kąt swoje podręczniki ćwiczeń gimnastycznych i pognęła do najbliższego supermarketu, skąd wróciła z całą górą żywności oraz pokaźnym zapasem spirytualiów. Następnie zabrała się za przyrządzanie sutego posiłku, po którym najwyraźniej straciła umiar w picciu. Dla Dany nie było to nic nowego. Kiedy Karen przenikał ból tego świata, potrafiła pić aż do nieprzytomności.

Podowała matce szklankę i pomogła jej usiąść, podsuwając kilka poduszek. Karen miała zszarzałe wargi. Miała czterdzieści lat, a wyglądała na dziesięć lat starszą.

- Psia kość! - mruknęła. - Z samego rana zobaczyć własną matkę w takim stanie.

- Co się wczoraj stało? - spytała Dana. - Przecież chciałaś spędzić przyjemny wieczór!

- Dopiero późną nocą wróciła z dyskoteki i na palcach przemknęła do swego pokoju, sądząc,

że wszystko w porządku.

- Źle się poczułam - odparła Karen. Małymi łykami opróżniła szklankę. - Byłam taka samotna.

- Przykro mi. Nie wiedziałam, że...

- To nie twoja wina. Nie masz obowiązku przesiadywać w domu ze swą starą matką.

- Nie jesteś stara, mammo!

- Ach, spójrz tylko na mnie - biadoliła Karen.

W głębi ducha Dana pomyślała, że ma jednak rację. A przynajmniej, że starzeje się w zastraszającym tempie. Powodem nie był tylko ostry kac dzisiejszego ranka. Zmarszczkom i karbom na jej twarzy, zwiotczalym partiom wokół ust winne były długie lata pełne frustracji i zbyt wielu samotnych godzin. Doznała niepowodzenia w pracy, nie ma partnera, w gruncie rzeczy nawet przyjaciół. Mimo to, pomyślała Dana, całkiem dzielnie sobie radzi.

Pochyliła się i pocałowała Karen w policzek.

- Jesteś całkiem okay - powiedziała. - Naprawdę!

- Jestem ofiarą losu - odparła bezlitośnie Karen. - Nie mam pracy, faceta, zalegam z czynszem.

- Jak długo?

- Dwa miesiące. Wczoraj przyszło pismo od zarządcy. Grozi wymówieniem.

- A pieniądze od ojca za czerwiec jeszcze nie nadeszły?

- Spłaciłam nimi kilka długów, reszta poszła na jedzenie i picie.

Dana obejrzała butelki stojące obok sofy i przeczytała etykiety.

- Dość drogie - stwierdziła. - Na tym mogłabyś sporo zaoszczędzić!

- Nie chcę się ciągle tylko ograniczać. Od czasu do czasu trzeba mieć w życiu trochę radości.

- To akurat żadna radość, skoro potem ma się taki humor jak ty teraz - oznajmiła Dana. Opadła na fotel i wyciągnęła nogi na stół. Jej paznokcie lśniły ognistym pomarańczem.

Musisz wrócić do pracy, mammo. Nie tylko ze względu na pieniądze. Także dlatego, że to dla ciebie ważne.

- Nikt mnie nie chce.

- Bo nie jesteś gotowa na najdrobniejsze nawet ustępstwa. W tym cały problem! Jak ty wyglądasz! Ty...

- Ach! Chciałabyś mnie widzieć Z trwałą na głowie, w kostiumie i naszyjniku z pereł, czy co?

- Bzdura! Ale nie zawsze musisz nosić rzeczy w jaskrawych, szokujących kolorach.

No i... nie bierz mi tego za złe, ale z daleka widać, że twoje ciuchy to najgorsza tanioccha. Mogę sobie wyobrazić, że każdy redaktor naczelny wzdryga się na twój widok!

- Bo to same powierzchowne gnojki w garniturach w jodelkę.

- Mamo, musisz się z nimi jakoś dogadać, jeśli chcesz, żeby ci płacili!

- No pięknie, wychowałam sobie konformistkę - odparła agresywnie Karen.

Dana wzruszyła ramionami.

- Może po prostu jestem nieco sprytniejsza od ciebie. Nie chcę, tak jak ty, żyć z dnia na dzień, nie wiedząc, czy starczy mi na czynsz. I jeszcze jedno. Z pewnością mogłabyś sobie pozwolić na ten swój absurdalny strój, gdybyś jednocześnie była naprawdę wspaniałą dziennikarką, która...

- Och... odmawia mi się zdolności nawet w tej materii?

- Nie chodzi o twoje teksty, lecz o sposób pracy. Jeszcze nigdy nie oddałaś artykułu w terminie. Jeszcze nigdy nie dotrzymałaś uzgodnień i umów. w gruncie rzeczy twoja praca wygląda tak, że spóźniasz się na samolot, każesz całymi godzinami czekać swoim rozmówcom w hotelowym foyer albo siedzisz i medytujesz w pokoju, podczas gdy inni prowadzą kwerendy do swoich reportaży i oddaj.) je do druku w terminie. Mamo, żadna redakcja cię nie zechce!

- A ty fantastycznie wpasowałaś się w niemiecki establishment. Niezawodność, punktualność, porządek! Tak, o ciebie nie trzeba się martwić. Gładko zrobisz karierę. Tylko uważaj, żebyś w drodze na szczyt nie pośliznęła się na własnej wazelinie! Dana wstała.

- Znowu dziś bluzgasz jadem - powiedziała - i wiesz dobrze, że jesteś niesprawiedliwa. Wiesz, jak od razu wszędzie podpadam i co o mnie mówią, a jednak nic sobie z tego nie robię. Ale ty, ty jesteś prawdziwą niedojdą i pseudononkon-formistką. Chcesz żyć, jak ci się podoba, nie przestrzegasz żadnych zasad czy reguł i uważasz, że takie zachowanie jest super, ale od razu zaczynasz ryczeć, gdy przyjdzie ci się zmierzyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami. I dlatego twój bunt jest po prostu mało przekonujący. Sposób, w jaki to robisz, na nikim nie robi wrażenia.

- Skończyłaś? - spytała chłodno Karen.

Chłód ten był jednak udawany, Dana to zauważyła. Może zachowała się zbyt ostro, może nie powinna mówić bez ogródek tego, co myśli. Mama nie była w odpowiednim nastroju do rozmowy o sprawach zasadniczych.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam ci sprawić przykrości.

- Całkiem cię przekabaciła ta twoja przyjaciółka - odparła Karen. Jej twarz powoli odzyskiwała blask, nadal jednak wyglądała okropnie. - Życiowe maksyminy szanownego pana



prokuratora najwyraźniej ci się spodobały.

- Dla ciebie wszystko jest albo czarne, albo białe. A jeśli ktoś ma odmienne zdanie, jest kołtunem i konformistą. Nie uznajesz żadnych półtonów!

- Jak to dobrze, że ty jesteś tak zróżnicowana!

Dana westchnęła. Karen nie nadawała się dziś do rozmowy, każda wymiana zdań kończyła się słowną utarczką. Kiedy Karen szukała zwady, nie dało się jej uniknąć.

- Nie będzie mnie przez kilka dni - oznajmiła.

Karen spojrzała na nią bez zbytniego zainteresowania. - Tak?

- Jadę na południe Francji.

- Och! - Karen uśmiechnęła się krzywo i po raz pierwszy tego ranka jej twarz wydała się młodszą. - A więc nie potrafisz odpuścić. Biedna Tina będzie mieć niańkę, czy chce czy nie!

- Bzdura. Jadę do niej nie po to, żeby być niańką. Nie zamierzam im też przeszkadzać. Można się przecież spotkać od czasu do czasu i trochę zabawić.

- Pan prokurator już mi mówił, że masz taki zamiar. Bardzo się tym martwił; jego zdaniem absolutnie nie powinnam ci pozwolić na podróż autostopem, bo może cię spotkać coś złego.

Dana wzruszyła ramionami.

- Na pewno ma dobre intencje. Ale jeszcze nigdy nic złego mi się nie stało. Poza tym nie mam pieniędzy na pociąg.

Karen odłożyła opróżnioną szklankę na podłogę, opadła na poduszki i przymknęła oczy.

- Mam wrażenie, że za chwilę pęknie mi głowa - mruknęła. - Kiedy wyjeżdżasz?

- Dzisiaj. Ale najpierw wreszcie się ubiorę. - Dana podeszła do drzwi i przystanąła na chwilę. - Mogę cię zostawić samą, mamo?

Karen leżała jak nieżywa; twarz przybrała barwę wosku, oczy miała zamknięte. Jej wargi poruszały się leniwie.

- Oczywiście. Poradzę sobie, jedź.

Dana zawahała się na moment, po czym wyszła z pokoju. Miała wyrzuty sumienia, lecz wieloletnie doświadczenie nauczyło ją, że ni jest w stanie pomóc matce. Jakimś sposobem Karen musi sama, o własnych siłach, stanąć na nogi.

Uroił to sobie czy może naprawdę była okropną bałaganiarą? Byli w Duverelle dopiero półtora dnia, a w domu zapanował już niezły chaos. Dwie pary butów płątały się po podłodze w przedpokoju, trzeba było uważać, by się o nie nie potknąć. W łazience jej

przybory - kosmetyki z Body Shop - zajmowały całą półkę pod lustrem. Używanych ręczników w zasadzie nie wieszala na haczykach, lecz ciskała gdzie popadnie. Smarując w kuchni chleb masłem, nóż i talerz zostawiała po prostu na stole; często zapominała nawet włożyć masło z powrotem do lodówki. Jeden z jej T-shirtów leżał na sofie w pokoju dziennym, zaś wełniany sweter spędził samotnie noc na leżaku i zdążył nasiąknąć poranną rosą.

A ja byłem przekonany, że ona dba o porządek, pomyślał Mario.

Zastanawiał się, dlaczego jej niechlujność tak bardzo go rozzłościła. Nigdy nie był fanatykiem porządku, dlaczego zatem miałyby się to nagle zmienić? Lękiem napelniała go myśl, iż tak naprawdę szukał powodu, dla którego mógłby być na nią wściekły. Potrzebował jakiegoś wentylu, jakiejś sposobności, by eksplodować, by zaczerpnąć powietrza. Czuł wobec niej gwałtowną agresję, którą musiał wyładować, w przeciwnym bowiem razie mógł się nią udusić.

Jego wyobrażenia o niej legły zeszłej nocy w gruzach; już wcześniej zostały zeszpecone przez rozliczne rysy. Cóż takiego w niej widział? Bajkowe stworzenie, nieziemską czarodziejkę, anioła? Ustawił ją na cokole, na którym wcale nie chciała się znaleźć. Dało się to zauważyć już podczas podróży: minispódniczka, ognistoczerwona szminka. Obserwowanie, jak inni faceci gapią się na nią, przyprawiało go o mdłości. A potem, zeszłej nocy: oddałaby mu się bez słowa, gdyby tylko zechciał. Bez wstydu, bez lęku. Czy zakładała to od samego początku? Czy dlatego koniecznie chciała z nim wyjechać?

Nie - oburącz przetarł czoło, jakby w ten sposób mógł przegnać dręczące go myśli - nie powinien myśleć o niej jak najgorzej. Zeszłej nocy poddała się słabości, on również omal jej nie uległ. Wina nie leżała zatem tylko po jej stronie.

Usiłując myśleć o czymś innym, uprzątnął jej rozrzucone rzeczy i spisał listę sprawunków. Podlał kwiaty i przemył umywalkę w łazience, w której pełno było włosów Tyny. Jego złość minęła równie szybko, jak się pojawiła, wiedział jednak, że nie ulotniła się zupełnie. W każdej chwili mogła w nim znów wezbrać i rozwinąć się w nieobliczalną siłę.

Przez kuchnię wyszedł na taras położony na tyłach domu. W porównaniu z ogrodem po drugiej stronie panował tam cienisty chłód. Kamienne płyty, ułożone na kuchennej podłodze, ciągnęły się aż na taras, przez co sprawiał on wrażenie dodatkowego, przewiewnego pokoju. Stały tam terakotowe donice, obsadzone kolorowymi kwiatami, a pomiędzy kamieniami pienił się mech. Mimo dwóch ogromnych czereśni osłaniających przed słońcem termometr zawieszony na ścianie domu pokazywał dwadzieścia osiem stopni.

Tina wyciągnęła się na leżaku, ubrana w bardzo skąpe biki-ni. Mario usiłował nie

spuszczać wzroku poniżej jej podbródka. Była pogrążona w lekturze, najej twarzy malował się wyraz napięcia i skupienia. Wzdrygnęła się, kiedy stanął nagle tuż obok niej. Uśmiechnął się, dzięki czemu nieco się odprężyła.

- Co czytasz? - zapytał. Zamknęła książkę i pokazała mu tytuł.

- Sita - przeczytał. - Kate Millet. - Nie znał książki, lecz znał jej autorkę. Zastanawiał się, dlaczego Tina zainteresowała się feministką lesbijką.

Tina odłożyła książkę.

- Przygnębiająca historia - powiedziała - o bardzo pogmatwanym i bolesnym związku dwóch kobiet.

- Aha. - Miał wrażenie, że oczekuje od niego jakiegoś mądrego komentarza, nic mu jednak nie przyszło do głowy. Uciekł się do krótkiego wymownego milczenia. Potem zaproponował: - Chodź ze mną do wioski. Musimy kupić coś na kolację.

- Okay. Tylko się ubiorę. - Podniosła się z miejsca. Nie chce mnie prowokować, pomyślał. Zakłada te skąpe kwieciste rzeczy, bo wszystkie kobiety to noszą. Nigdy się nie zastanowiła, jak to wygląda.

Jakby słysząc jego myśli, nagle skrzyżowała ramiona na piersiach. Rumieniec zakłopotania przemknął po jej policzkach.

- Wciąż jeszcze nie zadzwoniłam do ojca. Na pewno strasznie się martwi.

- Powiedziałaś mu, że zadzwonisz?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. Oboje uznaliśmy to za oczywiste. - Spojrzała w stronę okna niewielkiego gabinetu na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się aparat telefoniczny. - Dziwne, że on też nie zadzwonił.

- Nikt nie dzwoni. Pewnie nie chcą nam przeszkadzać.

- Nie wiedziałabym, co mu powiedzieć. Pewnie by zauważył, że jestem przygnębiona.

Mario domyślił się, że Tina daje mu sygnał. Powinien podjąć temat: Czemu jesteś przygnębiona? Byłaby to okazja do rozmowy o wydarzeniach zeszłej nocy. Mógłby wyjaśnić, dlaczego tak się zachował; może by go zrozumiała. Lecz zabrakło mu odwagi i energii, dlatego powiedział tylko:

- Ubierz się, wychodzimy.

Obrzuciła go wzrokiem, w którym kryła się zarówno irytacja, jak i głęboka uraza, ale nic nie odpowiedziała. Odwróciła się i weszła do domu.

Jakże potrafią się dłużyć godziny, kiedy nie ma się nic do roboty! Jedzenie i picie nie zabierają zbyt wiele czasu, podobnie jak sprzątanie w domu, w którym o porządek dba niezawodna sprzątaczką. Poza tym łało jak z cebra, dlatego też nie można było uciec do

ogrodu.

Trzeba było siedzieć w biurze, pomyślał Phillip, tym bardziej że nagromadziło się sporo pracy.

Skapitulował, kiedy zrozumiał, że sam nie byłby w stanie poradzić sobie ze wszystkim i dotrzymać wyznaczonych terminów. Jego sekretarka jeszcze przedzielonymi Świątkami wyjechała na dwa tygodnie na Wyspy Kanaryjskie, jeden z jego dwóch współpracowników poinformował go z samego rana, że jest chory. Janet - dopiero teraz zrozumiał, jak wiele spraw w całej kancelarii zależało od niej - wciąż przebywała w Londynie, względnie zabawiała się w łóżku z An-drew Daviesem. Student, którego zatrudnili, pozbawiony jakichkolwiek wskazówek był zupełnie bezradny, zaś drugi współpracownik przez cały czas tylko lamentował, że wszyscy są przeciążeni pracą, w końcu Phillip wysłał obu do domu, mówiąc, że postara się coś wymyślić. Zdawał sobie wszakże sprawę, że niczego wymyślić nie zdoła. Zostawiając wszelkie sprawy odłogiem, włączając w biurze automatyczną sekretarkę i popadając w całkowitą bezczynność, tylko pogarszał sytuację. Nie był jednak w stanie energicznie rozwiązać tego problemu.

Zapadał w obezwładniający letarg, z godziny na godzinę potęgowało się jego odrętwienie. Mógł tylko przesiadywać w fotelu, gapić się w ścianę i z nieustanną udręką analizować zaistniałą sytuację.

Został sam. Stracił Janet. Nawet jeśliby wróciła, już nigdy nie będą mogli żyć razem, w zwyczajny sposób - nie po tym drugim razie. Mario podążał własnymi ścieżkami. Być może pozostanie mu jedynie Maximilian, a to on właśnie był mu kulą u nogi.

W ciszy rozbrzmiewało głośnie tykanie zegara. Na zewnątrz nadal padał ulewny deszcz. Phillip podniósł się, wyszedł do kuchni i nastawił wodę na kawę. Ani żony, ani dzieci, które zebrałyby się przy stole poczuł się żałośnie samotny. Jako że samotność uznawał zawsze w swej pysze za nieodłączną konsekwencję własnych błędów w stosunkach z innymi ludźmi, oładnęło nim teraz gwałtowne poczucie winy. Kiedy patrzył na pochmurny dzień i czekał, aż zagotuje się woda, tłukło mu się po głowie słowo „nieudacznik”. Przemknęła mu też śmiała, nieposkromiona myśl, by złapać najbliższy samolot do Londynu, udać się do mieszkania Daviesa, zapukać do drzwi i zwyczajnie zabrać stamtąd Janet. Być może takie mocne wejście zaimponowałoby jej, może nawet roznieciłoby w niej uczucia, jakich dotąd wobec niego nie miała. Najwyraźniej lubiła mężczyzn, którzy biorą, co tylko chcą, i to bez zbytnich ceregieli.

- Przyjechałem, żeby cię stąd zabrać, Janet. - Albo bardziej agresywnie: - Decyduj. Jeśli wybierasz jego, rozwodzimy się i przyrzekam ci, ten rozwód będzie tak paskudny, że

zwątpisz, czy on naprawdę jest tego wart!

A może zastosować metodę Andrew Daviesa? Chwycić Janet za ramię i siłą wywlec ją z mieszkania?

- Jesteś moją żoną i radzę ci nigdy więcej o tym nie zapominać!

Phillip westchnął z rezygnacją, kiedy uświadomił sobie, że nie zdobyłby się na coś takiego. To zwyczajnie nie było w jego stylu. Wypadłby śmiesznie i absolutnie nieprzekonująco. W decydującej chwili nawet wściekłość nie dodałaby mu siły. Nie poczułby nic prócz okropnego, pełnego wstydu zażenowania - a to najgorszy sposób, by próbować wywrzeć wrażenie na takiej kobiecie jak Janet i takim mężczyźnie jak Andrew.

Woda zagotowała się; w tej samej chwili zadzwonił telefon. Przez chwilę Phillip miał zamiar spokojnie zaparzyć sobie kawę i poczekać, aż zgłosi się automatyczna sekretarka, lecz nagle olśniło go, że może to Janet chce z nim rozmawiać. Popędził do pokoju dziennego i odezwał się zdyszczonym głosem:

- Słucham?

- Weiss - zabrzmiało chłodno i bardzo oficjalnie. Phillip nie wiedział, jak zareagować.

- Słucham? - zapytał ponownie.

- Jestem ojcem Christiny Weiss.

- Och... dzień dobry panu. Nie wiedziałem...

- Panie Beerbaum, mówiąc krótko: bardzo się martwię - oznajmił Michael. - Moja córka nie daje znaku życia. Już dawno powinni byli dotrzeć na miejsce. Ciągłe próbuję się do nich dodzwonić, ale nikt nie odbiera.

W jego głosie pobrzmiwał wyrzut, jakby to Phillip był odpowiedzialny za zaistniałą sytuację.

- Może rzeczywiście jeszcze nie dotarli - odparł Phillip.

- Może gdzieś po drodze zatrzymali się na dłużej, by zwiedzić jakieś miasto albo okolicę.

- W takim razie dlaczego Christina nie dzwoni?

A niby skąd mam to wiedzieć, pomyślał nieco rozzłoszczony Phillip. Odpowiedział jednak uspokajająco:

- Panie Weiss, oboje są młodzi i zakochani. Rodzice są zapewne ostatnią rzeczą, o której teraz myślą.

- To zupełnie niepodobne do mojej córki - powiedział z naciskiem Michael; między słowami krył się niedopowiedziany zarzut: To na pewno wpływ Maria!

Co za zarozumialec, pomyślał Phillip. Nie odpowiedział, postanowił odczekać.

W końcu odezwał się Michael:

- Od początku byłem przeciwny tej podróży. Ale Christina nie dała się przekonać.

- Wróci do domu cała i zdrowa, jestem tego pewien.

- Cóż, jest pan większym optymistą ode mnie. W każdym razie, jeśli się do pana odezwą, byłbym wdzięczny, gdyby im pan przekazał, by zadzwonili również do mnie.

- Na pewno tak zrobię - powiedział Phillip, nawiązując do szorstkiego, powściągliwego tonu Michaela.

Pożegnali się uprzejmie i chłodno, a Phillip, odkładając słuchawkę, pomyślał: Mam nadzieję, że Mario nie ożeni się z tą dziewczyną. Nie życzę mu takiego teścia!

Ledwie wrócił do kuchni, znów zadzwonił telefon. Przez cały ów kiepski, samotny, smutny dzień uparcie milczał, ani raz nie przerwał tej nieznośnej ciszy. A teraz nie przestawał dzwonić. Podnosząc słuchawkę, Phillip pomyślał o braku równowagi w życiu. Tym razem po drugiej stronie odezwał się profesor Echinger. Poinformował, że Maximilian nie pojawił się na śniadaniu i od tej pory ślad po nim zaginął, nie pozostaje mu więc nic innego, jak tylko powiadomić policję.

Przez cały rok Andrew tak często pracował po godzinach, iż jego przełożony, inspektor Brown, w ulgą przychylił się do jego prośby o udzielenie mu jednego dnia urlopu.

- To się wam przecież należy, Davies. Strasznie się przyłożyliście do tej sprawy Corveya.

- Na próżno.

- Ależ skąd! Złapaliście właściwego człowieka. Każdy o tym wie. To nie wasza wina, że nic mu nie można udowodnić. Jeszcze nie teraz.

- To moja sprawa, szefie, i nie została rozwiązana w sposób zadowalający. Pojutrze ława przysięgłych może uniewinnić Freda Corveya z braku dowodów. A to oznacza moją porażkę i nie ma na to żadnego usprawiedliwienia.

- Nie bądźcie wobec siebie tak bezlitośni. Czy myślicie, że żaden z nas nie musiał patrzeć z zaciśniętymi zębami, jak schwytyany przestępca opuszcza salę rozpraw jako wolny człowiek - tylko dlatego, że brakuje paru cholernych dowodów? Na Boga, Davies! Każdy musi kiedyś przelknąć tę gorzką pigułkę.

- Według naszego prawa nie można go dwukrotnie oskarżyć o popełnienie tego samego przestępstwa. Te cztery morderstwa ujdą mu na sucho. Do szalu doprowadza mnie myśl, że powinienem był przewidzieć, iż on wycofa swoje przyznanie do winy. Powinienem był to przewidzieć! Nie powinniśmy byli w ogóle wnosić oskarżenia ani aresztować Corveya. Trzeba go było obserwować i...

- Trzeba było, trzeba było! Przestańcie, bo się w ten sposób wykończycie! - Brown położył Andrew dłoń na ramieniu w przyjacielskim geście współczucia. - Dostaniecie swoją drugą szansę. Corvey to nałogowiec. Nieważne, jak bardzo będzie z początku uważał - on nie przestanie, bo nie może przestać. A szczęście nie będzie mu wiecznie sprzyjać.

- W tej chwili wygląda na to, że jednak mu dopisuje.

- W tej chwili. Ale nie zawsze tak będzie. Los się odwróci. - Brown obrzucił Andrew przenikliwym spojrzeniem.

Davies był przygnębiony i niezadowolony, to zrozumiałe w jego sytuacji. A jednak sprawiał wrażenie bardziej rozgniewanego i sfrustrowanego niż inni, którzy doświadczyli czegoś podobnego. Zadra tkwiła w nim niezwykle głęboko, zadając dotkliwy ból. Co było tego powodem? Współczucie dla ofiar, obecnych i przyszłych? Wściekłość, że poznał drugą stronę błyszczącego medalu sprawiedliwego i nieprzekupnego systemu prawnego? Czy też rozogniła się rana urażonej ambicji? Brown znał się na ludziach; na podstawie swej wiedzy o Andrew Daviesie w głębi ducha opowiadał się za ostatnią możliwością. Davies nie potrafił pogodzić się z porażką, i w tym krył się jego osobisty handicap utrudniający mu szybki awans w Scotland Yardzie. Chciał zostać co najmniej nadinspektorem; stanowisko to mogło mu przynieść najwyższe poważanie, a nawet tytuł szlachecki. Wszyscy w Yardzie wiedzieli, że jest świetnym śledczym, a jednak nie było nikogo, kto z głębokim przeświadczeniem i z całego serca byłby gotów udzielić mu protekcji. Niektóre incydenty świadczyły o tym, że Davies w razie niepowodzenia mógłby stracić panowanie nad sobą.

Nigdy nie doszło do katastrofy, a jednak wszystkim udzieliło się złe przeczucie, iż pewnego dnia Davies sam stanie się ofiarą zainscenizowanej przez siebie tragedii.

- A zatem spędźcie miło ten wasz wolny dzień - powiedział Brown. - Zapomnijcie o Fredzie Corveyu i róbcie to, co sprawia wam przyjemność.

Andrew uśmiechnął się, jednak napięcie w kącikach ust świadczyło o tym, że chyba nie potrafi w tej chwili o nim zapomnieć.

Kiedy wrócił do mieszkania, nikogo w nim nie zastał. Na kuchennym stole leżała kartka od Janet z informacją, że wyszła „załatwić parę spraw”. Z notatką w dłoni Andrew wszedł do pokoju dziennego i nalał sobie szklaneczkę whisky. Stojąc przy oknie i sącąc powoli trunka, poddawał się rozluźniającemu działaniu alkoholu i rozmyślał o Janet. W młodości budziła w nim skojarzenia z takimi pojęciami, jak wiosna, zielone łąki, czysta woda. Kiedy ją poznał, cechowała ją przejmująca naiwność i niewinność. Ojciec strzegł jej niczym złotego skarbu, chroniąc przed zetknięciem z wszelkim paskudztwem czy złem, jakie niesie ze sobą życie. Ufała mu równie bezgranicznie jak wszystkim innym. Kiedy wreszcie udało

mu się podejść jej ojca fortelem, tak iż mogli zostać sam na sam, przespał się z nią. Miał wówczas wrażenie, jakby popełnił świętokradztwo, jakby poważił się zagarnąć coś, co nie było przeznaczone dla niego, ba, dla nikogo. Zarazem jednak jej oddanie, czułość, a w końcu także i fakt, iż zupełnie oszalała na jego punkcie, utwierdziły go w przekonaniu, że cokolwiek się stanie, nigdy jej nie utraci. Nawet wówczas, gdy zauważył, jak bardzo cierpi z powodu jego licznych romansów z atrakcyjnymi koleżankami, nie obawiał się, że w konsekwencji może go rzucić. Nie w wieku szesnastu, siedemnastu lat. Kiedy więc nagle wyjechała do Niemiec, mając zaledwie osiemnaście lat, poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Był wstrząśnięty, gdy ponad rok później pojechał jej szukać i odnalazł zamężną kobietę ze złotą obrączką na palcu i ogromnym brzuchem, była bowiem w siódmym miesiącu bliźniaczej ciąży. Dało się u niej wyczuć nowy rodzaj determinacji; zniknęła gdzieś jej naiwność, ustępując miejsca ostrożnej, nieco nieufnej powściągliwości. Mimo iż życie zadało jej pierwszy mocny cios, nie utraciła nic ze swej naturalności, ciepła, serdecznej przychylności wobec ludzi. Zjedną drobną różnicą: choć nadal wierzyła w dobro, nie była już prostoduszna. Ów delikatny niuans sprawił, że zyskała jeszcze więcej uroku.

Dziś jednakże... Obracał szklanę w dłoniach, zamyślonym wzrokiem spoglądał na bursztynowożółty płyn i pływające w nim, prawie całkiem już roztopione, kostki lodu. Dziś jej twarz nieustannie przyćmiewał wyraz udręki. Tak często miał do czynienia z ludźmi w sytuacjach wyjątkowych, tak dobrze znał najgorsze nawet otchłanie tak zwanego cywilizowanego społeczeństwa, iż zachowanie Janet musiał uznać za wykraczające poza zupełnie zrozumiałe frustracje, jakie rodzi nieudane małżeństwo. Bez względu na to, jak bardzo przygnębiające i pozbawione perspektyw były lata spędzone z Phillipem, nie mogły one napełnić jej oczu owym szczególnym rodzajem bólu. W jej życiu musiało kiedyś dojść do głębokiego, straszego pęknięcia. Zdążył się już wszakże przekonać, iż drażnienie tego tematu pozbawione było sensu. Ona niczego nie wyjawi, póki sama się na to dobrowolnie nie zdecyduje.

Usłyszał, jak Janet przekręca klucz w zamku; wyszedł jej naprzeciw, odebrał od niej torbę z zakupami i ucałował w policzek.

- Poczułem się bardzo samotny - wyznał. - Zupełnie już odwykłem od powrotu do pustego mieszkania.

Janet roześmiała się.

- Nagle uświadomiłam sobie, że nie mamy nic na kolację. Dlatego pobiegłam coś kupić.

Andrew zaniósł torbę do kuchni i zerknął do niej.



- Czy te rzeczy można zamrozić? Janet poszła za nim.

- Myślę, że tak. Chcesz mnie zaprosić gdzieś na kolację?

- Chcę, byś spakowała do torby rzeczy na jedną noc i jeden dzień. I żebyś wsiadła do samochodu, a całą resztę zostawiła mnie.

Była zaskoczona. - Ale...

- Wziąłem na jutro urlop i chętnie bym gdzieś wyjechał. To jest... - Zawahał się, potem jednak dokończył cichym głosem: - Pojutrze uniewinnię Freda Corveya. Muszę się nieco podbudować psychicznie.

Godzinę później wyruszyli w drogę. Był jasny, ciepły wieczór. Londyńskie ulice nieco już opustoszały, toteż zwawo posuwali się naprzód. Wkrótce Janet zorientowała się po drogowskazach, dokąd zmierzają.

- Wschodnia Anglia - powiedziała. - Jedziemy do Cambridge?

- Nie byłem tam od wieków. Masz ochotę?

- Tylko żadnych odwiedzin u krewnych! Andrew potrząsnął głową.

- Skoro mamy jeden dzień dla siebie, z pewnością nie spędzimy go, siedząc przy filiżance herbaty na zakurzonej sofie u jednej z twoich ciotek. Nie. Pomyślałem sobie, że możemy po prostu odwiedzić parę miejsc naszej młodości.

- Naszej dawno już minionej młodości! Zerknął na nią z ukosa i uśmiechnął się.

- Dziwne, że ty to mówisz. Właśnie dziś mam wrażenie, jakby to było całkiem niedawno. Jakbyśmy ledwie wczoraj spotykali się na naszych potajemnych randkach w ustronnych miejscach kampusu, kiedy wszystko wydawało się nam tak bardzo ekscytujące i tajemnicze.

Nie spojrzała na niego. Patrzyła przez okno, obserwując przemykające przed oczami domy, pola, łąki. Wysoka czerwcową trawa falowała w podmuchach przedwieczornego wiatru, połyskując czerwono w blasku słońca.

To nie tylko on, pomyślała, to rodzinne strony. Jestem u siebie.

Przeniknęło ją ciepłe, lekkie, młodzieńcze uczucie. Owa chwila nie zrodziła żadnej nowej myśli, a tylko zbudziła od dawna uśpioną.

- Chcę tu zostać - wyznała.

Przez ułamek sekundy samochód zakołysał się, Andrew zdołał jednak zapanować nad sobą.

- Zostać tutaj? - zapytał.

- Wkażdym razie w Anglii. U ciebie, jeśli chcesz. - Nadal nie patrzyła w jego stronę. -

Poproszę Phillipa o rozwód.

Dana miała szczęście. W Hamburgu zabrała ją pewna młoda kobieta i podwoziła aż do Fryburga. Opowiadała, że jest studentką i była w odwiedzinach u rodziców, którzy mieszkali na wsi w Szlezwiku-Holsztynie. Danie przypominała nieco Ka-ren, bo także miała krótkie rude włosy i nosiła wytarte ciuchy. Miała na imię Patricia i studiowała germanistykę.

- Wybierasz się na południe Francji? - spytała. - Całą drogę autostopem? Chyba nieco przesadziłaś!

- Autostopem dojechałam już nawet na Costa del Sol - odparła Dana - i Bóg wie dokąd jeszcze. Zawsze docierałam tam, gdzie chciałam.

- Ale przecież to trochę niebezpieczne - oznajmiła Patricia. - Przede wszystkim... - Obrzuciła Danę krótkim spojrzeniem, lecz nie dokończyła zdania.

Dana westchnęła. - Tak?

- No więc, nie bierz mi tego za złe, ale w tych ciuchach wyglądasz nieco prowokująco.

Dana spojrzała na siebie. Miała na sobie typowy strój na ciepłe dni lata: czarną minispódniczkę, jasnozielony T-shirt z napisem MONTE CARLO na piersiach, do tego kilka wąskich złotych bransoletek na obydwu przegubach dłoni, ogromne kreolskie kolczyki oraz czarne sandały na stosunkowo płaskich obcasach. Kiedy wyruszała w drogę, zaczęło padać, dlatego zarzuciła na ramiona dżinsową kurtkę, potem jednak ją zdjęła, bo coraz bardziej się wypogadzało.

- Nie wydaje mi się, bym prowokowała moim strojem - odpowiedziała.

Patricia uśmiechnęła się pojednawczo.

- Okay, zależy, jak na to spojrzeć. Miałam tylko na myśli... Wiesz, jacy są mężczyźni. Wystarczy, że odsłonisz nieco nogi albo biust, a oni już twierdzą, że dopraszasz się o gwałt.

- To nie mój problem. Noszę to, co lubię.

Patricia nie drażyła więcej tego tematu. Opowiedziała co nieco o swoich studiach i tęsknocie za domem, z jaką ciągle musiała się zmagać. Pod wieczór, kiedy zbliżały się do Fryburga, zapytała:

- Gdzie dziś przenocujesz?

- Mam nadzieję, że szybko złapię następną okazję. Prześpię się w samochodzie.

- Tak ci się śpieszy? Wiesz, moje mieszkanko jest wprawdzie malutkie, ale mogę ci zaproponować całkiem wygodną sofę. To chyba lepsze niż spanie w samochodzie.

Dana zastanawiała się przez chwilę, czy powinna przyjąć tę propozycję. Myśl o miłej kolacji, rozmowie z tą sympatyczną kobietą, nade wszystko zaś o wygodnym łóżku wydawała się nadzwyczaj kusząca. Zaraz jednak przypomniała sobie o Tinie. Wiedziała, że zostałyby wysmiana, gdyby opowiedziała o swych przecuciach. O tym, że wydaje jej się, iż Tina

wyciąga do niej ręce. Że wyczuwa jakieś nadchodzące niebezpieczeństwo. Że ona... nie! Zabroniła sobie takich myśli. To śmieszne.

Była istną neurotyczką; psycholog, analizując jej stosunek do Tiny, odkryłby w nim nad wyraz skomplikowany splot zależności, mechanizmów kompensacyjnych oraz projekcji. Uczepiła się swojej przyjaciółki, ponieważ nie miała ojca, matka natomiast była osobą nieco chwiejną. Teraz zaś dostawała bzika z obawy przed utratą tej jedynej podpory w swym życiu... Z pewnością stanowiła prawdziwą gratkę dla psychoanalityka. Jakkolwiek wyglądało to na istne szaleństwo, nie zdołała zignorować natłoku owych myśli. Nagle bezczynne czekanie przez całą noc wydało jej się wykluczone.

- To naprawdę miło z twojej strony, Patricia - powiedziała - ale z pewnych względów muszę czym prędzej jechać dalej. Może wyrzucisz mnie przy jakimś zajeździe, gdzie zatrzymuje się sporo kierowców ciężarówek, tam zawsze można kogoś znaleźć.

- Jak chcesz - odparła Patricia.

Wkrótce potem zjechała z autostrady na parking, przy którym mieścił się zajazd. Już z daleka widać było liczne zaparkowane tam ciężarówki.

- O to właśnie chodziło - stwierdziła z zadowoleniem Dana. - Mogę tu coś zjeść i przy okazji nawiązać kilka nowych znajomości. Na pewno znajdę kogoś, kto jedzie w tym samym kierunku.

Patricia spojrzała na nią z rozgoryczeniem; z jednej strony chciała ją jeszcze raz ostrzec, z drugiej zaś obawiała się grać rolę jakiejś nadopiekuńczej staromodnej guwernantki. W końcu powiedziała tylko:

- Uważaj na siebie, dobrze?

- Jasne. I stokrotne dzięki za podwiezienie. Jak dotąd poszło lepiej i szybciej, niż sądziłam. - Dana wysiadła, po czym sięgnęła po plecak leżący na tylnym siedzeniu. - Powodzenia!

Zamknęła drzwi, raz jeszcze pomachała ręką i ruszyła w kie-runku zajazdu. Ciemne loki powiewały na wietrze, na rękach pobrzękiwały bransoletki. Patricia obserwowała ją w lusterku wstecznym. Cóż za atrakcyjna, pełna optymizmu młoda dziewczyna! Zapuściła silnik i ruszyła w dalszą drogę.

Przez resztę wieczoru nie mogła otrząsnąć się z przygnębiającego uczucia.

Maximilian tymczasem dotarł do Frankfurtu - w bardziej konwencjonalny sposób niż Dana, mianowicie pociągiem. Dalej musiał jednak podróżować autostopem, ponieważ został prawie bez pieniędzy. Resztę potrzebował na jedzenie i picie.

Do metropolii nad Menem dotarł po południu, nieco zmęczony wydarzeniami

mijającego dnia. By zdążyć na pierwszy z rana autobus, zerwał się skoro świt i wymknął z kliniki. Nie było to trudne, jeśli pacjent nie był zamykany na noc - w jego przypadku zrezygnowano z tego już rok wcześniej - oraz jeśli orientował się w rozkładzie pomieszczeń. Nie można było skorzystać z głównego wejścia, przy którym przez całą noc przesiadywał portier, czytając gazetę. Ale istniała jeszcze piwnica, do której można się było dostać tylnymi schodami. Większość okien była tam zakratowana, jednakże w mieszczącej się na tyłach rupieciarni całe zabezpieczenie stanowiła cienka druciana siatka. Wystarczyło jedno silniejsze kopnięcie. Kratę nad świetlikiem dało się bez trudu odkręcić i podnieść. Droga ta na szczęście nie prowadziła do odgradzonej wysokim murem bezpiecznej strefy parku, w której pacjenci oddziału zamkniętego korzystali ze słonecznych kąpielii, lecz do jego otwartej, ogólnie dostępnej części. Na samym końcu posiadłości trzeba było jeszcze pokonać stary kamienny mur, nie stanowiło to jednak żadnego problemu. Nawet średnio wysportowany mężczyzna był w stanie pokonać tę odległość w czasie krótszym niż trzy minuty. W ciągu ostatnich trzech lat pobytu w klinice Maximilian wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję do treningu fizycznego, był więc w dobrej formie. Ani ucieczka, ani późniejszy trzykilometrowy marsz do najbliższego przystanku autobusowego nie sprawiły mu żadnych trudności. Wiedział, że nie wygląda na człowieka, który dopiero co opuścił klinikę. Miał na sobie świeży niebieski T-shirt, czyste dżinsy, adidasy oraz modną, wyświechtaną kurtkę skórzaną. Dwa tygodnie wcześniej klinikę odwiedził fryzjer, toteż Maximilian miał dobrze przystrzyżone włosy. Nie mógł się golić, ponieważ żaden z pacjentów, ze względu na możliwość popełnienia samobójstwa, nie miał swobodnego dostępu do maszynek do golenia, niemniej szary cień na podbródku i policzkach nie czynił zeń podejrzanego. Większość młodych ludzi wyglądała znacznie bardziej niechlujnie od niego.

Poranek był pogodny i rześki, powietrze czyste i chłodne. W dobrym humorze dotarł do stojącego w samym środku pustkowi przystanku, na który składały się tablica, plastikowa podstawa oraz ławka. Czekало tam zaskakująco dużo osób dojeżdżających z okolicznych domostw do pracy na poranną zmianę. Nikt nie zwrócił uwagi na Maximiliana. Najwyraźniej nie było po nim widać, że serce podchodzi mu do gardła, a całe ciało przechodzi lekkie drżenie. Po raz pierwszy po tylu latach znalazł się znowu na wolności. Okres, kiedy mógł opuszczać klinikę i wyruszać na wycieczki, nie mógł zostać uznany za swego rodzaju przygotowanie, bowiem zawsze czuł się w pewien sposób ograniczony, a tym samym chroniony. Profesor Echinger wciąż był przy nim, niczym cień. Wyznaczone godziny, w których wolno mu było wychodzić, narzucały mu pewien rygor. Dziś natomiast wyruszył w nieznaną, skoczył z wysokiej wieży w otchłań, nie wiedząc, co może go spotkać. Wsiąść do

autobusu, zapłacić za bilet, odjechać... Naraz przeszył go potworny lęk, zawahał się, czy nie powinien zawrócić, zamiast podążać za urojeniem, popadając przy tym nieomal w załamanie nerwowe i niweczając możliwość oficjalnego zwolnienia w sierpniu.

Wtedy jednak pojawił się autobus i powoli wjechał w zatoczkę. Maximilian znalazł się nagle obok kierowcy i usłyszał własny głos:

- Poproszę normalny do Niebüll.

Jego głos brzmiał szorstko i ochryple, lecz nikogo to nie zaniepokoiło. Kiedy autobus ruszył, Maximilian, mając nogi jak z waty, osunął się na miejsce w pobliżu drzwi. Obok siedziała kobieta pochłonięta lekturą gazety. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy obok niej pojawił się młody człowiek. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nań nie patrzył. Wydawało się, że nikomu nie przyszło na myśl, iż właśnie uciekł z kliniki psychiatrycznej. Był normalnym człowiekiem wśród wielu innych normalnych ludzi.

Wszystko szło tego dnia jak z płatka. Zdążył na pociąg do Hamburga, tam zaś przesiadł się do innego, jadącego na południe. Mógłby dotrzeć nim aż do Innsbrucku, lecz wówczas za bardzo zboczyłby z drogi, dlatego wysiadł we Frankfurcie. Zostało mu tylko pięćdziesiąt marek, toteż uznał za rozsądne nie tracić tej skromnej sumy na przejazd kilku dalszych kilometrów pociągiem. Na stoisku kupił sobie kiełbaskę z frytkami, do tego puszkę coli. Przez cały dzień nie czuł głodu, potem jednak z każdą chwilą potęgował się ucisk w żołądku; poza tym był brudny, zmęczony i zdezorientowany. Z jednej strony mógł mówić o sukcesie: ucieczka powiodła się, bez trudu przebył siedemset kilometrów, nie tracąc nerwów i w żaden sposób nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Z drugiej zaś prawdziwe trudności dopiero go czekały: musiał przekroczyć granicę francuską, mając nieważny paszport, mógł przemieszczać się wyłącznie autostopem, poza tym nie ulegało wątpliwości, iż profesor Echinger jeszcze dziś, a najpóźniej nazajutrz rano zgłosi jego zniknięcie. To zaś oznaczało, że od tej chwili będzie ścigany nakazem aresztowania, co tylko pogarszało jego sytuację. A kiedy wreszcie dotrze do Duverelle - co go tam czeka? Czy powita go brat w towarzystwie dziewczyny, czy może sam, szczęśliwy i zadowolony, lecz przerażony jego nagłym pojawieniem się? W jaki sposób, nie raniąc go, miałby wytłumaczyć mu powody, które skłoniły go do wyruszenia w tę absurdalną podróż, przez co zniweczył możliwość swego zwolnienia? Ów wewnętrzny głos szepczący o niebezpieczeństwie... Któż zdołałby to zrozumieć? Nawet on sam tego nie potrafił.

Popijając colę, zastanawiał się, w którym momencie pojawią się objawy odstawienia leków - i jak będą wyglądać. Od podania tabletek poprzedniego wieczoru nie wziął żadnych lekarstw, choć jego organizm przywykł przez te lata do przyjmowania pigułek, on sam zaś do

myśli, iż na jego samopoczucie miały wpływ medykamenty. Już teraz zauważył, że lekkie drżenie rąk wzmogło się w ciągu ostatnich godzin. Miał tylko nadzieję, że dotrze do celu, zanim przemieni się w roztrzęsiony kłębek.

Zaspokoił pierwszy głód. Postanowił wypocząć godzinę lub dwie na dworcowej ławce, a potem udać się na którąś z ulic wylotowych z miasta i próbować złapać tam jakąś okazję. Ledwie jednak usiadł, głowa opadła mu na bok i sen zmorzył go w ciągu niecałej minuty. We śnie ujrzał swego brata bliźniaka, który patrzył na niego wielkimi udręczonymi oczami. Mijały godziny.

## Czwartek, 8 czerwca 1995 roku

Tej nocy Tina nie zmrużyła oka. Nasłuchiwała lekkiego szumu wiatru w konarach drzew, oddychała płytko z powodu upału, dającego się we znaki w pokoju na poddaszu, i po raz pierwszy odważyła się powrócić do myśli, która niczym jakiś upiorny cień snuła jej się po głowie już od kilku dni: Z Ma-riem coś jest nie w porządku.

Przez cały czas usiłowała znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie jego zachowania. Forsowna jazda non stop z Hamburga aż do Prowansji - czy to było aż tak niezwykle? Niechętnie zatrzymywał się po drodze, chciał jak najszybciej dotrzeć do celu. Mogło się to wydawać nieprzyjemne i męczące, lecz nie było to zachowanie psychopaty. Okłamał ją - mówiąc łagodniej: oszukał - w kwestii położenia domu. Zgoda, ale to dlatego, że koniecznie chciał tu przyjechać i obawiał się, iż ona się nie zgodzi, dowiedziawszy się, że to nie będą jej wymarzone wakacje nad samym brzegiem morza. Tak więc postanowił nieco zmanipulować fakty. Miast na przedmieściach Nicei znaleźli się spory kawałek drogi na północ od Grasse, na obrzeżu gór, w niewielkiej wiosce, w której życie toczy się leniwie w promieniach letniego słońca. Na rynku przesiadywali tylko nieliczni starzy weterani w beretach na głowach, z nieodłącznymi gauloisami w ustach. Turyści zaglądali tu jedynie przejazdem. Na zboczach gór pasły się stada kóz i owiec, a pomiędzy białymi skałami wylegiwały się małe jaszczurki. Wszystko to bez wątplenia kryło w sobie wiele uroku, jednak Tina uważała, że powinien być jej o tym otwarcie powiedzieć. Wciąż była na niego zła, lecz nie mogła na tej podstawie wyciągać wniosku co do jego zastanawiającej konstrukcji psychicznej. Osobne sypialnie - na Boga, czyż nie powinna się cieszyć, że nie okazał się pozbawionym zahamowań napałencem? Skąd miałby wiedzieć, że ona z ochotą spałaby razem z nim w jednym łóżku? Nie chciał jej ani napastować, ani też znienacka zaskoczyć, to zaś przemawiało wyłącznie na jego korzyść.

Po wydarzeniach ostatniej nocy jej wątpliwości co prawda się wzmogły, wciąż jednak próbowała je rozproszyc wieloma racjonalnymi na pozór argumentami. Może Mario lękał się swego ojca? Może obawiał się także samego związku, jego intensywności? Może z jakiegoś powodu czuł strach przed seksualnością? Czy młody człowiek nie ma do tego prawa? O ile jednak argumenty te w innym przypadku byłyby przekonujące, Tina czuła, że co do Maria są złudne. Coś w nim tkwiło, coś dziwnego, zastanawiającego. Czy kryło się w jego oczach, w jego głosie? Było nieuchwytnie, a jednak wydawało się stale obecne.

Owej nocy, kiedy nie zmrużyła oka, nasłuchując dobiegających z dołu cichych

dźwięków muzyki oraz odgłosów niespokojnych kroków, Tina przyznała, że boi się Maria.

Dziwne, że w domu w Hamburgu niczego takiego nie zauważyła. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że jego nadmierna powściągliwość bardzo jej przeszkadza. Miała wrażenie, jakby Mario wciąż usiłował zachować między nimi jak największy dystans.

Ależ ze mnie niedoświadczona gęś! - pomyślała ze złością. Po prostu nie potrafiłam pojąć tego wszystkiego!

Dana twierdziła, że Mario nie jest całkiem normalny, to jednak tylko utwierdziło Tinę w przekonaniu, że Mario jest zupełnie normalnym chłopakiem. Wiedziała, z jakimi dziwnymi typami zadaje się Dana, dlatego fakt, iż nie akceptowała Maria, uznała za dobry znak.

Dana... Rzadko kiedy Tinie brakowało przyjaciółki tak bardzo jak tej właśnie nocy. Oddałaby majątek za to, by móc z nią teraz porozmawiać. Usłyszeć jej pełen optymizmu śmiech i spojrzeć w jej roziskrzone oczy.

- Zostaw go w cholerę - powiedziała by. - Chłopak ma parę dość dziwnych problemów, a ty nie jesteś od tego, by je za niego rozwiązywać. Poślij go w diabły i poszukaj sobie czegoś lepszego!

Tina zastanawiała się, czy po prostu nie powinna zadzwonić do Dany. Pozytywnym elementem ekscentrycznego stylu życia Dany i jej matki było to, że można było do nich telefonować o każdej porze dnia i nocy, nie narażając się przy tym na wybuch złości czy brak zrozumienia z ich strony. Prawdopodobieństwo, że dzwonek telefonu wyrwie Karen z głębokiego snu, było tak samo duże za dnia jak i w nocy, nigdy jednak się o to nie gniewała. Dana zaś tak zachłannie czerpała z życia wszystko, co frapujące i ekscytujące, że dźwięk telefonu o niestosownej porze wzmógłby w niej jedynie ciekawość i żądę przygody, w żadnym zaś razie nie wywołałby rozdrażnienia.

Tina wstała po cichu, zarzuciła płaszcz kąpielowy i poczłapała na bosaka przez pokój. W gruncie rzeczy nie miała powodu, by zachowywać się tak cicho. Mario był w pokoju dziennym i słuchał muzyki. Pewnie by jej nie zauważył, jednak nie chciała ryzykować. Gdyby teraz nagle się pojawił, mogła powiedzieć, że idzie do łazienki. Gdyby zaskoczył ją przy telefonie, sprawa byłaby trudniejsza. Jak miałyby wyjaśnić, z kim rozmawia między dwunastą a pierwszą w nocy?

Właściwie to nic nie muszę mówić, pomyślała przekornie, mogę przecież telefonować, kiedy i do kogo tylko zechcę.

Zeszła na dół po schodach. Kilka stopni zaskrzypiało; wstrzymała oddech, lecz nic się nie poruszyło. W nocnej ciszy rozbrzmiewała tylko muzyka oraz odgłos nieustannego dreptania Maria tam i z powrotem po pokoju. Bez przeszkód dotarła na pierwsze piętro.



Aparat telefoniczny, który Mario pokazał jej zaraz po przyjeździe, znajdował się w niewielkim gabinecie tuż obok łazienki. Pokój ten, jak wyjaśnił Mario, urządził sobie jego ojciec, by nawet w czasie urlopu móc spokojnie pracować. Nigdy tak naprawdę nie potrafił oderwać się od swych biurowych zajęć. Tina przypomniała sobie nagle, że Mario dorzucił jeszcze rzecz niezwykłą: „Pracoholicy pogrążają się w pracy, by uciec od samych siebie albo od jakiegoś doświadczenia. Mój ojciec unika w ten sposób konieczności poznania świata takim, jaki jest w rzeczywistości - i konieczności uporania się z nim”.

Była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać, ale teraz przyszło jej na myśl, że to dziwne. Co właściwie Mario miał na myśli, mówiąc jej o tym?

Przystanęła na chwilę na schodach prowadzących na parter i zaczęła nasłuchiwać, nic jednak się nie zmieniło. Czmychnęła szybko do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i z westchnieniem ulgi oparła się o nie plecami. Następnie spojrzała na biurko i z trudem stłumiła w sobie okrzyk zaskoczenia i przerażenia.

Telefon zniknął.

Spiesznie rozejrzała się po pokoju. Pamiętała, że aparat stał na biurku, ale Mario mógł przecież telefonować, a potem odstawić go w inne miejsce. Nie mogła go jednak znaleźć w żadnym zakamarku, żadnym kącie; nie było go ani na regale, ani na szafie - a nawet tam zaglądnęła. W końcu przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy kabel w ogóle jest wetknięty do gniazdka. Znalazła je za biurkiem. Było puste.

Ogarnęła ją panika, zawładnęła jej ciałem, skóra zaczęła ją swędzieć. Tina wpiła paznokcie prawej dłoni w kłęb lewego kciuka; ostry ból natychmiast zatamował jej narastającą histerię.

Opanuj się, rozkazała samej sobie, to nie żaden film grozy. Nikt nie próbował cię zamordować. Po prostu telefon stoi nie na swoim miejscu, i tyle, do cholery!

Może w tym domu jest gdzieś na dole drugie gniazdko, pomyślała, i Mario zniósł tam aparat. Ale czemu? Nie przyszedł jej do głowy żaden przekonujący powód, dla którego nie miałby dzwonić z tego pokoju. Poza jednym: nie chciał dopuścić do tego, by się o tym dowiedziała. Gdyby telefonował z pokoju na parterze, a nie na piętrze, ona, leżąc w łóżku, miałaby mniejsze szanse coś podsłuchać. Ale jakież to tajemnice przed nią skrywał?

Po cichu wymknęła się z gabinetu. Z dołu wciąż dobiegały dźwięki muzyki i odgłosy kroków. Za nic w świecie nie ze-szłaby teraz na dół, by go zapytać, gdzie jest telefon. Ale jeśli jutro rano nie usłyszy przekonującego wyjaśnienia, spakuje swoje rzeczy i wyjedzie. I żadne prośby Maria nie zdołają jej odwieść od tego zamiaru.

Przemykając z powrotem na poddasze, mimowolnie przystanęła pod drzwiami jego

pokoju. Choć naprawdę się bała, naraz poczuła niemal chorobliwą ciekawość, by zerknąć do środka. To mało prawdopodobne, by Mario nagle się tu pojawił. Ostrożnie nacisnęła klamkę.

Wewnątrz paliła się nocna lampka, lecz łóżko było zasłane. Czy Mario położył się w nim choćby na chwilę od dnia ich przyjazdu? Na fotelu przy oknie leżał zmięty wełniany pled, co kazało przypuszczać, że te nieliczne godziny snu spędził, przesiadując w fotelu.

Poza tym w pokoju nie było niczego niezwykłego. Tina zadawała sobie pytanie, czego właściwie oczekiwała. Czy spodziewała się znaleźć jakieś wskazówki świadczące o jego odmienności? Zauważyła, że na nocnym stoliku, oparta o lampę, stoi jakaś fotografia. Zaciekawiona podeszła bliżej. Czy to jej zdjęcie postawił przy łóżku?

Tina nie poznała osobiście Janet, podobnie zresztą Phil-lipa. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Mario nie chciał jej przedstawić swojej rodzinie, dlaczego ukrywał ich związek przed rodzicami. (Dana uznała to za nad wyraz podejrzaną). A jednak pogodziła się z tym, iż Mario nie chciał jeszcze nikogo wtajemniczać.

- Nie zamierzam wysłuchiwać ich komentarzy i odpowiadać na pytania. Pragnę mieć ciebie i naszą historię tylko dla siebie. Przynajmniej przez pewien czas powinna należeć tylko do mnie.

Uznała to za całkiem romantyczne i nie drażyła więcej tego tematu.

Mimo to domyśliła się od razu, że kobieta na fotografii to z całą pewnością matka Maria, Janet. Zdjęcie było czarno-białe. Janet musiała mieć około dwudziestu lat, była ubrana i uczesana w stylu końca lat sześćdziesiątych. Wytapirowane włosy odsłaniały całą twarz, a ich jasny blond stanowił uroczy kontrast z długimi czarnymi rzęsami, zapewne sztucznymi. Janet nosiła podwójny naszyjnik z pereł i perłowe kolczyki, miała też na sobie letnią sukienkę bez rękawów, w kratkę vichy, z dekoltem karo. Perłowa brosza w kształcie kwiatu, przypięta poniżej linii ramion, dopełniała tego eleganckiego stroju. Uśmiechała się niewyraźnie, pewnie tylko ze względu na fotografa, a jej oczy przepelniał smutek. Wrażliwe, nieco melancholijne oblicze. Niezwyczajna kobieta.

Tina ostrożnie oparła fotografię o lampę. Musiała zostać zrobiona, zanim urodził się Mario. Czemu woził ze sobą to właśnie zdjęcie, a nie jedno z nowszych? I dlaczego zajmowało tak uprzywilejowane miejsce obok jego łóżka? Tina poczuła lekką zazdrość z domieszką podejrzliwości. Ona także była przywiązana do swego ojca, ale nie trzymała przy łóżku jego fotografii.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Nie wiedziała, czy to tylko wrażenie, a jednak wydało jej się, że dobiegająca z dołu muzyka stała się głośniejsza. Nagle ogarnęła ją panika na myśl, że to Mario mógł pogłośnić po to, by niezauważenie przekraść się na górę.

Odwróciła się gwałtownie, lecz korytarz był pusty i pogrążony w mroku. Po chwili, mimo dźwięków muzyki, ponownie usłyszała odgłos kroków Maria. Nie zakradł się. Mimo to pobiegła na górę ile sił w nogach, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

Przez resztę nocy leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc odzyskać spokoju ani zasnąć. Nad ranem instykt podpowiedział jej, że musi wyjechać tak szybko, jak to tylko możliwe, bez względu na to, czy wyjaśni się sprawa zniknięcia telefonu.

Musiała uciekać.

Phillip postanowił zamknąć biuro do końca tygodnia. Wysłał dwóch swoich pracowników na płatny urlop, sam zaś zaszył się w domu. O dziesiątej rano zjawili się u niego dwóch policjantów w cywilu i zaczęło wypytywać o Maximiliana. Phillip nie był zaskoczony tym najściem; liczył się z tym od chwili, gdy poprzedniego wieczoru zadzwonił do niego profesor Echingera.

Słowa Echingera brzmiały rozpaczliwie:

- Nie potrafię tego pojąć. Niecałe osiem tygodni dzieliło go od zwolnienia! Nie wydarzyło się tu nic, co mogłoby skłonić go do ucieczki. Dawał sobie ze wszystkim radę, wydawało się, że czuje się dobrze...

To przykre dla ciebie, pomyślał Phillip, piękna porażka, czyż nie?

Poczuł niejaką satysfakcję, nigdy bowiem nie lubił Echingera. Musiał szczerze przyznać, że profesor nie był winien owej niechęci. Wiązała się ona po prostu z faktem, iż jako terapeuta Maximiliana znał wszelkie szczegóły dotyczące życia całej rodziny. Phillip czuł się mu podporządkowany, skompromitowany w jego oczach, a w pewnym stopniu nawet upokorzony. Co Echingera myślał sobie o mężu, który przez sześć lat znosił intymny związek swojej żony z innym mężczyzną? W jego oczach człowiek ten musiał być zwyczajnym durniem, nawet jeśli ze względów terapeutycznych nigdy nie użył takiego sformułowania wobec Maximiliana. Phillip nie potrafił znieść sytuacji, w której zupełnie nieznanemu mu człowiek mógł czytać w jego życiu jak w otwartej księdze.

- Okoliczności jego zniknięcia są bardzo tajemnicze - wyjaśnił Echingera. - Maximilian mógł opuszczać teren kliniki o każdej porze, po uprzednim odmeldowaniu się. Mógłby uciec podczas jednej ze swych wycieczek. Tymczasem, jak zdołaliśmy ustalić, wy dostał się pod osłoną nocy przez piwniczne okno i świetlik! Zadaję sobie pytanie dlaczego?

Phillip także nie znalazł żadnego wytłumaczenia; zastanawiał się, czemu w tej klinice w ogóle są okna i świetliki, przez które można uciec.

Echingera zawahał się przez chwilę, po czym ostrożnie i z wyraźnym zakłopotaniem dodał:

- Maximilian opowiadał mi, że jego matka nie powróciła z Anglii. Sprawiał wrażenie poruszonego tą historią. Czy nie sądzi pan, że postanowił odnaleźć pańską żonę i sprowadzić ją do domu?

Przez sekundę Phillip odczuwał morderczą złość, nieomal nienawiść do Janet za to, że postawiła go w takiej sytuacji. Echinger doskonale wiedział, co Janet porabia w Anglii, wiedział, że znów rzuciła się w ramiona swego kochanka, do łóżka tego przekłętego człowieka, który zabawiał się z nią - Phillip chętnie używał pospolitego języka, kiedy rozmyślał o Janet i Andrew - w sposób tak wyuzdany, że od czasu do czasu po prostu nie potrafiła się oprzeć swemu pożądaniu.

- Oczywiście, to niewykluczone - odparł powściągliwie Phillip - ale do tego potrzebny byłby mu paszport.

- Słusznie. Nie posiada przecież żadnych dokumentów. Trudno by mu było wyjechać na Wyspy.

Phillip milczał. Echinger wyjaśnił z zakłopotaniem, że był zmuszony powiadomić policję.

- Długo z tym zwlekałem. Ale musi pan zrozumieć, że sam jestem pod presją moich współpracowników.

- Z pewnością - odparł oschle Phillip, po czym zamilkł ponownie aż do chwili, gdy Echinger pożegnał się zachrypniętym głosem.

Po tej rozmowie Phillip był nieco roztrzęsiony, im dłużej jednak nad tym wszystkim się zastanawiał, tym większą odczuwał ulgę. Złapią Maximiliana i pewnie zatrzymają go w klinice na kilka miesięcy dłużej. Tym sposobem znikł na pewien czas palący problem jego powrotu do domu.

Od policjantów dowiedział się, co uznano za prawdopodobny powód nocnej ucieczki Maximiliana.

- Odszukaliśmy świadków, którzy potwierdzili, iż wczesnym rankiem odjechał pierwszym autobusem do Niebull - wyjaśnił jeden z funkcjonariuszy - a stamtąd pociągiem pospiesznym do Hamburga. Tam ślad się urywa. Chyba zależało mu na tym, by złapać ten poranny autobus, dlatego opuścił klinikę nocą.

- To wszystko brzmi bardzo tajemniczo - mruknął Phillip.

Obaj mężczyźni obrzucili go przenikliwym wzrokiem.

- Nie pojawił się u pana?

- Nie. Ani się nie pojawił, ani nie dał znać w żaden sposób.

- Prokuratura wydała nakaz aresztowania. Popełnia pan czyn karalny, jeśli...

- Wiem. Ale mówię prawdę.

Starszy funkcjonariusz, który prowadził rozmowę, skinął głową.

- Pańska żona przebywa obecnie w Anglii? Echinger dobrze cię poinformował, pomyślał Phillip. Powiedział na głos:

- Tak. Nie wiem natomiast, gdzie dokładnie.

- To trochę dziwne!

- Ale nie zabronione.

- Nie. Ma pan jeszcze drugiego syna. Czy to prawda, że wyjechał? Czy to możliwe, by Maximilian chciał go odwiedzić?

Phillip spodziewał się tego pytania, toteż w nocy godzinami rozmyślał nad tym, czy w tym względzie mógłby zaryzykować podanie nie do końca prawdziwych informacji. Jeśli wyjawi adres domu letniskowego, pojawi się tam policja. Wtedy ta dziewczyna, Christina, dowie się o istnieniu Maximiliana, być może również o owym zdarzeniu, z powodu którego trafił do kliniki. Pewnie opowie o tym swemu niesympatycznemu ojcu, i Bóg raczy wiedzieć, jak szerokie kręgi sprawa ta jeszcze zatoczy. Wszelkie podjęte przez Phillipa starania o to, by nikt nie dowiedział się o istnieniu Maximiliana, poszłyby wówczas na marne. Istniało co prawda niebezpieczeństwo, że Maximilian rzeczywiście zjawi się w Duverelle i napędzi jej niebywałego stracha. Wszystko by wówczas diabli wzięli. Jeśli jednak nie powie niczego policji, zachowa przynajmniej niewielką szansę na to, że Tina o niczym się nie dowie. Mogło być i tak, że Echinger wiedział o istnieniu domu i powiadomił już o tym funkcjonariuszy - aczkolwiek Phillip uważał to za mało prawdopodobne. Echingera obowiązywała tajemnica lekarska; i bez tego wyjawiał już zbyt wiele. Phillip powiedział ostrożnie:

- To byłoby trudne...

- Dokąd wyjechał pański drugi syn?

A więc nie wiedzieli. Najwyraźniej nic też nie wiedzieli na temat Tiny. A może zastawili na niego wymyślną pułapkę? Phillip postanowił zaryzykować.

- Do Francji. Chciał pojeździć po kraju, zatrzymując się tam, gdzie mu się spodoba. Dlatego powiedziałem, że to byłoby trudne...

- Tak, to jasne. - Funkcjonariusze nie nabrali żadnych podejrzeń.

Po raz pierwszy odezwał się młodszy z nich:

- Jeśli Maximilian odezwie się do pana, proszę mu poradzić, by niezwłocznie się zameldował. To może mu tylko pomóc.

- Oczywiście - obiecał Phillip. Odprowadził swych gości do drzwi; chwilę potem odetchnął z ulgą, słysząc uruchamiany silnik policyjnego samochodu. Poczul nerwowo skurcz

żołądka; nagle owładnęło nim przeczucie, że wszystko to skończy się tragicznie.

Znów zawrzała w nim złość na Janet, równie gwałtowna jak poprzedniego wieczoru. Naraz pomyślał: To także jej sprawa, do cholery! Ona się ulatnia, a cały ten bajzel zostaje na mojej głowie!

Jeśli zadzwoni do niej i powie, że Maximilian uciekł z kliniki, Janet straci głowę. Już nic nie zdoła zatrzymać jej w Anglii, nawet Andrew Davies i jego łożkowe łamańce.

Uskrzydłony radością, iż może znienawidzonemu rywalowi pokrzyżować plany, Phillip podszedł do telefonu. W tej chwili czuł w sobie dość siły, by zdzierzyć głos Daviesa.

Wybrał numer i czekał. Kiedy mimo dwukrotnej próby nikt się nie zgłosił, Phillip zrozumiał, że oboje wyjechali. To nic niezwykłego, jest przedpołudnie.

Mimo to Phillip popadł nagle w irytację i poczuł przytłaczający niepokój.

Przed nastaniem świtu Mario udał się w końcu do swojego pokoju. Kiedy o dziewiątej rano Tina zeszła na parter, pokój dzienny był pusty. Na odtwarzaczu wciąż paliła się czerwona dioda stand-by. Tina wyjęła płytę, była to „Walkiria” Wagnera.

Na stoliku koło sofy stała pusta butelka po wodzie mineralnej, tuż obok leżało zdjęcie z polaroidu, fotografią do dołu. Tina podniosła je i odwróciła. Zaskoczona stwierdziła, że jest to jej fotografia, którą Mario zrobił w marcu podczas spaceru wałami Łaby. Pamiętała dokładnie: był to jeden z niewielu wiosennie ciepłych dni tego całkiem zimnego miesiąca, pełnego deszczu i burz. Zdołała wówczas namówić Maria na wycieczkę za miasto. Nie miał jeszcze wtedy własnego samochodu, toteż pożyczył go od ojca, tłumacząc, że wybiera się na przejażdżkę z kolegami - i przy całej swej wyrozumiałości Tina poczuła ukłucie w sercu, bowiem znowu nie przyznał się do niej przed ojcem. Na tylnym siedzeniu samochodu znaleźli aparat. Zużyli cały film, robiąc sobie nawzajem bzdurne zdjęcia; pokazywali na nich język albo wywracali oczami. Zdjęcie leżące na stoliku było jedynym, na którym Tina nie zrobiła żadnej miny. Wsunąwszy ręce w kieszenie ciemnoczerwonej kurtki, stała pośrodku łąki, na tle wciąż jeszcze zimowego krajobrazu. Kretowiska upstrzyły niską brązową trawę, nagie gałęzie jakiegoś drzewa sterczały w niebo, którego błękit zasnuwały delikatne welony chmur. Wesołości całej scenie dodawały jedynie rozwiany jasnoniebieski szal, owinięty wokół jej szyi, i uśmiech na jej twarzy. Emanowała szczęściem, swobodą i radością życia. Pamiętała, że tamtego dnia czuła się bardzo zakochana. W drodze powrotnej do miasta - teraz to sobie przypomniała - po raz pierwszy wspomniała o tym, jak miło by było razem wyjechać. Dokądkolwiek, gdzie jest ciepło i wesoło. Paplała, snuła plany i nawet nie zauważyła, jak mało jej słowa zaciekały Maria. Dopiero teraz, patrząc z perspektywy, uświadomiła sobie, jaki był wówczas milczący i przerażony.

Wiedziała już, że jej miłość do Maria zgaśnie, że właściwie nadszedł już czas pożegnania. Uczucie to tchnęło w jej życie burzliwą, wyzwalającą siłę, po raz pierwszy poczuła się na tyle mocna, by przeciwstawić się ojcu i nie liczyć się z jego oczekiwaniami. Być może miało jej posłużyć wyłącznie do tego celu.

Tina zauważyła, że aparatu telefonicznego nie było również w pokoju dziennym, odkrycie to jednak nie wywołało u niej aż tak wielkiej paniki ani wzburzenia jak poprzedniej nocy. Za dnia wszystko wyglądało inaczej. Pokój był przytulny, ze ścianami pobielonymi z grubsza terakotową posadzką. Rozłożono na niej ręcznie tkany dywan z owczej wełny, zaś nad sofą zawieszono akwarele o intensywnych barwach. Mario opowiadał, że obrazy te namalowała jego matka. Przedstawiały okoliczne motywy: opuszczone wioski w górach, pasące się kozy, samotną chatę z kamienia gdzieś w Wielkim Kanionie Verdón, barwny tłum na wiejskim targu.

Za oknem rozkwitał pachnący ogród, zwilżony ostatnimi kroplami rosy. Znowu zaczynał się upalny dzień, nieba nie przesłaniała ani jedna chmura, nawet wiatr ucichł wśród cyprysów. Trudno było sobie wyobrazić, iż mistral, ów napływający z Syberii wiatr, potrafi wyrwać tu drzewa z korzeniami i powodować ulewne deszcze. Mroczne myśli zrodzone w ciemności utraciły swą grozę w promieniach pogodnego światła. Tina przestała postrzegać Maria jako niebezpiecznego psychopatę. Nie ulegało wątpliwości, iż dzieje się z nim coś dziwnego - na tyle poważnego, że nocami, zamiast spać, błakał się niespokojnie. Nie musiało to przecież znaczyć, że jest niebezpieczny. Dręczyły go myśli, przypuszczalnie pełne rozczarowania. Instynkt podpowiadał Tinie, że to ona jest źródłem owego zawodu. Nie poczuwała się w jakiegokolwiek mierze do winy; prawdopodobnie Mario zobaczył w niej jednak coś, co okazało się ułudą. (Tyś jest obrazem, który w sobie noszę?). Najgorsze było to, że nie potrafił o tym rozmawiać, albo nie był jeszcze na to gotów.

Poszła do kuchni, nastawiła wodę w ekspresie i łyżką nasypała kawy do filtra. Poczwała, że jest teraz spokojna, rozsądna. Wyjaśni mu, że nie pasują do siebie, że lepiej będzie rozstać się zawczasu. Mogą pozostać przyjaciółmi i czasem się widywać.

Kiedy Mario pojawił się wreszcie na dole, dochodziła dwunasta. Tina zdążyła już popracować w ogrodzie; wyrwała chwasty i wycięła uschłe kwiaty. Teraz zaś schroniła się przed nieznośnym upałem w cieniu werandy na tyłach domu. Siedziała tam na leżaku i przeglądała jakiś francuski magazyn o modzie. Przeraziła się, ujrawszy Maria obok.

- W ogóle nie słyszałam, jak przyszedłeś - zawołała.

- Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem - odparł Mario. Wyglądał bardzo blado, miał głębokie cienie pod oczyma. Znużonym ruchem przeciągnął dłońią po twarzy. - Zasnęłam.

- Nic dziwnego. Pół nocy byłeś na nogach.

Nawet jeśli poczuł się zaskoczony jej słowami, nie dał tego po sobie poznać. Skinął tylko głową.

- Byłem zbyt zdenerwowany. Nie mogłem się położyć.

Usiadł na jednym z krzeseł ogrodowych. Na jego białym T-shircie rzucał się w oczy czarny spłowiały napis „Born to die”. Na lewej nogawce dżinsów, poniżej kolana, widniało rozdarcie, przez które widać było mocno opaloną skórę. Mario wyglądał bardzo nonszalancko, bardzo młodzieńczo - a zarazem wyjątkowo krucho, wydawał się bowiem bardzo zmęczony. Tina zaś po raz pierwszy na własnej skórze przekonała się, jak błyskawicznie mogą zmieniać się nastroje i uczucia wobec drugiej osoby. Jej rozsądek diabli wzięli. To znów był jej Mario, ten przystojny ciemnowłosy chłopak o łagodnych, pełnych melancholii oczach. Pękłoby jej serce, gdyby go opuściła. Odłożyła czasopismo, wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła jego ramienia.

- Mario - powiedziała cicho - co się dzieje? Spojrzał na nią. W jego oczach zdawała się kryć rozpaczliwa prośba o zrozumienie.

- Tina, ja... - Sprawiał wrażenie człowieka nieszczęśliwego, gotowego wyrzucić z siebie wszystko, co go gnębiło, wszystko... A jednak w ostatniej chwili powstrzymał się. Coś zgasło w jego oczach. Tina zrozumiała, że cokolwiek jej teraz powie, będzie to tylko część prawdy.

- Przez lata brałem tabletki - wyznał. Odwrócił wzrok od Tyny i skierował go na rosnący w ogrodzie oleander. Dziwnym trafem jego słowa zabrzmiały sztucznie. Tina wszakże domyśliła się, że nie przywykł do wynurzeń.

- Tabletki? - spytała. Poblądł jeszcze bardziej.

- Środki uspokajające, pobudzające... to zależy, zazwyczaj na zmianę. Zaczęło się podczas matury. Omal nie zwariowałem ze strachu przed egzaminem. Uczyłem się jak opętany. Brałem mnóstwo dopalaczy, żeby nie zasnąć, a kiedy czasem chciałem się zdrzemnąć, łykałem tabletki nasenne. Na egzaminy: środki uspokajające. I... no cóż... - Bezradnie machnął ręką.

Tina zapytała ostrożnie:

- A po maturze?

- Wciąż zdarzały się sytuacje, w których myślałem, że czegoś potrzebuję. Podczas służby zastępczej, a także później, już po rozpoczęciu studiów. Klauzury, referaty... Najgorsze jest to, że z czasem środki te osłabiają cię coraz bardziej. W końcu potrzebujesz ich w sytuacjach, o których nigdy byś nie pomyślała, że mogą sprawić ci kłopot... - Przełknął ślinę,



spojrzał na swoje dłonie, które splótł na kolanach. - Czasem musiałem brać środki na uspokojenie tylko po to, by móc wejść do sklepu - podjął. - Rozumiesz? Będąc między ludźmi, dostawałem napadów lęku...

Tina podniosła się z leżaka, przykucnęła obok Maria i wzięła go za rękę. Była bardzo poruszona.

- Mario, dlaczego nigdy mi o tym nie opowiadałeś? To znaczy, przecież się kochamy. Powinniśmy rozmawiać o swoich problemach.

- Nie chciałem cię tym obciążać. Jesteś jeszcze taka młoda. - Spojrzał na nią z czułością.

Tina zmarszczyła czoło.

- Nie jestem aż tak młoda, aby nie można było ze mną rozmawiać!

- Oczywiście. Zachowałem się głupio. - Odetchnął głęboko. - Postanowiłem, że w czasie naszego wyjazdu pozbędę się tego diabelstwa. Rzuciłem to z dnia na dzień. Ale nie czuję się dobrze. Nie mogę spać. Jestem strasznie niespokojny... i czasem dopada mnie lęk...

Powinno ją to dotknąć, może nawet przerazić. Jednak Tina uświadomiła sobie ze wstydem, że jest zupełnie inaczej. Doznała głębokiej ulgi, poczuła się uwolniona od ciężaru pogmatwanych, niepokojących myśli. Naraz wszystkie elementy złożyły się w jeden klarowny obraz. Nieobliczalność Maria, jego nocne spacery po pokoju, jego dziwna reakcja owej nocy, kiedy przyszła doń do pokoju dziennego. Zrozumiała nawet i to, że spali w oddzielnych sypialniach. Usiłował ukryć przed nią swój rzeczywisty stan. To wyjaśniało również jego szaleńczą jazdę non stop z Hamburga. U siebie w domu czuł się nieco pewniej, podobnie tutaj, w tym letnim domu, który znał od wczesnego dzieciństwa. Gdzie indziej prześladowały go fobie. Tina mogła sobie wyobrazić, iż przebywanie w obcym mieście czy nocleg w hotelu przysparzały takiemu człowiekowi nie lada problemów. Spojrzała na niego.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałeś. Razem jakoś sobie poradzimy, Mario.

Poczuła przypływ energii, radości, siły. On potrzebował jej pomocy, ona zaś była gotowa uczynić to dla niego. Już nigdy więcej nie będzie ową małą dziewczynką, którą ojciec strzegł przed bezwzględną rzeczywistością. Kiedy powróci do domu, będzie już kimś innym.

Podniosła się, mówiąc:

- Musisz coś zjeść. Zobaczę, co mamy w kuchni.

Uniósł ku niej twarz, mokrą od potu. Czy to ten nieznośny upał tak bardzo dawał mu się we znaki, czy może wzburzyła go ta rozmowa?

- Dziękuję - odparł cicho.

Tina weszła do kuchni. Przystanąła w drzwiach i odwróciła się ku niemu.

- Mario, byłabym zapomniała: gdzie właściwie podział się telefon?

Michael zastanawiał się, czy nie naraziłby się na śmieszność, gdyby nagle pojawił się w Duverelle. Jeśli wszystko jest w najlepszym porządku, Tina zareagowałaby z wyraźną irytacją i pewnie nie wybaczyłaby mu tego przez długi czas. A przecież wszystko oczywiście było w najlepszym porządku. Tylko dlaczego, do diaska, nie podchodzi do telefonu?

Poprzedniego dnia przytaszczył do domu cały stos akt, mając zamiar wreszcie się z nimi uporać w zaciszu swego gabinetu. W rzeczywistości jednak ledwie się nimi zajął, bo zamiast skupić się na dokumentach, przez cały ranek usiłował skontaktować się z córką. Wybierał numer co pięć minut, myśląc, że nieustanne brzęczenie telefonu zdenerwuje ich na tyle, że w końcu podniosą słuchawkę - nawet jeśli postanowili zerwać wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Potem przyszło mu na myśl, iż być może ma zły numer, więc chcąc to sprawdzić, spróbował dodzwonić się do Phillipa Beerbauma. Jednak on także nie odbierał. W międzynarodowej informacji telefonicznej dowiedział się, że numer jest poprawny. Wiadomość ta zbiła go zupełnie z pantałyku, bowiem nie było już żadnego wyjaśnienia, dlaczego telefon w Prowansji milczy.

W tej właśnie chwili zaczęła dojrzewać w nim decyzja, by ruszyć ich śladem.

Kiedy rozważał w myślach taką możliwość oraz wszelkie ewentualne jej konsekwencje, zadzwonił telefon. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tak? - spytał pełen napięcia. Odpowiedział mu ochryply kobiecy śmiech.

- Założę się, że czeka pan na telefon od córki! Niestety, to tylko ja. Karen Graph.

Nieznosna matka Dany! Zaskoczony Michael poczuł złość. Wobec takiej kobiety nie powinien mieć żadnych skrupułów. Może i przesadza z tą swoją troskliwością o Tinę, lecz Karen nic do tego.

- Dzień dobry - odparł oficjalnie.

- Czy ma pan jakieś wieści od Tiny?

Michael rzecz jasna od razu zwietrzył prowokację.

- Czemu to panią interesuje? - zapytał nieufnie. Karen znów się roześmiała.

- Po prostu jestem ciekawa. Wie pan, obawiam się, że w międzyczasie razem z Daną zaraziliście mnie swymi uprzedzeniami wobec biednego Maria.

- Nie mam żadnych wieści - odparł znużonym głosem Michael. A jako że nie dbał o to, czy skompromituje się jeszcze bardziej, dodał: - Dzwonię tam co pięć minut. Ale nikt nie odbiera.

- Dana wyruszyła wczoraj w drogę. Chce koniecznie zabawić się w niańkę Tiny.

- Autostopem? To znaczy, że...

- Jasne. Nie mamy pieniędzy na nic innego.

- Nic już nie powiem na ten temat. Uważam to za wielce lekkomyślne, ale przecież dobrze pani o tym wie.

Karen nie podjęła tego tematu.

- Pomyślałam sobie, że oboje moglibyśmy na własną rękę spróbować dowiedzieć się kilku rzeczy o tym Mariu!

O Boże, westchnął w myślach Michael, ona chce się bawić w detektywa!

- Od Dany wiem, że jego rodzina przeprowadziła się przed sześciu laty z Monachium do Hamburga - ciągnęła Karen. - To dziwne, prawda?

Michael odparł, że nie widzi w tym nic niezwykłego.

- Prowadzą kancelarię doradztwa podatkowego - poinformowała Karen - a zatem w Monachium pewnie też taką posiadali. Czemu mieliby z niej zrezygnować i ryzykować zaczynanie wszystkiego od początku, i to na drugim końcu Niemiec?

- Może istnieje po temu tysiące powodów. Być może kancelaria w Monachium niezbyt...

- Obecna cieszy się więciem. Dlaczego przedtem nie miałyby być podobnie? Ten Phillip Beerbaum wygląda na zdolnego człowieka.

- Może chodziło o zmianę klimatu. Ktoś z rodziny źle znosił bawarskie powietrze...

- Z łatwością można by się tego dowiedzieć - oznajmiła Karen.

Michael poczuł głęboką niechęć. Węszenie w prywatnym życiu innych ludzi wydało mu się odrażającym zajęciem. Poza tym uznał to za całkiem niedorzeczne. Zarazem jednak dręczył go niepokój, odczuwał niemal obezwładniający strach na myśl, że jego dziecku mogło przydarzyć się coś złego.

- Moglibyśmy polecieć do Monachium i spróbować się czegoś dowiedzieć - zaproponowała Karen. - Mieszka tam mój bardzo dobry przyjaciel, który ma znajomości.

- Nie mogłaby pani do niego zadzwonić?

- Zawsze to lepiej, kiedy jest się na miejscu. Może jeszcze dziś po południu udałoby się nam złapać jakiś samolot.

- Sam nie wiem - odparł zaskoczony Michael. Najwyraźniej Karen wszystko to sobie dokładnie zaplanowała. I jak się okazało, pilnie go potrzebowała, by ów plan zrealizować. W końcu dała mu do zrozumienia, że nie może sobie pozwolić na opłacenie przelotu ani hotelu.

- Jeśli mi pan pomógł... Wszystko panu z czasem zwrócę - zapewniła.

Michael nie miał co do tego złudzeń - nigdy by nie odzyskał ani jednej marki, ale problem leżał gdzie indziej. Jej propozycja zwyczajnie mu nie odpowiadała. Napawała go

wstrętem. Miała zupełnie inny podejście do życia, którego nie tolerował.

Po raz pierwszy w życiu ogarnął go jednak tak wielki strach, iż wyzbył się wszelkich swych zasad i postanowił zrobić coś, czego w innych okolicznościach nie uczyniłby za żadną cenę.

Umówił się z wielce podejrzaną Karen Graph na wspólny lot do Monachium.

Potem zatelefonował do biura i przeprosił za swą nieobecność przez resztę dnia oraz w dniu następnym, tłumacząc się problemami rodzinnymi.

To przynajmniej, powiedział sobie na pocieszenie, nie było kłamstwem.

Cambridge przez te wszystkie lata nic a nic się nie zmieniło, i pewnie już nigdy się nie zmieni, pomyślała Janet. Ponad okazałymi budynkami college'ow i wypielegnowanymi trawnikami rozległych parków unosiło się tchnienie elitarniej społeczności, przywiązanej do tradycji i wiernej dawnym wartościom i wspaniałej historii. Wielu studentów nosiło czarne togi; spiesząc po wybrukowanych uliczkach, wyglądali jak urokliwe relikty zamierzchłej epoki. To zamknięty świat, a Janet, która przez tak długi czas była w nim zadomowiona, poczuła wzruszenie i podziw dla niezmienności rzeczy.

Pod wieczór usiedli w pubie, który dawniej często odwiedzali, i pograżyli się bez reszty w nostalgicznym nastroju. Potęgował go mrok ścielący się za oknem, świece płonące na stołach i fakt, że wewnątrz pachniało zupełnie tak samo jak dawniej. Za to światło dnia niweczyło swym ostrym blaskiem każdą próbę zawoalowania i upiększenia przeszłości. Kiedy po południu spacerowali po parku przy St. John's College, robili sobie nawzajem zdjęcia przed Bridge of Sighs i przyglądali się studentom pływającym w łodziach po rzece Cam, Janet z goryczą patrzyła w przeszłość i uznała, że przyjazd tu nie był jednak dobrym pomysłem.

Jej młodość w Cambridge nie obfitowała w piękne chwile, w przeciwnym razie nie uciekłyby stąd za granicę w wieku osiemnastu lat. Przez dwa lata, które wydawały się jej wiecznością, przeżywała nieustanną huśtawkę uczuć; wspaniałe chwile, romantyczne i niezapomniane, jakimi obdarza pierwsza miłość, przeplatały się z okresami bólu i udręki, kiedy Janet raz za razem odkrywała, że nie jest jedyną kobietą w życiu Andrew. Od pewnego momentu nawet dobre chwile nie dawały już zadowolenia, bowiem jej zaufanie zostało zachwiane i nie potrafiła odzyskać poczucia pewności. Wiele razy próbowała zakończyć ten związek, jednak za każdym razem zarzucała tę myśl, kiedy tylko Andrew brał ją w ramiona, uśmiechał się i obiecywał ostateczną poprawę. Któregoś dnia uświadomiła sobie, że to miasto, ten kraj jest dla nich dwojga za mały. Mała Janet Hamilton, zbyt nieśmiała i zbyt ostrożna, by odważyć się choćby na samotny wypad do Londynu, z dnia na dzień porzuciła

swoją ojczyznę oraz rodzinę i przeniosła się do kraju, którego języka nie rozumiała i gdzie nie znała ani jednego człowieka. Kiedy wracała pamięcią do dręczącej samotności pierwszych miesięcy, zastanawiała się, jak w ogóle dała radę to przetrwać. Zapewne tylko dlatego, że nie miała wyboru.

Dziś, ćwierć wieku później, po dawnym bólu pozostało jedynie wspomnienie. Jednakże blizny zaczynały pulsować i płonąć, kiedy Janet przechadzała się po znajomych ścieżkach, mając u swego boku posiwiąłego mężczyznę, który wypełnił jej życie blaskiem i ciepłem, ale również chłodem i rozpaczą.

Tyle cierpienia, pomyślała Janet, tak dojmująca samotność, tak wiele winy... po to, by znów się odnaleźć i tu, w Cambridge, spacerować po parku w słoneczny letni dzień, jakby od czasów młodości nie upłynęła nawet godzina.

Zerknęła z ukosa na Andrew. Był pogrążony w myślach - w mrocznych myślach, jak się zdawało, bowiem na jego czole pojawiła się bruzda, a wyraz twarzy zdradzał napięcie i niezadowolenie. Z pewnością zajmowała go sprawa Corveya.

Dotknęła jego ramienia.

- Przyjechaliśmy tu, żebyś o nim nie myślał! Wzdrygnął się, jakby rzeczywiście powrócił z daleka.

- Przepraszam - odezwał się. Potem spojrzał na nią i powiedział: - To ty powróciłaś właśnie do przeszłości, prawda?

Jak zawsze, poczuła się zaskoczona wrażliwością, z jaką odgadywał myśli i uczucia innych osób.

- Owszem - odparła. - Do odległej przeszłości. Nagle w jego oczach zamigotał wyraz skruchy; ścisnął dłoń Janet i powiedział:

- Okropnie cię wtedy potraktowałem. Byłem bezmyślny i okrutny. To cud, że w ogóle jeszcze się ze mną zadajesz.

- Byłeś młody. A kobiety lgnęły do ciebie. Potrząsnął głową.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie. W najlepszym razie jakieś wyjaśnienie.

Wzruszyła ramionami.

- Nieważne. To było tak dawno temu.

- Ale wciąż boli, prawda?

- Tak. Jakoś muszę się z tym uporać. Ja... - odetchnęła głęboko - nie chcę, żeby to mną zawładnęło, zatriowało mnie, tak jak zatriowało pewnie twoją byłą żonę. Nie chcę, żeby miało wpływ na to, co nas teraz łączy. Ach, nie mówmy już o tym więcej!

Popatrzyła na cienistą dróżkę ciągnącą się przed nimi przez park.

- Jak tu ładnie. Jeśli znajdziemy kiedyś trochę czasu, powinniśmy pojechać aż do Norfolku, nad morze. Może to nawet lepszy pomysł niż wycieczka do Cambridge.

Ona nie potrafi tego „odfajkować”, pomyślał Andrew, nieważne, jak bardzo się stara, tak naprawdę nigdy nie będzie w stanie tego przeboleć.

Usłuchał jednak jej prośby, by nie wracać do tego tematu.

- Jeśli rzeczywiście zostaniesz w Anglii, czy nie będziesz się tu czuła nieco dziwnie, po tylu latach spędzonych w Niemczech?

- Tak naprawdę nigdy nie zadomowiłam się w Niemczech na dobre. Po prostu tego nie dostrzegłam: wyszłam za mąż, musiałam wychować dzieci, razem z Phillipem otworzyliśmy kancelarię... Nie miałam czasu na tęsknotę i frustracje. Lecz odkąd tu jestem, od mojego pierwszego wieczoru w prastarym pubie gdzieś w Kent, uświadomiłam sobie, że tu jest mój dom. Powietrze, ludzie, język, to wszystko jest moje. Nie mogę zrozumieć, jak zdołałam wytrzymać tak daleko stąd. - Przystanęła, a w jej oczach pojawił się ów blask, który Andrew znał z dawnych czasów, a którego mu brakowało od dnia powrotu Janet. - Znow jestem w domu. Już nigdy nie będę się czuła obco, jak tułacz, cokolwiek się wydarzy. - Ruszyła dalej. - W każdym razie zamierzam poszukać sobie pracy. Pomyślałam, Andrew, że mogłabym ubiegać się o posadę w jakiejś szkole językowej, jako nauczycielka na kursach niemieckiego. I francuskiego, w tym też jestem dobra. Niezła praca jak na początek, nie sądzisz?

Znow zatrzymała się i spojrzała na Andrew z nadzieją w oczach.

Odwrócił się do niej.

- Czy wyszłabyś za mnie? - zapytał.

- Co takiego?

- Kiedy weźmiesz rozwód... powiedziałaś przecież, że chcesz się rozwieść z mężem... czy wyszłabyś wtedy za mnie?

Zbliżyła się do nich grupa hałaśliwych, rozbrykanych młodych ludzi; zeszli na bok, aby ich przepuścić. To samo pytanie mogło paść w tym samym miejscu w podobny, słoneczny letni dzień dwadzieścia pięć lat wcześniej. Czy spóźnienie o ćwierć wieku miało jakieś znaczenie? Jeśli nawet, Janet odsunęła od siebie myśl o konsekwencjach, jakie mogły wynikać z faktu, iż do tego miejsca oboje dotarli zupełnie odmiennymi drogami.

- Myślę - powiedziała nieco szorstkim, sztucznie rzeczowym głosem - myślę, że mogłabym to zrobić.

Zupełnie jak gdyby ktoś rzucił czary. Wszystko tak dobrze się zaczęło, wszystko układało się po jej myśli. Podróż za jednym zamachem z Hamburga aż do Fryburga, i to w towarzystwie miłej, młodej kobiety, nie mogła być przyjemniejsza. Potem jednak nie szło już

tak gładko; wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko Danie.

Poprzedniego wieczoru na parkingu przy autostradzie, gdzie wysadziła ją Patricia, szybko znalazła kierowcę ciężarówki, który podróżował do Marsylii i gotów był ją zabrać. Najpierw jednak chciał coś zjeść, więc zanim ruszyli w drogę, zdążyło się już ściemnić. W nocy, jakieś piętnaście kilometrów za francuską granicą, usłyszeli dziwny odgłos, który okazał się dźwiękiem przebitej opony. Dana musiała asystować kierowcy przy zmianie koła, ciągle besztana, bo wszystko robiła rzekomo na opak i do niczego się nie nadawała. Trwało to w nieskończoność, a humor kierowcy pogarszał się z minuty na minutę, i w końcu Dana nie miała już dłużej ochoty wysłuchiwać obelg. Powiedziała dość; i nagle wywiązała się gwałtowna sprzeczka zakończona tym, że rozwścieczony kierowca wsiadł do kabiny i z przekleństwem na ustach odjechał, zostawiając Danę samą na środku drogi, z umorusanymi smarem dłońmi i wielką czarną plamą na nosie.

Była to wyjątkowo opustoszała droga lokalna. W ciągu następnych trzech godzin przejechało nią dosłownie pięć samochodów, z których zatrzymał się tylko jeden. Niestety, kierowca był pijany w sztok i potrafił wydusić z siebie tylko parę bełkotliwych dźwięków, więc Dana uznała, że mimo wszystko nie warto podejmować aż takiego ryzyka. Wlokła się na piechotę przez mrok nocy, rozmyślając o noclegu na sofie, jaki proponowała jej Patricia, i klęła w duchu, zła na samą siebie. Przynajmniej było ciepło i nie padało, czuła jednak narastające zmęczenie. W którymś momencie przykucnęła na trawie, i, oparta o pień klonu, zdrzemnęła się na kilka godzin. Nad ranem zbudził ją przenikliwy świergot ptaków oraz nieprzyjemna wilgoć, jaką przesiąknęło jej ubranie.

Na zeszywniałych nogach powlokła się dalej wzdłuż drogi. Okolica ożywała z każdą chwilą, samochody podążały jednak głównie w przeciwnym kierunku. W końcu zatrzymał się jakiś posiwiaty mężczyzna i zabrał ją do najbliższej wioski. Była to mała osada gdzieś w Burgundii - kilka domów, kilka zagród. Mieścił się tam również niewielki zajazd; u niewyspanej, mrukliwej kelnerki Dana zamówiła śniadanie składające się z letniej kawy z mlekiem i dwóch twardych croissantów. Kiedy zapaliła papierosa, na dworze zaczęło padać. W strugach deszczu wioska sprawiała wrażenie jeszcze bardziej niegościnnej i wymarłej. Nigdzie nie było widać żywej duszy, jedynie czarny kot powoli przeszedł przez drogę, i to z lewej strony na prawą.

Dana zapłaciła i wyszła na dwór. Deszcz nadal siąpił, lecz wciąż było dość ciepło. Licząc na łut szczęścia, Dana ruszyła ulicą, która po niedługim czasie wyprowadziła ją z wioski. Czasem mijał ją jakiś samochód. Kiedy wreszcie jeden z nich zatrzymał się, Dana była przemoczona do suchej nitki. Ogarnęło ją przygnębienie. Minęła dłuższa chwila, zanim

spostrzegła, że z mężczyzną w samochodzie coś jest nie tak.

Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic niezwykłego, co mogłoby wzbudzić podejrzania. Jeśli w ogóle coś zwracało uwagę, to jego zupełna niepozorność. Miał trzydzieści parę, najwyżej czterdzieści lat, pociągłą, lekko opaloną twarz, nieco zbyt wydatne usta oraz rzymski profil. Jego przerzedzone płowe włosy, o kilka milimetrów za długie, zaczesane były do tyłu i opadały na kark. Oczy przesłonięte grubymi szklami okularów sprawiały wrażenie powiększonych ponad miarę - ta wyraźna wada wzroku stanowiła jedyny szczegół, jaki mógł utkwić w pamięci obserwatora. Miał na sobie dzinsy i granatowy golf, prowadził brudnobiałego, starego peugeota z francuskimi numerami rejestracyjnymi.

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się słowem; jedynie na samym początku, gdy zatrzymał samochód, zapytał po niemiecku, niemal bez śladu obcego akcentu:

- Dokąd panią podwieźć?

Kiedy Dana wyjawiała mu cel swej podróży, roześmiał się:

- Tak daleko to ja nie jadę. Ale mogę panią podrzucić kawałek.

Raptem odwrócił głowę w jej stronę i obrzucił ją wzrokiem.

- Okropna pogoda, nie?

Lało jak z cebra, wycieraczki pracowały z najwyższą prędkością. Droga wiała się pomiędzy winnicami, winorośle ugiwały się pod naporem deszczu.

- Tak - odparła Dana. - Rzeczywiście okropna. A rano zapowiadał się pogodny dzień.

- Często zmienia się szybciej, niż się wydaje - powiedział mężczyzna. Jego wzrok powędrował ku odkrytym kolanom Dany i już się od nich nie odkleił. - Zupełnie pani przemokła!

Dana odruchowo chciała naciągnąć brzeg spódnicy, lecz powstrzymała się.

- No tak, na szczęście pan się zatrzymał - odpowiedziała, nieco zaniepokojona.

- Tak. Co za szczęście. - Zerknął na drogę, lecz po chwili ponownie spojrzął na swą pasażerkę, wpijając się wzrokiem w jej piersi. Dana uprzytomniła sobie, że jej mokry T-shirt musi działać bardziej podniecająco, niż gdyby była całkiem naga. Musiała zapanować nad sobą, by nie skrzyżować ramion na piersiach. Zaczęła czuć się nieswojo.

- Mówi pan bardzo dobrze po niemiecku - zagadnęła - chociaż jest pan przecież Francuzem, prawda?

- Jestem sierotą. Dorastałem w różnych rodzinach zastępczych i jedna z nich mieszkała w Strasburgu. Rodowici Niemcy.

- Ja pochodzę z Hamburga.

- No to wybrała się pani w daleką podróż. - Zerknął na drogę, po czym znów odwrócił



się do Dany. - Co na to pani rodzice?

- Niby na co?

- Że podróżuje pani autostopem. To niezupełnie bezpieczne.

- Potrafię o siebie zadbać - odparła Dana, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie i przekonująco.

Obrzucił ją długim dziwnym spojrzeniem.

- Tak? - spytał, po czym na dobre skupił swą uwagę na drodze.

To nic, pomyślała Dana ze spokojem, trochę dziwnie się gapi, ale to przez te jego okulary.

Podczas podróży autostopem nieraz spotykała mężczyzn, którzy zachowywali się wobec niej dwuznacznie, poruszali w trakcie rozmów kłopotliwe tematy albo zupełnie otwarcie wyrażali swe upodobania. A jednak nigdy nie czuła się zagrożona. Zawsze panowała nad sytuacją, a kiedy mężczyzna spodobał jej się, zaczynała nawet flirtować albo udawała naiwną tak długo, aż rozmówca dawał za wygraną i przestawał prowokować. Nigdy też ani przez chwilę nie czuła się nieswojo w obcym samochodzie. Dopiero teraz, po raz pierwszy, ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. Wmawiała sobie, że to efekt czarnowidztwa Michaela. A także wina deszczu i zmęczenia.

Po kwadransie mężczyzna nagle przerwał milczenie.

- Jesteś naprawdę ładną dziewczyną.

Dana, która drzemała, oparłszy głowę o szybę, zerwała się przerażona.

- Co takiego?

- Naprawdę ładna z ciebie dziewczyna - powtórzył. - Pewnie wiesz o tym dobrze.

- Ach, wyglądam dziś okropnie - odpowiedziała Dana z nikłą nadzieją, że zdoła narzucić swój punkt widzenia. - Mam nierozczesane włosy, rozmazaną szminkę i mokre pogniecione ciuchy!

Nie odrywając wzroku od drogi, sięgnął prawą ręką na tylne siedzenie, gdzie leżało kilka plastikowych toreb. Z jednej z nich wyciągnął grzebień i gwałtownym ruchem rzucił go Danie na kolana.

- Masz. To dla ciebie - powiedział.

Był to grzebień z jasnobrązowego plastiku; co drugi ząb był wyłamany. Między pozostałymi widniało parę włosów. On chyba nie mówi poważnie, pomyślała Dana.

- Wie pan, ja... - zaczęła, lecz mężczyzna przerwał jej grubiańsko.

- Uczesz się! Nie lubię się pokazywać z niechlujnymi kobietami. Wyglądasz na zupełnie zaniedbaną!

Dana zrzuciła grzebień na podłogę.

- Proszę się zatrzymać. Chcę wysiąść - powiedziała chłodno.

Mężczyzna nieco przyspieszył.

- Myślisz, że pozwolę ci włączyć się w takim stroju? Wyglądasz jak jakaś fleja - odparł pogardliwie. - Chcę, żebyś natychmiast porządnie uczesała włosy!

- A ja chcę, żeby się pan natychmiast zatrzymał! Wypowiadając to zdanie, Dana próbowała jednocześnie ocenić sytuację. Samochód jechał zbyt szybko, by mogła po prostu wyskoczyć. Poza tym okolica była przerażająco odludna. Już od dłuższego czasu nie wyminął ich żaden samochód. Wokół tylko drzewa, których wierzchołki niknęły w nisko zawieszonych chmurach, ciągnące się jak okiem sięgnąć winnice, zacinający deszcz. Nigdzie żadnej zagrody czy choćby chaty, w której można by spotkać człowieka. Cholera, pomyślała Dana.

Sytuacja niespodziewanie uległa pogorszeniu. Dana od początku wietrzyła nieszczęście, jej obawy wszakże opierały się wyłącznie na kilku natrętnych spojrzeniach kierowcy. A on potem w jednej chwili odrzucił wszelkie pozory normalności. Nagle stał się agresywny, zły, przemienił się w nieobliczalnego, być może nawet chorego umysłowo wroga.

- Wydałem ci polecenie, o ile się nie mylę - powiedział. Obrzucił ją wzrokiem. Jego powiększone przez szkła okularów oczy gorączkowo połyskiwały. - Masz się doprowadzić do porządku!

- Nie będzie mi pan rozkazywał. Słyszysz pan? - Dana zawsze uważała, że najlepszą obroną jest atak. Nie dawała się tak łatwo zastraszyć, i teraz jej głos stał się głośny i agresywny. - Zatrzyma się pan i pozwoli mi wysiąść albo naprawdę się rozzłoszczę, zobaczy pan!

Ostry ton jej głosu zirytował go na chwilę.

- Nie mogę cię tu wysadzić. Nie dojdiesz daleko.

- To mój problem, nie pański. Chcę natychmiast wysiąść!

- Jesteś niegrzeczna. Wsiadasz cała mokra do mojego auta, chcesz, by cię podwieźć, a potem zachowujesz się bezczelnie! To nie do wiary!

Dana nie dała się w to wciągnąć.

- Chcę natychmiast wysiąść - powtarzała w kółko. Mężczyzna zahamował tak gwałtownie, że samochód wpadł na mokrej nawierzchni w poślizg. Zjechał na prawe pobocze.

- Dalej, wynoś się! - krzyczał. - Znikaj! Jesteś szpetna, wiesz o tym? Masz obwisłe cycki! Nikt ci o tym jeszcze nie powiedział?

Dana chwyciła swój plecak i wysiadła. Deszcz uderzył w nią z impetem; po kilku sekundach znów była przemoczona do suchej nitki. Powietrze wydawało się znacznie

chłodniejsze niż nad ranem. Dygocząc, ściągnęła ramiona. Choć znalazła się w paskudnym położeniu, poczuła ulgę. Nawet gdyby przyszło jej się wlec całymi godzinami w tym deszczu, najważniejsze, że nie musiała już dłużej siedzieć w samochodzie tego psychopaty.

Z piskiem opon i niebezpiecznym poślizgiem mężczyzna odjechał w pośpiechu. Dana skryła się pod peleryną przeciwdeszczową, która jednak nie chroniła jej dostatecznie, po czym zarzuciła plecak na ramiona. Kiedyś ktoś będzie w końcu przejeżdżał przez tę przeklętą przez Boga okolicę, a jeśli nie będzie to człowiek zupełnie bez serca, z pewnością się zatrzyma.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy usłyszała warkot silnika. Pomyślała z entuzjazmem: Co za szczęściara ze mnie!

Potem jednak uzmysłowiła sobie, że samochód, zamiast zza jej pleców, nadjeżdża z naprzeciwka. Oznaczało to, że pojazd zmierza w niewłaściwym kierunku. To nic. Mogła przecież wrócić do wioski, a stamtąd pojechać autobusem do najbliższego większego miasta. W razie konieczności uszczupli nieco swe oszczędności i pojedzie pociągiem do Nicei.

Przeszła na drugą stronę jezdni i pełna nadziei wystawiła kciuk.

Auto nadjeżdżało z nadmierną prędkością. Staromodny, brudny biały peugeot. Kiedy był już dość blisko, Dana z przerażeniem zrozumiała, że to ten sam samochód, z którego dopiero co uciekła. Za kierownicą siedział mężczyzna w okularach. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Miał zdobycz w zasięgu ręki, nie pozwoli jej uciec. Poza tym ta bezczelna flądra go obraziła! Potraktowała jak jakiegoś śmiecia, sprzeciwiła się jego poleceniom... Błyskawicznie zawrócił i popędził niczym diabeł.

Diabeł...

Dana odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Gnała ile sił w nogach, wiedząc, że musi uciekać, by ratować życie.

Tego wieczoru wszystko wreszcie było tak, jak być powinno. Pojechali razem na kolację do niewielkiej miejscowości niedaleko Grasse. Podziwiali płomienny zachód słońca, a przez otwarte okna samochodu ich twarze muskał aksamitny powiew powietrza pachnącego lawendą. Romantyczny krajobraz był tak piękny, że Tina zapomniała o wszystkim: o złości i niepokoju poprzednich dni i nocy, o tym, że znajdowali się tak daleko od morza... ba, w gruncie rzeczy o niczym więcej nie myślała, bowiem wszystkie te sprawy nagle wydały jej się niewartymi wzmianki błahostkami. Wyznanie Maria zmieniło wszystko. Niepokojące szczegóły układały się w spójną logiczną całość.

Mario zaprowadził ją do restauracji, w której jak mówił, bywał często razem z rodzicami. Można było zająć miejsce przy prostym drewnianym stole w ogródku, otoczonym

przez niski kamienny mur. Między drzewami owocowymi i cyprysami rozwieszono długie sznury z lampionami. Ulicą ciągnęły tłumy turystów ubranych w szorty i T-shirty; na ich piersiach kołysały się aparaty fotograficzne, w rękach trzymali wafle z lodami. Słychać było krzyki i śmiech dzieci, a w gąszczu słów można było wyłowić również i strzępy niemieckich wyrazów. Z kuchni dochodził zapach ciepłego chleba i czosnku, pieczonego mięsa i szałwii. Mario zamówił pół litra czerwonego wina, które gospodarz podał w pięknej starej karafce; postawił też dzban czystej wody, kosz z kawałkami bagietki i misę z ziołowym twarogiem.

Tina odetchnęła głęboko i odprężyła się.

- Jak tu pięknie! - Skosztowała wina. - Miło spędzimy czas, jestem tego pewna.

Mario uśmiechnął się. Tina odniosła wrażenie, że tego wieczoru jest bardziej zrównoważony, wyglądał też na prawdziwego mieszkańca Południa. Wspaniale pasował do tego miejsca. Przez ostatnie dni nabral rumieńców; z czarnymi włosami, ciemnymi oczami, ubrany w luźną białą koszulę z podwiniętymi rękawami wyglądał jak młody Francuz.

Nawet Dana musiałaby przyznać, że teraz prezentuje się naprawdę dobrze, pomyślała z dumą Tina.

Jego wyjaśnienia na temat zniknięcia aparatu telefonicznego wydały jej się osobliwe, odkąd jednak wiedziała, że właśnie odstawił tabletki, niczego już nie traktowała aż tak kategorycznie. Uświadomiła sobie, iż ludzie w jego stanie kierują się w swym postępowaniu własną, tylko dla nich zrozumiałą logiką. Sprzeczności i niedorzeczności są jego nieodłącznym elementem.

Wyznał jej, że bał się, iż jego matka może próbować się z nim skontaktować. Owego pierwszego popołudnia, kiedy telefon dzwonił bez przerwy, a Tina była przekonana, że to jej ojciec, on podejrzewał, że z pewnością dzwoni jego matka.

- Matka jest teraz w Anglii, rozumiesz? Być może dowiedziała się, że tu jestem, i teraz chce wszystko wyjaśnić.

Tina spytała zmieszana:

- W Anglii? Co ona tam robi? I co chce ci wyjaśnić? Jego twarz spochmurniała.

- To... trudno mi o tym mówić. Nie gniewaj się, proszę. Wszystko ci wyjaśnię. Tylko daj mi trochę czasu!

Aparat telefoniczny znajduje się w szafie w pokoju, dodał. Oczywiście Tina może go w każdej chwili podłączyć i zadzwonić do kogo tylko zechce.

- Wcale nie chcę nigdzie dzwonić. Dziwiłam się tylko... Łamała sobie głowę nad tym, co mogło zająć między nim a matką. Z jednej strony trzymał przy łóżku jej fotografię, z drugiej zaś wyłączył telefon ze strachu, że ona mogłaby zadzwonić. Od samego początku nie

chciał jej nic powiedzieć o swoim związku z Tiną. Człowiek nie tak łatwo uzależnia się od tabletek. Czy przyczyna wszelkiego zła kryła się w jego dzieciństwie, w osobie jego matki? Tina przypomniała sobie zdjęcie i to, co wówczas pomyślała: że to niezwykła kobieta.

- Daj mi trochę czasu - prosił ją.

Tinie wydawało się, że postąpiła bardzo dojrzałe, gdyż uszanowała jego życzenie. Żadnych pytań! Zaczeka, aż sam się przed nią otworzy.

Podano jedzenie; oboje z wielkim apetytem chwycili za sztućce. Tina smakowała jagnięcinę. Popijając wino, poczuła błogą lekkość.

- Co będziemy potem robić? - spytała. Zaskoczony Mario uniósł wzrok.

- Po jedzeniu?

- Tak. Jeszcze dość wcześnie. Spojrzał na zegarek.

- Już dziewiąta!

- To wczesna pora! Czy może chcesz już wracać do domu?

Najwyraźniej stracił apetyt, gdyż odłożył na bok sztućce, wytarł serwetką usta i westchnąwszy, skosztował łyk wina. Jego twarz prawie niezauważalnie spochmurniała. Wokół jego urodziwych, miękkich ust czał się jakiś ponury grymas.

- Jeśli... jeśli się obawiasz... - zaczęła ostrożnie Tina.

- Czego, do diabła, miałbym się obawiać? - przerwał jej ordynarnie.

- Tego miejsca. Ludzi. Mówiłeś, że czasem masz kłopot z wyjściem na zakupy, dlatego pomyślałam...

Znów nie pozwolił jej dokończyć.

- Przestań, Tina, nie zaczynaj odgrywać pielęgniarki. Tracę nerwy, kiedy ktoś zachowuje się jak Matka Teresa!

- Aleja...

- Na Boga, zostaw mnie po prostu w spokoju, dobrze? Tina zamilkła, urażona, i także odsunęła na bok talerz. Mario wziął z koszyka kawałek pieczywa i kruszył go palcami.

- Możemy trochę pospacerować po okolicy - zaproponował w końcu.

- Jeśli masz ochotę - odparła chłodno Tina.

Mario skinął na gospodarza. Widać było po nim napięcie. Tina wiedziała, że to koniec miłego wieczoru. Miała wrażenie, jakby ktoś nacisnął kontakt i zgasił światło, i z jakiegoś powodu nie dało się tego odwrócić. Nie mogła pojąć, czym tak bardzo rozzłościła Maria. Wydał jej się nadwrażliwym, kapryśnym nastolatkiem w najtrudniejszym okresie życia, kiedy trzeba ważyć każde słowo. I nawet milczenie może okazać się błędem.

Michael wciąż nie pojmował, jakim sposobem Karen Graph zdołała go przekonać do

wyjazdu do Monachium. Umówili się na hamburskim lotnisku, przy punkcie informacyjnym. Znak rozpoznawczy: złożony egzemplarz Hamburger Abend-blatt pod pachą. Rzeczywistość przerosła najczarniejsze obawy Michaela. Kobieta, którą zobaczył, wyglądała okropnie. Miała na sobie jasnozielone letnie spodnie z podwiniętymi nogawkami, do tego obcisły żółty T-shirt z nadrukowanym znakiem Wenus - kołem i krzyżem. Na szyi wisiał wąski rzemyk z kilkoma nawleczonymi perłami - pewnie jakaś indiańska biżuteria, pomyślał rozdrażniony Michael. Na boscie stopy Karen założyła lekko przybrudzone tenisówki. Przez ramię przewiesiła ogromną czarną torbę; wydawało się, że zaraz przewróci się pod jej ciężarem. W ręce trzymała jaskrawozieloną kurtkę przeciwdeszczową. Najgorsze ze wszystkiego były jej włosy - przystrzyżone najeża i nierówno ufarbowane na rdzawą czerwień przypominały łąkę po wypalaniu traw. Dlaczego cera tej kobiety ma tak blady, niezdrowy odcień? Michael pomyślał o opalanej w solarium Danie. Ona co prawda zbytnio się stroiła i w żadnym razie nie była w jego typie, niemniej jednak miała przynajmniej wycucie koloru i sprawiała wrażenie osoby zadbanej. W głębi ducha Michael nazwał siebie kompletnym idiotą; że też dał się namówić na tę wspólną wyprawę.

Na jego widok Karen wykrzywiła twarz w ironicznym uśmiechu.

- Wygląda pan dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam! Czy zawsze nosi pan garnitur i krawat?

- Kiedy wydaje mi się to stosowne - odparł z rezerwą Michael, a Karen zachichotała, jakby usłyszała jakiś dowcip.

Żadne z nich nie chciało nadawać bagażu, lecz wołało zatrzymać go przy sobie. Michael uparł się, że pomoże nieść tę jej nieforemną torbę. Wydała mu się niezwykle ciężka; zapytywał siebie, cóż Karen mogła do niej wpakować.

- Na wszelki wypadek zabrałam magnetofon, gdybym musiała nagrać rozmowę. Jest bardzo stary i przez to, niestety, sporych rozmiarów - wyjaśniła, jakby czytając w jego myślach.

- Naprawdę uważa pani, że to konieczne?

- Żaden dobry dziennikarz nie rusza w teren bez sprzętu do nagrywania. Niestety, mój mały magnetofon zepsuł się, więc pozostała mi tylko ta landara.

Podczas kontroli bagażu zatrzymano ich na dłużej, gdyż magnetofon oczywiście wzbudził pewne podejrzenia; ekspert rozłożył go na części, by się upewnić, czy wewnątrz nie kryje się jakiś materiał wybuchowy, po czym złożył go z powrotem w całość. Michael był coraz bardziej poirytowany. Kiedy wreszcie zajęli miejsca w samolocie, Karen od razu zabrała się za przegląd prasy. Dwukrotnie kazała sobie dolać kawy i sprawiała wrażenie, iż

jest w doskonałym nastroju.

Natomiast Michael markotnie gapił się w okno. Gdyby tylko nie zachowywał się tak niedorzecznie, tak dziecinnie, tak durnowato! A zarazem nie odczuwał takiego strachu! Tuż przed wyjściem z domu raz jeszcze spróbował zadzwonić do Duverelle. Nadal nikt nie podnosił słuchawki.

- Jest pan w kiepskim nastroju, zgadza się? - zapytała Karen tuż przed lądowaniem w Monachium.

Michael nie widział powodu, by zaprzeczyć.

- Owszem. Nie wiem, dlaczego dałem się namówić na tę podróż. I tak nie dowiemy się niczego, co mogłoby nas zainteresować. To grzebanie w prywatnym życiu obcych ludzi jest obrzydliwe!

- Mam przecucie, że jednak się czegoś dowiemy - upierała się Karen.

Michael westchnął.

- Zapewne jest to zupełnie nieszkodliwa rodzina z równie nieszkodliwym synem. O całej tej sprawie nie powinniśmy nikomu mówić, w przeciwnym razie zupełnie się skompromitujemy.

- Ach! Nagle nieszkodliwa? Mam panu przypomnieć, że to pan jako pierwszy zaczął traktować Maria jak podejrzanego? Pan mi to po prostu wmówił!

Michael zmuszony był przyznać jej rację.

- Jeśli naprawdę nic nie znajdziemy - ciągnęła Karen - no cóż, przynajmniej czeka nas miła wycieczka do Monachium! Założę się, że już od wieków nigdzie pan nie wyjeżdżał.

- Nie nadarzyła się po temu okazja.

- Prowadzi pan bardzo uregulowany tryb życia, zgadza się?

Jej uszczypliwy ton rozzłościł Michaela.

- Jeśli ma pani na myśli to, że wykonuję porządną, systematyczną pracę i nie wyleguję się w łóżku do popołudnia, to owszem, ma pani rację.

- Ojej - odezwała się Karen - teraz nadepnęłam panu na odcisk, prawda? Zawrzemy rozejm?

- Nie wydaje mi się, że bym był w stanie wojny - odparł oziębło Michael.

Zarezerwował dla nich dwa pokoje w Königshof. Do hotelu przybyli o siódmej. Karen oświadczyła, że jest strasznie głodna i jeśli może o coś prosić, chciałaby zjeść kolację w Bayerischer Hof.

- To znaczy - dodała - jeśli to dla pana nie za drogo! Ale mogę postawić panu drinka.

- W porządku. Jest pani moim gościem.

- Okay. Tylko się przebiorę. Dwadzieścia minut, dobrze?

- Zgoda - potwierdził Michael, modląc się w duchu, by nie ubrała się jeszcze gorzej niż dotychczas.

Kiedy wreszcie, z niewielkim spóźnieniem, pojawiła się w foyer, odetchnął z ulgą. Nadal obce jej było jakiegokolwiek wyczucie elegancji, nic też, rzecz jasna, nie dało się zrobić z włosami, lecz przynajmniej jej obecny strój nie rzucał się zanadto w oczy. Włożyła pomiętą kremową spódnicę i szary sweterek bez rękawów. Zamiast indiańskiej biżuterii miała na szyi długi srebrny łańcuszek o drobnym splocie, do tego stosowne srebrne kolczyki. Włożyła też czarne sandały z różanym pąkiem na każdym czubku. Była rozpromieniona; zaraz też, bez pytania, wzięła go pod rękę.

- Od wieków nie byłam z nikim na kolacji! - zawołała. - A już na pewno nie z mężczyzną.

- Ja także dawno nie wychodziłem - odparł Michael. Uśmiechnął się. - A już na pewno nie z kobietą.

- Zadzwoiłam do Petera. To ten mój przyjaciel z Monachium. Może nawet wpadnie tu na chwilkę, wtedy moglibyśmy mu wyjaśnić, o co chodzi.

Chociaż nie zarezerwowali stolika w Trader Vic's, znalazło się dla nich miejsce. Karen od razu zaczęła przeglądać kartę, strojąc przy tym miny jak dziecko patrzące na bożonarodzeniową choinkę. Michael, chcąc nie chcąc, pomyślał, że ta kobieta może mieć też miłą stronę swej natury. Nigdy jednak nie dorosła, nie zdołała ułożyć sobie życia. Nagle poczuł wzruszenie, widząc jej szczupłe ramiona, których chudość dawała się zauważyć dopiero teraz, gdy ubrała sweter bez rękawów.

- Czy Dana się odezwała? - zapytał. Karen potrząsnęła głową.

- Nie. Ale nie mamy tego w zwyczaju. Nie martwię się o moją córkę tak bardzo jak pan o swoją.

- Uważam, że nie byłoby przesadą zabronić tak młodej dziewczynie podróżowania autostopem.

- Być może. Ale na pewno przesadą jest pilnować młodą dziewczynę tak, jak pan to robi. Nie mam nic złego na myśli, rozumie pan? Tylko że to... to jest nie na czasie!

- Być może - odparł Michael, używając tych samych słów.

Kelner podał drinki i przyjął zamówienie. Kiedy odszedł, Karen zapytała:

- Długo już jest pan wdowcem?

- Od szesnastu lat.

- I nigdy nie myślał pan, by się ponownie ożenić? Odpowiedział pytaniem:



- A pani? Pani również jest już chyba od dość dawna rozwiedziona.

- Nigdy nie wyszłam za mąż. Dana jest nieślubnym dzieckiem. To była wpadka. Z początku oznaczało to dla mnie prawdziwą katastrofę! - Zauważyła jego minę i roześmiała się. - Właśnie pomyślał pan sobie: Jakież to typowe! Dokładnie to, czego można się było po niej spodziewać. Nieślubne dziecko, i to przez nieuwagę! Pasuje do całości, czyż nie?

- Nie, nie jestem zbyt zaskoczony.

- Panu coś takiego nie mogłoby się przydarzyć, o nie. Założę się, że Tina była zaplanowana co do minuty. Nawet w łóżku nie traci pan nad sobą panowania.

- Pewnie nie.

- Ojciec Dany nadał na nią łoża. Co miesiąc, choć niczego od niego nie żądałam. Swoją drogą, nieźle zarabia. To znaczy... nie można powiedzieć, żeby działa mu się krzywda. Jego pieniądze są dla mnie ratunkiem. Pozwalają się nam utrzymać na powierzchni.

- Czemu nie podejmie pani jakiejś pracy?

- Och... to dobre pytanie! Tak, czemu nie? Bo nie mogę żadnej znaleźć, oto cholerna prawda!

- Próbowала pani?

- Jasne. Ale mam złą reputację w branży. Dana ma rację - jestem niesłowna, zbyt niechlujna. Niepunktualna, mało obowiązkowa. I wyglądam jak strach na wróble.

- To przecież dałoby się zmienić - powiedział ostrożnie Michael.

Spojrzała na niego.

- Co takiego?

- No, wszystko. Punktualności i sumienności naprawdę można się nauczyć.

- Łatwo panu mówić. Dla pana to pewnie żaden problem. Założę się, że pochodzi pan z rodziny oficerskiej. Pański ojciec był pewnie generałem albo pułkownikiem, albo kimś takim!

- Pudło, przegrała pani. - Uśmiechnął się. - Mój ojciec był protestanckim pastorem.

- No coś takiego! - Wypuściła trzymaną w ustach słomkę. - Mój także!

- Nie do wiary! W takim razie mamy jednak ze sobą coś wspólnego.

- Tak czy owak, mieć pastora za ojca... to zawsze stanowi pewien problem - powiedziała Karen. - Widać to po nas, prawda? Jesteśmy pełni skrajności. Myślę, że... - Urwała, ponieważ do stolika podszedł brodaty mężczyzna koło pięćdziesiątki, w swetrze zrobionym na drutach.

Przeżytek z sześćdziesiątego ósmego, pomyślał podenerwowany Michael.

Karen wydała okrzyk, zerwała się z krzesła i rzuciła mężczyźnie na szyję.

- Peter! - Ucałowała go, po czym odwróciła się do Michaela. - To jest Peter! Mój dawny kolega. Spędziliśmy razem cholernie piękne chwile.

Michael uprzejmie podniósł się z miejsca i podał Peterowi dłoń. Przez moment żałował, że przerwano mu rozmowę z Karen.

Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że chciałby ją lepiej poznać.

Wcale nie upierała się na tę dyskotekę. Zwróciła tylko na nią uwagę. Kiedy wychodzili z restauracji - Mario nadal był pogrążony w ponurym milczeniu - i przechodzili na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkowali samochód, Tina zauważyła pozbawiony okien budynek z płaskim dachem i migoczącym szyldem «Discotheque». Z wnętrza dobiegała dudniąca muzyka. Kilkoro nastolatków kręciło się przy wejściu, paląc papierosy, dwie chichoczące dziewczyny w legginsach i szpilkach przykucnęły na krawężniku i obserwowały otoczenie.

- Patrz, tu jest nawet dyskoteka! - powiedziała Tina. Mario chwycił ją za rękę. Jego uścisk był nieco za mocny, by uznać go za pełen czułości.

- Chodź. Zajrzemy do środka.

- Nie musimy...

- Owszem. Przecież chciałaś jeszcze dokądś pójść. Tak mówiłaś. Czyżbym się mylił? Nie powiedziałaś tak?

- To była tylko propozycja. Ale jedynie wtedy, jeśli ty także...

Nie słuchał jej dłużej, lecz ruszył przez ulicę, ciągnąc ją za sobą, prosto w stronę dyskoteki.

Była to tak naprawdę szopa, niewielka i duszna, z nisko zawieszonym sufitem. Z pomocą kilku prostych efektów świetlnych zaimprovizowano miejsce do tańca, na którym podrygiwała horda spoconych nastolatków. W powietrzu można było zawiesić siekierę, a muzyka dudniła tak głośno, że nie dało się zamienić ani słowa.

Mario niemal pchnął Tinę na jedno z krzeseł, po czym podszedł do baru. Wrócił po chwili, niosąc dwie wysokie szklanki; w każdej widać było toksycznie zielony płyn, słomkę oraz papierową palemkę.

- Co to? - spytała Tina. Nie zrozumiał jej. - Co?

Powtórzyła pytanie, wrzeszcząc na całe gardło. Odkrzyknął do niej:

- Nie wiem! Poprosiłem o coś mocnego i dali mi właśnie to!

Już po pierwszym łyku Tina poczuła, jak gorący strumień oblewa całe jej ciało. Drink był tak mocny, że upiłaby się, gdyby opróżniła całą szklankę.

- Dobry Boże - powiedziała z przerażeniem w głosie - musieli tu wlać mnóstwo wysokoprocentowego rumu!

Mario wychylił jednym haustem połowę szklanki - zdaniem Tyny w agresywny sposób. Wyjął słomkę i palemkę, po czym zamaszystym ruchem wlał sobie resztę mikstury do ust. Następnie spojrzał na Tinę. W jego oczach tliły się złośliwe ogniki.

- No i? - spytał. - Dobrze się bawisz? Wzruszyła ramionami.

- Wcale nie jest tu fajnie.

- Nie jest fajnie? Co to ma znaczyć? Przecież koniecznie chciałaś tu przyjść! Chcesz zatańczyć?

- Wcale nie chciałam tu wchodzić. Powiedziałam tylko...

Mario poderwał się z miejsca i pociągnął ją za sobą na parkiet. Powietrze było tam jeszcze gęstsze, czuć było przenikliwą woń potu. Mario zdawał się tego nie zauważać, a przynajmniej sprawiał wrażenie, że mu to nie przeszkadza. Zaczął podrygiwać w dziki, gorączkowy sposób, a jego ruchy były wręcz konwulsyjne.

Jest trochę podпиты, pomyślała Tina, nic dziwnego, skoro tak szybko wychylił tego drinka...

Ona również zaczęła tańczyć; przez pierwsze minuty za bardzo zwracała uwagę na własne ciało, zdawała sobie sprawę, jak drętwo i niezgrabnie się porusza. Z czasem jednak jej mięśnie rozluźniły się, przestała kontrolować ruchy swych ramion i nóg, poddała się rytmowi muzyki. Było to całkiem proste. Było wspaniałe. Przymknęła oczy. Życie może być łatwe, jeśli człowiek nie stara się nad nim zapanować w każdej jego minucie. Nawet w tej pozbawionej okien, gorącej, huczącej od muzyki szopie na południu Francji, albo właśnie tam. Czy to nie tego właśnie Dana potrzebowała tak usilnie, że bezustannie tego szukała i zabierała ze sobą, gdziekolwiek to znalazła? Lekkość i zapomnienie. Zupełne wyzbycie się dręczących myśli.

Na kilka sekund Dana stała się jej bardzo bliska. Tak bezpośrednio, tak przerażająco bliska, że Tina otworzyła oczy i znieruchomiała. Jakby Dana wyciągnęła do niej rękę...

Naprzeciw stał wysoki ciemnowłosy Francuz. Uśmiechnął się do niej. Mimowolnie odwzajemniła jego uśmiech.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nagle obok niej pojawił się Mario; jego urodziwa, łagodna twarz pod wpływem złości przemieniła się w groteskową maskarę. Dосkoczył do nieznanego Francuza i uderzył go pięścią w twarz, zanim ten w ogóle pojął, co się dzieje. Francuz upadł na podłogę. Wszyscy tańczący odsunęli się na bok. Mario rzucił się na leżącego na podłodze chłopaka i zaczął go bezlitośnie okładać pięściami, ze wszystkich stron, nie patrząc, gdzie uderza. Kiedy przeciwnik wreszcie zaczął się bronić, krwawił już z nosa i ust, zwijając się z bólu. Tę przerażającą scenę rozjaśniało w upiorny sposób migotliwe

różnobarwne światło wirującej nad parkietem kuli.

- Przestań! - wrzasnęła Tina. - Na miłość boską, Mario, przestań!

Usiłowała odciągnąć go od ofiary, lecz on wpił się w nią niczym wściekłe zwierzę i w ogóle nie zwracał uwagi na słowa Tiny. Francuz dał za wygraną; próbował już tylko osłaniać się ramionami przed bezlitosnymi ciosami Maria.

- Pomóżcie mu! - zawołała Tina.

Wszystko toczyło się tak szybko, że stojący wokół ludzie chyba wciąż nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nikt się nie ruszył.

- Pomóżcie mu, do cholery! Pomóżcie! - Omal nie wybuchnęła płaczem. - On go zabije!

Choć nikt nie zrozumiał jej słów, ich przejmująco rozpaczliwy ton w końcu poruszył gapiących się ludzi. Trzem krzepkim mężczyznom udało się postawić rozszalałego Maria na nogi. Stał bez ruchu, nie próbując już więcej atakować Francuza. Ciężko dyszał, twarz szklila mu się od potu, czoło zakrył kosmyk włosów, co nadało mu dziki, niebezpieczny wyraz. Wydawało się, że nie ma nawet jednego zadrapania.

- Zwariowałeś? - krzyknęła Tina. Z przerażenia nie potrafiła nad sobą zapanować. - Czemu to zrobiłeś?

Chłopak leżący na podłodze miał zamknięte oczy, nie wydawał żadnego odgłosu, nie poruszał się. Widocznie stracił przytomność. Cała jego twarz była umazana krwią. Ludzie tłoczyli się wokół niego, każdy próbował pomóc, nawet ospały barman wychynął zza kontuaru. Nikt jednak nie wpadł na to, by wyłączyć muzykę i kaskadę świateł. W niskim pomieszczeniu wciąż dudniły dzikie rytmy.

Mario wlepił wzrok w Tinę.

- Dobrze wiesz, dlaczego to zrobiłem. Dobrze wiesz!

- Oszalałeś! Chwycił ją pod ramię.

- Pójdiesz ze mną! Nie będziesz już więcej uśmiechać się do obcych mężczyzn. Czy zdajesz sobie sprawę, jak ty wyglądasz? Jak prowokujesz? Jak zachęcasz?

Po raz pierwszy naprawdę się go przestraszyła - poczuła rzeczywisty, niekontrolowany strach, graniczący nieomal z paniką. Bezradnie rozejrzała się wokół, lecz nikt nie zwracał uwagi ani na nią, ani na Maria. Wszyscy byli zajęci ratowaniem leżącego bez ruchu mężczyzny. Ktoś krzyknął po francusku; Tina zrozumiała tylko tyle, że należało wezwać lekarza. Barman zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, w którym przypuszczalnie znajdował się telefon. Mario ruszył w kierunku wyjścia, wlokąc za sobą stawiającą opór Tinę.

- Nie możesz teraz tak po prostu zniknąć! - Tina na próżno usiłowała go zatrzymać. -

Prawie zatłukłeś tego biedaka! Będą cię ścigać, jeśli teraz uciekniesz!

Jej słowa nie docierały do niego; odniosła przerażające wrażenie, iż ta nagła ucieczka nie ma nic wspólnego z obawą, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Wydawało się, że on zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że stało się coś złego. W jego mniemaniu uczynił to, co należało w tej sytuacji uczynić, teraz natomiast trzeba jak najszybciej wyprowadzić Tinę z tego miejsca zepsucia.

Tego nie da się usprawiedliwić tabletkami, przemknęło jej przez myśl, tego nie da się niczym usprawiedliwić.

- Mario, bądź rozsądny! Nie możesz stąd uciec. Ja z tobą nie pójdę! - Zaparła się nogami o podłogę, jak jakiś narowi-sty rumak, lecz nie doceniła jego siły ani niesłabnącej gwałtowności. Brutalnym szarpnięciem wypchnął ją przez drzwi na zewnątrz, gdzie powoli zapadały już ciemności czerwcowej nocy. Nikt spośród zebranych tu osób nie miał pojęcia, co zaszło w dyskotecę, toteż nikt nawet nie próbował ich zatrzymać. Kilka obojętnych spojrzeń padło na Tinę, którą Mario ciągnął za sobą wyraźnie wbrew jej woli, nikt jednak nie poczuł się w obowiązku interweniować. Była to prywatna sprawa tych dwojga ludzi, przypuszczalnie jakaś scena zazdrości, a w takie historie nie należy się mieszać. Może gdyby Tina wzywała pomocy...

Później, w nocy, będzie rozpaczliwie łamać sobie głowę, dlaczego tego nie zrobiła - dlaczego nie krzyczała, najgłośniej jak tylko mogła. Wydało jej się to zbyt szalone, zbyt niedorzeczne i histeryczne. W jakiś sposób wiązało się to również z jej dobrym wychowaniem. Nie pokazuj się ludziom od złej strony. Nie wrzeszcz na ulicy jak jakaś przekupka, nie roztrząsaj publicznie swoich problemów. A poza tym: co by to dało? Nie miała przy sobie pieniędzy, paszport zostawiła w domu. A zatem i tak musiała wracać razem z Mariem.

Dotarli do samochodu; grubiańsko wepchnął ją na siedzenie pasażera, po czym zatrzęsł drzwi. Tinie zdawało się, że w oddali słyszy syrenę karetki. Z ciężkim westchnieniem ukryła twarz w dłoniach.

Mario runął obok niej na fotel kierowcy; działał tak nerwowo, że nie mógł trafić kluczykiem od stacyjki. Zaraz potem silnik wściekle zawył.

- Dalej, zapnij się - rozkazał. Drżącymi rękami Tina chwyciła za pas.

- Powinniśmy byli tam zostać - powiedziała. - Przynajmniej zobaczyć, czy można jakoś pomóc.

- Komu? Temu draniowi, który gapił się na ciebie jak na jakąś dziwkę?

Samochód wytoczył się tyłem z parkingu. Mario ze zgrzytem wrzucił pierwszy bieg.

Zapiszczały opony. On zwariował. Jest chory. Zupełnie oszalał.

Z zawrotną prędkością wyjechali z miejscowości. Gdyby ktoś wyskoczył im na drogę, Mario nie miałby szans zahamować. Nikt się jednak nie pokazał, nawet policjant. Zachowywali się jak pijani w sztok chuligani, lecz nikt ich nie zatrzymał.

Bez przeszkód zniknęli w zapadającym mroku nocy.

Stojąc na ostatnich stopniach schodów przed wejściem do mieszkania, usłyszeli dzwonek telefonu. Andrew pospiesznie otworzył drzwi i pognał do pokoju dziennego, lecz w chwili kiedy wyciągał rękę, by podnieść słuchawkę, telefon umilkł.

- Za późno - powiedział.

Janet weszła za nim do pokoju. Spojrzała na swój zegarek.

- Pół do jedenastej! Kto mógłby dzwonić o tej porze? Andrew wrzucił ramionami.

- Nie mam pojęcia. Na pewno spróbuje ponownie. Chcieli wrócić z Cambridge znacznie wcześniej, lecz po drodze, pół godziny od Londynu, zdarzył się wypadek, przez co stracili mnóstwo czasu, stojąc w korku. Kiedy wreszcie dotarli do domu, oboje byli bardzo zmęczeni.

- Chcesz się jeszcze czegoś napić? - zapytał Andrew. Janet potrząsnęła głową.

- Chyba już tylko spać. Jestem wykończona.

- W porządku. Ja też zaraz się położę.

Janet poszła do sypialni, rozebrała się, rzucając niedbale ubranie gdzie popadło. Kiedy myła w łazience zęby, przejrzała się w lustrze; zaskoczyła ją niespodziewana bladość, jaka powlokła jej policzki. Wiedziała, dlaczego nagle poczuła się tak mizernie, lecz nie przypuszczała, iż będzie to aż tak widoczne. Instykt podpowiadał jej, że to Phillip próbował się do nich dodzwonić. Z pewnością się domyślił, że zatrzymała się u Andrew Daviesa, bez trudu też zdobył jego numer. Pewnie znowu zadzwoni i za którymś razem będzie musiała się ujawnić. Zasługiwał na rozmowę, wyjaśnienie, przeprosiny. Atakże na słowo o jej dalszych planach. Musi mu powiedzieć, że chce rozwodu. Po dwudziestu pięciu latach.

Poczuła nagły skurcz w żołądku, bała się, że zaraz zwymiotuje. Powstrzymała się, odetchnęła głęboko i w uspokajającym geście położyła obie dłonie na brzuchu.

Wróciła do sypialni, weszła do łóżka i zgasła światło, jednak jej znużenie nagle się ulotniło, a w jego miejsce pojawił się nerwowy niepokój. Przewracała się z jednego boku na drugi, w końcu zaświeciła ponownie światło i spojrzała na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Gdzie się podziewa Andrew? Wstała z łóżka i boso, w samych tylko figach i białym T-shircie, podreptała do pokoju dziennego.

- Andrew?

Wszędzie panowały mrok i cisza. Także w kuchni nie było nikogo. Janet przeszła przez przedpokój i ostrożnie otworzyła drzwi prowadzące do gabinetu Andrew.

Siedział za biurkiem i wpatrywał się w otwarte przed nim akta, jakby czekał na jakieś objawienie. Nie zauważył Janet. Mogła zobaczyć jego profil oświetlony przez stojącą na biurku lampę. Dostrzegła jego wewnętrzne napięcie. Miał zaciśnięte wargi. Wyczuł chyba przeciąg i spojrzał w stronę drzwi. Pomiędzy jego oczami widniała wyrazista pionowa zmarszczka.

- Janet! Myślałem, że już śpisz! - Jego głos zdawał się nie pasować do zawziętego wyrazu twarzy. Z wolna jego rysy wygładziły się.

- Nie mogę zasnąć - odparła z żalem Janet. Podeszła bliżej, spojrzała w akta. - Co to jest?

- Ach! - Zdecydowanym ruchem Andrew zamknął teczkę. - Sprawa Corveya. Mój problem na dziś wieczór. - Podniósł się i delikatnie pogładził palcem policzek Janet. - A co tobie zaprzęta myśli? - spytał cichym głosem.

- Phillip.

Wcale go to nie zdziwiło. Skinął ze zrozumieniem.

- To znaczy... nic mu nie mogę zarzucić. Absolutnie nic - powiedziała. Jej głos zabrzmiał nieomal rozpaczliwie, w dziwnej sprzeczności do wymowy tych słów. - Nigdy mnie nie skrzywdził. Pod pewnym względem traktował mnie... traktował mnie lepiej niż ty.

- Rozumiem.

- Mimo to nic mnie z nim nie wiąże. Nawet nasze dzieci. To takie niesprawiedliwe!

- Ach, Janet! Od kiedy to nasze uczucia są sprawiedliwe? Nie jesteś przecież świętą!

Potrząsnęła głową i popatrzyła w okno, za którym zapadła już noc.

- To będzie strasznie trudne - wyznała cicho.

- Strasznie trudne będzie też życie z funkcjonariuszem Scotland Yardu, który popada w depresję, kiedy musi wypuścić na wolność przestępcę - powiedział Andrew. - Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak samo pewna jak dawniej. - Jej głos zabrzmiał głucho, ponieważ Andrew nagle przyciągnął ją do siebie. Jej twarz przylgnęła do bawełnianego swetra, który Andrew założył jeszcze w samochodzie z powodu wieczornego chłodu. Poczowała, jak jego dłonie wślizgują się pod jej T-shirt, znacząc linię jej bioder i talii. Odsunął ją nieco od siebie i dotknął jej piersi. Westchnęła cicho. Jego dłonie zacisnęły się mocniej i gwałtowniej.

- O czym myślisz? - szepnął jej do ucha.

- O tobie. - To była prawda. Wystarczyło, że ją dotknął, a już zapominała o Phillipie.

Podniosła głowę, rozchyliła wargi i wzięła do ust jego język. Najgorsze, że nawet nie musiał jej dotykać, by wprawić ją w stan podniecenia. Starczyło spojrzenie, jego głos, czasem tylko obraz, zapach, nastrój, który przypominał jej o nim. Zawsze tak było, przez osiemnaście długich lat bez Andrew. Woda po goleniu, której woń musnęła ją gdzieś po drodze i była choć trochę podobna do preferowanych przez niego marek; jakiś przelotnie usłyszany głos przypominający głos Andrew - zawsze ogarniało ją wtedy pragnienie, by natychmiast mieć go przy sobie, od razu pójść z nim do łóżka. Był jedynym mężczyzną, przy którym oddawała się fantazjom o seksie w mrocznych zaułkach albo w pokoju, kiedy za ścianą w najlepsze trwało burzliwe przyjęcie; o seksie kończącym się podartą bielizną oraz śladami zadrapań, szybkim, gwałtownym, niekontrolowanym i nieco brutalnym. Nigdy nie pragnęła tego w obecności innych mężczyzn, nawet jeśli uznawała ich za atrakcyjnych, a już najmniej przy Phillipie, który usiłował doskonalić swe umiejętności perfekcyjnego kochanka z niestrudzonym zapalem pilnego ucznia. Pewnego razu - oboje w milczącym porozumieniu nigdy nie wspominali o tym przez następne lata - po lekturze jakiegoś artykułu na temat ukrytych masochistycznych pragnień kobiet zainscenizował nocny napad na Janet. Rzucił się na nią, wydając przy tym prychnięcia dźwięki jakiegoś wypuszczonego na wolność dzikiego zwierzęcia. Janet nie zdołała powstrzymać paroksyzmu śmiechu. Phillip poczuł się tym głęboko urażony.

- Zróbże to całkiem normalnie - powiedziała, kiedy odzyskała mowę, lecz Phillip przez kilka tygodni nie był zdolny ani do normalnego, ani wymyślnego seksu.

Jakimś sposobem Andrew pozbył się swego ubrania, nie przestając pieścić Janet i dotykać jej ustami. Pchnął ją na sofę stojącą obok drzwi przy dłuższej ścianie pokoju. Sofa pochodziła jeszcze z jego studenckich czasów i niegdyś kochali się na niej całymi godzinami. Janet usłyszała odgłos dartej tkaniny; Andrew zerwał z niej figi i zaraz potem był już na niej i w niej. Jej nazbyt ochocze ciało nie stawiało żadnego oporu. Jęczała i wypowiadała mnóstwo słów, których sensu w ogóle nie mogła sobie później przypomnieć. Andrew także coś do niej szeptał ostrzejszym tonem, lecz tego również nie zapamiętała. W jej ciele rozgorzał ogień, a jego płomienie pochłonęły wszelkie myśli, wszelkie odczucia niezwiązane z tym pokojem, z tym mężczyzną.

Dopiero dużo później, kiedy odzyskała jasność myśli, uświadomiła sobie, iż to jej przyznanie się do wyrzutów sumienia wobec Phillipa tak bardzo rozwścieczyło Andrew. W wypróbowany sposób w ciągu kilku sekund odzyskał na powrót swój łup.

Maximilian wiedział, że powinien być wdzięczny losowi. Nie mógł wręcz uwierzyć, jak łatwo dotarł na południe Francji. Z Frankfurtu pewien kierowca podwiózł go aż pod



Karlsruhe. Tam na jakimś parkingu natrafił na niemieckich uczniów, którzy wybrali się na dwutygodniową wycieczkę klasową do Awi-nionu. Po chwili wahania dwie towarzyszące im nauczycielki zgodziły się zabrać go ze sobą. Nie mógł przekroczyć granicy w łatwiejszy sposób niż w gromadzie trzydziestu osiemnasto-latków, którzy byli co prawda młodszy od niego, lecz wcale na młodszych nie wyglądali. Jako że przypuszczał, iż wydano już za nim nakaz aresztowania, ten etap podróży napawał go największym niepokojem, choć granica niemiecko-francuska była jedną z granic wewnątrzunijnych, na których odbywały się jedynie wrywkowe kontrole paszportowe. Obyło się bez żadnych kłopotów. Jedna z nauczycielek zebrała wszystkie paszporty i wcisnęła je strażnikowi granicznemu. Mężczyzna przejrzał pobieżnie kilka z nich, po czym zwrócił dokumenty i przepuścił autobus. Moment krytyczny nadszedł, kiedy nauczycielka wyczytywała kolejno nazwiska uczniów, by oddać im paszporty.

- Mario Beerbaum! - Spojrzała dokładniej w dokument. - Pański paszport stracił ważność!

Maximilian dostrzegł podejrzliwość malującą się na jej twarzy. Musiał być teraz bardzo przekonujący.

- O Boże, w takim razie zabrałem niewłaściwy! - Wstał i chwiejnym krokiem precyzyjnie się wąskim przejściem do przodu. Nauczycielka z wahaniem podała mu paszport. Była młoda i ładna, miała długie rude włosy.

- Tak to jest, kiedy wozi się ze sobą te wszystkie starocie! - Uśmiechnął się. Wiedział, że kobiety miękły pod wpływem jego uśmiechu. - Mam nadzieję, że nie będzie problemów w drodze powrotnej!

- Tak czy siak, kontrole już się prawie nie zdarzają - odparła. Podejrzliwość zniknęła z jej twarzy. Ten chłopiec wyglądał zbyt swobodnie, młodzieńczo i prostodusznie. I był zbyt urodziwy. Wiedział, że się jej spodobał, że jego atrakcyjność rozproszyła jej nikłe uczucie niepokoju. Zawsze tak było, w przypadku obydwu braci. Ludzie lubili ich ze względu na ich aparycję, obdarzali ich zaufaniem, nie wątpili, że mają do czynienia z miłymi, sympatycznymi chłopcami. Maximiliana nierzadko to dziwiło. Jakby urodę można było stawiać na równi z uczciwością czy przyzwoitym zachowaniem! Ludzie żyli wśród stereotypów. Spodziewali się, że diabeł pojawia się pod postacią diabła, a anioł pod postacią anioła. Nie rozumieli, że noszenie masek jest na porządku dziennym.

Od tej pory wszystko szło gładko. Oczywiście nieznajomy znalazł się w centrum zainteresowania uczniów. Miał na imię Mario, studiował prawo na czwartym semestrze, potrafił odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące jego osoby, nie wikłając się przy tym w sprzeczności.

Kiedy dotarli do Awinionu, zapadła noc i żaden autobus nie kursował już do Grasse. Maximilian wiedział, gdzie znajduje się przystanek, gdyż raz, przed laty, razem z Janet przyjechali do Awinionu pociągiem, a następnie złapali autobus do Grasse. Ile mógł mieć wtedy lat? Dwanaście albo trzynaście, jeśli dobrze pamiętał. Przyłapano go wtedy na wagarowaniu, toteż Janet postanowiła poświęcić mu kilka tygodni, by dowiedzieć się, gdzie tkwi prawdziwy powód jego buntowniczej postawy. Oczywiście nic to nie dało. Dociekliwe pytania matki uznał za natrętne, poza tym tęsknił za swym bratem, który pozostał w domu razem z Phillipem. Po dziesięciu ledwie dniach zrezygnowana Janet przerwała urlop i ruszyła w drogę powrotną. Nawet jeśli była urażona, wcale tego nie okazywała, co najwyżej jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

Maximilian ustalił, że najbliższy autobus do Grasse, skąd dotrze do Duverelle, odjeżdża nazajutrz o pół do szóstej rano. Poszukał bistra, gdzie mimo późnej pory dostał jeszcze ciepły posiłek. W Awinionie roiło się od turystów, nikt nie zwracał uwagi na ciemnowłosego młodzieńca, któremu lekko drżały ręce. Zauważył, że jego organizm z każdą chwilą coraz gwałtowniej reaguje na nagłe odstawienie leków, i modlił się, by jego stan się nie pogorszył.

Na dworcu autobusowym usiadł na ławce i spróbował się zdrzemnąć. Noc była bardzo ciepła, dzięki czemu, po niedawnym posiłku, Maximilian poczuł się nieco odprężony. Niepokoiło go jedynie drzenie rąk. Był tak blisko swego brata... Nazajutrz przekona się, że wszystko jest w porządku, a potem odda się w ręce policji i zobaczy, co dalej... Może będzie mógł... Wówczas jednak jego myśli splątały się, głowa opadła na piersi, mordęga ostatnich dni zmorzyła go i po chwili zapadł w głęboki sen.

Całymi godzinami pędzili przez noc, błędząc po okolicy, z nadmierną, niebezpieczną prędkością. Mario w ogóle nie zważał na to, dokąd jedzie. Gnał po drogach lokalnych i polnych, podskakując na wybojach, tak iż wydawało się, że samochód zaraz straci zawieszenie. Potem ostro zahamował, zatrzymując się niemal natychmiast. Gwałtownie napięte pasy bezpieczeństwa wcisnęły ich w fotele, tak że niemal stracili dech. Mario zawrócił i ruszył z powrotem tą samą drogą, rozpędzając auto do morderczej prędkości, przy której niechybnie zginęliby, gdyby choć na chwilę stracił nad nim panowanie.

Z początku Tina krzyczała, błagała go, by zwolnił, prosiła o wyjaśnienie, płakała. Do Maria nie docierały żadne słowa. Nie odpowiadał, nie reagował. Gapił się prosto przed siebie, świdrował mrok nocy fanatycznym, mętным wzrokiem, który przejmował Tinę dreszczem. W pewnej chwili przestała doń mówić, skryła twarz w dłoniach i bezgłośnie modliła się, by nikt nie wyszedł na drogę, gdyż to nieuchronnie doprowadziłoby do wypadku. Potem zrobiło jej

się niedobrze na myśl, co może się stać, jeśli nikt nie powstrzyma tego szaleńca za kółkiem; tym razem zaczęła się modlić, by kogoś jednak napotkali po drodze, najlepiej patrol policji. Kiedy Mario ponownie gwałtownie zahamował, uniosła głowę w nadziei, iż jakiś człowiek wyszedł na jezdnię. Nikogo jednak nie dostrzegła. Znajdowali się na wąskiej, prowadzącej stromo pod górę drodze; po prawej stronie piętrzyły się skały, po lewej zaś widniała głęboka przepaść. Tina z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że dotarli do gór, do Wielkiego Kanionu Verdón, gdzie aż roi się od wąwozów i karkołomnych serpentyn.

- O Boże - szepnęła.

Mario zerknął na deskę rozdzielczą.

- Zostało niewiele benzyny - oznajmił.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od kilku godzin; wobec obłędu, w jakim się znajdował, realizm tego stwierdzenia miał w sobie coś nieomal przerażającego.

- Powinniśmy poszukać jakiejś stacji benzynowej - odparła Tina, starając się zachować spokój. Stamtąd będzie mogła uciec. Z pewnością będą tam ludzie, przynajmniej jakiś operator dystrybutora. Poprosi go o pomoc. - Zjedźmy w dolinę i poszukajmy stacji.

Mario obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- Tego nie zrobimy.

Zaczął intensywnie myśleć, świadczył o tym wyraz jego twarzy. Silnik nadal pracował.

- Wyłącz silnik - powiedziała nieśmiało Tina. - Marnujesz tylko paliwo!

Znów zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Tina zastanawiała się, czy nie otworzyć drzwi, wyskoczyć z samochodu i rzucić się do ucieczki. Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie się znajdują, lecz jeśli pobiegnie w dół, z pewnością natrafi na jakichś ludzi. Ale czy zdoła dotrzeć tak daleko? Mario był od niej silniejszy, pewnie też i szybszy, a w tym napadzie złości jeszcze bardziej zdeterminowany i mocniejszy niż zwykle. I niepoczytalny. Jeśli ją złapie, może ją zabić. Nie wolno jej robić niczego, co mogłoby spotęgować jego gniew.

- Wiem, dokąd pojedziemy - powiedział nagle Mario.

Jego głos zabrzmiał zupełnie normalnie. Mogliby uchodzić za parę zwyczajnych, młodych, zakochanych ludzi, którzy zastanawiają się, jak zorganizować sobie wspólne niedzielne popołudnie.

- Dokąd jedziemy? - spytała Tina. Starła się, by jej głos także zabrzmiał naturalnie, miała jednak wrażenie, że się jej to nie udało. Mówiła tak, jakby w ustach miała watę.

Mario nie odpowiedział, tylko ruszył przed siebie. Zachowywał się tak, jakby doskonale wiedział, dokąd zamierza jechać, a także którędy najlepiej tam dotrzeć, gdyż

prowadził samochód po serpentynach z iście somnambuliczną pewnością. Na szczęście nieco zwolnił. Wydawało się, jakby świadomość, dokąd ta nocna jazda go zaprowadzi, rozluźniła jakiś kurcz, jakby ośwładnął nim wewnętrzny spokój. Z jego twarzy zniknęło napięcie. Skręcił w wąską polną drogę, która wiodła stromo pod górę. Samochód podskakiwał na wybojach, choć Mario starał się omijać największe nierówności.

Tina wyteżęła wzrok, usiłując znaleźć w okolicy jakiś punkt orientacyjny. Z całą pewnością nie zdążyli do domu. Droga prowadziła coraz dalej w góry.

Dokąd on mnie wlecze? - pomyślała zdjęta panicznym strachem. Do jakiej przeklętej samotni?

- Mario... - Jej głos zabrzmiał ostro.

Odwrócił ku niej głowę. W jego oczach kryła się pustka. - Tak?

- Mario, dokąd jedziemy?

- Do naszego domu.

- Do naszego... Masz na myśli nasz letni dom? - Naraz dom ten wydał jej się najbardziej pożądanym miejscem na ziemi. Mieli tam sąsiadów. Mogła krzyczeć, z pewnością ktoś ją usłyszy. Już nie będzie taka głupia, żeby trzymać buzię na kłódkę. Będzie wrzeszczeć, aż uszy pękną. A może... może postanowił pojechać jakimś wariackim skrótem? Miała świadomość, że ta nadzieja była absurdalna.

Obrzucił ją długim dziwnym spojrzeniem.

- To nie jest nasz dom.

- To gdzie on jest?

Mario nie odpowiedział. Spróbowała ponownie.

- Ja... ja chętnie pojedę z tobą do tego naszego... domu, Mario. Tylko że... wszystkie moje ubrania zostały w letnim domu, i moja... moja szczoteczka do zębów... Nie moglibyśmy szybko tam pojechać i zabrać nasze rzeczy? To... to przecież nie potrwa długo... - Boże, błagam, spraw, bym zdołała go przekonać.

Mario i tym razem nie odpowiedział. Nagle na jego twarzy pojawiło się napięcie, jakby czegoś nasłuchiwał.

- Słyszysz? - zapytał.

W pierwszej chwili Tina nie wiedziała, o co mu chodzi, potem jednak usłyszała ciche stukanie i terkotanie silnika. Po chwili stało się jasne: samochód wydał jeszcze kilka szczekliwych, dławiących odgłosów, szarpnął do przodu, po czym stanął w miejscu. Bak był pusty.

Tina nie wahała się dłużej. Gwałtownie otworzyła drzwi i wyskoczyła w mrok.

Pobiegła w dół zbocza, w kierunku, z którego nadjechali. Wiedziała, że w tej okolicy jak okiem sięgnąć nie było żadnych ludzkich osad, jeśli jednak udałoby jej się oddalić od Maria na wystarczającą odległość, ciemność stałaby się jej sprzymierzeńcem. Mogłaby zanurzyć się w mroku nocy, lecz do tego musiała zmylić swego prześladowcę. Na domiar złego miała na nogach lekkie sandały, a to najgorsze obuwie na strome żwirowe zbocze. Ślizgała się i potykała, dwukrotnie upadła, zdołała się jednak pozbierać.

Usłyszała za plecami głos Maria:

- Stój! Zatrzymaj się natychmiast!

Przyspieszyła kroku. Słyszała, jak wali jej serce, awuszech pulsuje krew. Brakowało jej tchu. Nagle znów straciła równowagę. Prawa stopa wykręciła się w kostce, ostry ból przeszył całą nogę; z krzykiem upadła na ziemię.

Nie zauważyła, że ręce i nogi otarła do krwi. Skuliła się, wiedząc, że już po niej.

Dopadł ją w mgnieniu oka i szarpnął w górę. Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach jak żelazne obcęgi.

Tina znów krzyknęła.

- Moja stopa! Nie mogę ustać, Mario! Puść mnie! Piekący ból promieniował od kostki na całą stopę. Mario miał to gdzieś. Lewą ręką nadal mocno trzymał Tinę, prawą natomiast zamachnął się i uderzył ją w twarz. Uderzał ją tak raz za razem.

- Już mi więcej nie uciekniesz, ty podła mała pindo! Zabiję cię, jeśli to jeszcze raz zrobisz, przysięgam, że cię zabiję!

Tina usiłowała wolną ręką osłaniać twarz przez ciosami, lecz nie miała żadnych szans z rozjuszonym Mariem. Nadto wydawało jej się, że za chwilę zemdleje z bólu. Musiała zerwać staw skokowy. Szlochała i jęczała, czując zarazem, jak jej policzki płoną.

- Przestań, Mario, proszę!

Wypuścił ją z rąk; osunęła się na ziemię i skuliła niczym embrion. Słyszała, jak Mario ciężko dyszy. Przestał ją bić.

- Wstawaj! - Jego głos zabrzmiał jak z oddali. - Czeka nas jeszcze spory kawałek drogi!

- Nie dam rady - mruknęła. Przydrożny pył przytłumił jej słowa, Mario nie mógł ich usłyszeć. Poczwała jego dłonie na swych ramionach i znów mimowolnie krzyknęła, po czym jeszcze bardziej zwinęła się w kłębek.

- Nic ci nie zrobię - powiedział. Tym razem ostrożnie podciągnął ją w górę i pomógł jej wstać. Natychmiast przełożyła cały ciężar ciała na zdrową nogę; łyzy bólu napłynęły jej do oczu.

- Chyba muszę do lekarza - stwierdziła.

Odgarnął jej długie zmierzwiowane włosy i delikatnie musnął jej rozpalony policzek.

- Z powodu tego?

- Nie. Mojej stopy. Kiedy upadłam... Na pewno jest złamana.

Schylił się i delikatnie obmacał jej nagą kostkę. Spojrzała z góry na jego pochyloną głowę. W filmie, albo gdyby po prostu była niezwykle silną i zdeterminowaną kobietą, unieszkodliwiłaby go, powalając jednym ciosem w kark. Ale jak? Pięścią? Przekraczało to jej możliwości, nie tylko fizyczne, dobrze o tym wiedziała. Zrobiła już to, do czego była zdolna - skorzystała z nadarzającej się okazji do ucieczki, która jednak zakończyła się fiaskiem. Od tej pory mogła tylko próbować swą uległością podtrzymać w nim dobry nastrój.

Mario wyprostował się.

- Nie sądzę, żeby była złamana - oznajmił. - Jest tylko mocno zwichnięta. Jak myślisz, jeśli się na mnie wesprzesz, dasz radę iść?

- Nie wiem... A nie mogę poczekać w samochodzie, zanim sprowadzisz pomoc? - Starła się sprawiać wrażenie, iż w żadnym razie nie zamierza ponownie uciekać, a tylko martwi się o swoją bolącą stopę. Od razu jednak zauważyła, że jego twarz spochmurniała.

- Nie - odparł. - Zostaniemy razem. Musimy dostać się do domu.

- Strasznie mnie boli, Mario. Ja też chcę do domu, ale może najpierw lekarz...

- Nie! - Słowo to zabrzmiało twardo i zdecydowanie. - Ja się zatroszczę o twoją stopę. Jeszcze tylko kawałek drogi przed nami, ale dasz radę. Po co uciekałaś? Nie doszłoby do tego!

Dopiero co okazane zaniepokojenie znów gdzieś się ulotniło. Mario sprawiał wrażenie nieco rozgniewanego i nieprzejednanego, jakby najdrobniejsze niewłaściwe słowo mogło go niebezpiecznie rozdrażnić. Znów zamienił się w niepoczytalnego wroga, który w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą. Tina zarzuciła prawą rękę na jego szyję, on zaś lewą ręką objął ją wpół. Wspierając się w ten sposób, mogła z jakimś trudem poruszać się naprzód, choć ból wciąż jej dokuczał; dreszcz przeszywał ją na myśl o długiej wspinaczce po wybojach.

Przejęta strachem zadawała sobie pytanie, czym okaże się ów „dom” i co Mario zamierza tam z nią zrobić.

## Piątek, 9 czerwca 1995 roku

Poranek zapowiadał gorący, bezchmurny dzień. Było krótko po ósmej, kiedy Maximilian wysiadł z autobusu w Duverelle, a termometr, mimo tak wczesnej pory, wskazywał już dwadzieścia siedem stopni. Słońce, niczym jasny połyskliwy krążek, pięło się po niebie nad wschodnim horyzontem. Podmuch wiatru wzbijał na ulicy tuman kurzu, przynosząc ze sobą intensywną woń rozmarynu.

Maximilian przeszedł powoli obok kilku białych niewielkich domów, minął rynek, na którym okoliczni rolnicy zabierali się właśnie za rozstawianie straganów na dzisiejszy targ. Pachniało świeżym chlebem i prowansalskimi przyprawami. Nie spieszył się, ponieważ teraz, dotarwszy już niemal do celu, miał coraz więcej wątpliwości, co powinien uczynić. Czy Mario był z dziewczyną? Jeśli tak, to z całą pewnością nie powiedział jej ani słowa o tym, że ma brata bliźniaka. Wywołałby ogromne zamieszanie, gdyby pojawił się tak niespodziewanie. Czy mógł tak po prostu zajrzeć do nich i powiedzieć „Cześć, to ja!”? Jego brat byłby przerażony i być może wściekły, natomiast dziewczyna - jeśli z nim była - wystraszyłaby się śmiertelnie.

Do tego wyglądał nieco odpychająco. Jeden z rolników wystawił na sprzedaż parę starych mebli i Maximilian mógł się przejrzeć w lustrze oprawnym w srebrną ramę. Poczul zniechęcenie. Jego twarz pokrywały szare cienie szczecinia-stego trzydniowego zarostu. Oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia. Ubranie było pobrudzone i pomięte, dręczył go głód i ogólne wyczerpanie. Gdy tylko wyjął ręce z kieszeni skórzanej kurtki, zobaczył, jak wyraźnie drżą. Uznał, że wygląda jak zbiegły więzień; dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież w pewnym sensie tak właśnie jest.

Kiedy dotarł do celu, ogarnęło go rzewne, a zarazem przyjemne uczucie. Dom z szarobiałego kamienia, stojący sennie w cieniu wysokich czereśni, był mu bliski od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Budził wspomnienia rodzinnych wakacji z dala od codziennych trosk i kłopotów, pogodnych, długich upalnych dni lata, wieczorów spędzanych w ogrodzie przy grillu. Przywoływał echa spacerów po lawendowych polach i niekończących się marzeń wśród łąk pełnych maków, długich rozmów i beztroskich śmiechów. Symbolizował wszystko, co mogłoby się wydarzyć, co mogłoby wypełnić ich życie. Wszystko to, co utracili.

Stał spokojnie, jakby we śnie, skąpany w porannym słońcu, które odbijało się lśniąco w szybach niewielkich okien, które wychodziły na wschód. Zwilżony rosą ogród wydawał się

kwitnącą oazą. Na frontowej werandzie dostrzegł dwa rozłożone leżaki z pasiastymi biało-żółtymi poduszkami i przewieszony przez oparcie niebieski T-shirt. Ot i beztraska, wakacyjna swoboda. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek kłopoty.

A jednak nagle powróciło uczucie strachu i niepokoju, które skłoniło Maximiliana do wyruszenia w tę podróż. Rozejrzał się wokół, szukając czegoś, co potwierdziłoby jego obawy, jakiejś wskazówki świadczącej o tym, że istotnie coś jest nie w porządku. Z zaskoczeniem stwierdził, iż na podjeździe nie ma samochodu.

Obszedł cały teren, by sprawdzić, czy Mario przypadkiem nie zaparkował gdzie indziej, lecz nigdzie nie znalazł auta. Zdziwiło go to bardzo, ponieważ był przekonany, iż Mario wyruszył w drogę samochodem. Czyżby w ostatniej chwili zdecydował się na podróż pociągiem? Maximilian potrząsnął głową. Obaj mieli lekką klaustrofobię, niechętnie jeździli koleją. Jego brat nie lubił tego jeszcze bardziej niż on. Dobrowolnie by tego nie zrobił.

Dlaczego o tak wczesnej porze nigdzie nie było samochodu? Może Mario pojechał do wsi? Nieco absurdalne, zważywszy niewielką odległość, ale nigdy nie wiadomo. Być może zabrakło im czegoś na śniadanie. W takim razie mógł powrócić lada chwila. Tylko dlaczego Maximilian sam nie wierzył w tę teorię?

Z wahaniem otworzył niską ogrodową furtkę. Pomędzy nieregularnie uformowanymi kamiennymi płytami, prowadzącymi do drzwi wejściowych, pieniały się chwasty. Człowiek, któremu płacili za dogładanie posesji, niezbyt gorliwie przykładał się do pracy. Kto jednak miałby mu to wziąć za złe, po cóż miałby się wysilać? Już od tak dawna nikt z rodziny się tu nie pokazywał!

Maximilian zajrzał do środka przez niewielkie okienko obok drzwi. W garderobie w sieni wisiały dwie lekkie kurtki, a para butów - bez wątplenia damskich - leżała ciśnięta pod stolikiem. A zatem miał rację. Jego brat nie był sam. Zabrał ze sobą dziewczynę.

Przesuwał się wzdłuż ściany aż za narożnik domu, próbując dotrzeć do okna w pokoju dziennym. Kiedy przez nie zajrzał, zobaczył kilka czasopism rozrzuconych na ławie przed sofą oraz pustą szklankę stojącą na telewizorze. Na dywanie leżał zmięty papierek po czekoladzie. Owe ślady nieporządku wskazywały na obecność dziewczyny, bowiem Mario nigdy nie rzuciłby papierka na podłogę ani nie zostawił w pokoju szklanki. Czy to dobrze, czy źle, że dziewczyna była tak niechlujna? Taka sceneria przynajmniej nosiła przyjemny pozór normalności.

Zaczekam, postanowił Maximilian, jeszcze wczesna pora. Zaczekam na rozwój wypadków.

Przysiadł na trawie za bujnie pieniającymi się krzewami rozmarynu. Był niewidoczny



dla innych, sam natomiast mógł obserwować dom. Żaden ruch nie umknie jego uwagi.

Wyciągnął się na wilgotnej od rosy trawie. Noc spędzona na ławce w Awinionie wciąż dawała mu się we znaki. Chciał się położyć tylko na chwilę, tylko na krótką chwilę... Zasnął niemal natychmiast.

- Peter na pewno w mgnieniu oka dowie się, gdzie w Monachium mieszkali Beerbaumowie - zapewniła Karen - a wtedy zasięgnie języka wśród sąsiadów. Zapytał mnie, czy ma podjąć dalsze poszukiwania, powiedziałam jednak, że sami się tym zajmujemy. Po coś tu przecież przyjechalśmy, prawda?

Siedziała razem z Michaeliem przy śniadaniu, w jadalni hotelowej. Z bufetu przyniosła sobie tyle, ile tylko zdołała unieść. Cały stół był zastawiony talerzami i półmiskami. Sprawiała wrażenie, jakby zamierzała skosztować każdego rodzaju muesli, każdego owocu, wszystkich gatunków twarogu, każdego rodzaju pieczywa, nie pomijając serów, wędlin i marmolady. Michael, który wybrał dla siebie bułkę, jajko na miękko oraz dwa plasterki sera, przysunął do siebie swój talerz i filiżankę tak blisko, jak tylko zdołał.

Nic nowego, pomyślał ze złością, ona jest i pozostanie nietaktowna.

Zapraszającym gestem Karen wskazała na stół.

- Oczywiście może się pan wszystkim częstować, Michae-lu. Chyba nie zamierza pan poprzestać na przeżuwananiu tej lichej bułki, nieprawda?

- Z rana nie mam apetytu.

- Ja zazwyczaj także. Ale taki bufet zawsze doprowadza mnie do szaleństwa! - W jej oczach migotały iskierki szczęścia, kiedy lustrowała wzrokiem swe skarby, zastanawiając się, od czego by tu zacząć. W chwilach gdy Karen przemieniała się w zachwycone dziecko, skryte rozdrażnienie Michaela rozpływało się w powietrzu. Miała w sobie coś, co go wzruszało. Nawet dziś z rana, mimo że wyglądała okropnie i kompromitowała go swą zachłannością przy bufecie. Nie uszły jego uwagi szepty i uśmieшки zgromadzonych w jadalni gości. Jej i owszem. Przemknęło mu przez myśl, czy powinien podziwiać jej zupełną obojętność wobec opinii innych ludzi czy raczej nią gardzić.

Włożyła do ust kopiałą łyżkę twarogu z brzoskwiniami i przewróciła oczami.

- Boskie! Spróbuje pan? - Ponownie zanurzyła łyżkę, po czym podsunęła ją Michaelowi pod nos.

Cofnął się.

- Dziękuję. Nie teraz.

Spojrzała nań uważnie. Wyglądał na zmęczonego, sfrustrowanego, dręczonego przez zmartwienia.

- Czy próbował pan jeszcze raz skontaktować się z Tiną? - spytała.

- Wczoraj w nocy. I dziś z rana, a więc o zupełnie nieludzkich porach. Co świadczy o stopniu mojego zaniepokojenia. W normalnych warunkach prędzej odgryzłbym sobie język, niż wyrwał kogoś dzwonkiem telefonu ze snu. - Westchnął i zaczął na drwiącą uwagę, jednak ku jego zaskoczeniu Karen nie skorzystała ze sposobności.

- Owszem - odparła - jak na pańskie zwyczaje robi pan naprawdę osobliwe rzeczy. Chociażby to, że jest pan razem ze mną w Monachium... Nad wyraz niezwykle jak dla pana, prawda?

- Tak. I nie czuję się z tym zbyt dobrze. Wyciągnęła rękę ponad stołem i dotknęła jego ramienia.

- Ejże, panie prokuratorze! Nie robimy nic niewłaściwego!

- Węszymy. Szpiegujemy. Wtykamy nos w sprawy innych ludzi. Pani jest dziennikarką i z pewnością ma inną mentalność, lecz takie postępowanie jest wbrew mojej naturze.

- Ale boi się pan o swoją córkę. A ten Mario wydaje się panu podejrzany.

Michael odsunął od siebie talerz o ten jeden milimetr wolnego miejsca na stole. Stracił apetyt.

- Karen, sam już nie wiem - powiedział znużonym głosem. - Może po prostu wmówiłem to sobie. Albo dałem sobie wmówić. Ja... zbyt długo byłem z Tiną sam. To, że tu siedzę i bawię się w detektywa, jest wynikiem mojej zazdrości i nieustannej czujności wobec córki. Wydaje mi się, że jestem śmieszny.

- A dlaczego nikt nie odbiera telefonów?

- Może Tina domyśla się, że to ja próbuję się dodzwonić, i to ją denerwuje.

Karen energicznym ruchem ścięła główkę jajka i nasypała do niego mnóstwo soli.

- Po śniadaniu ruszam rozpytywać sąsiadów - oznajmiła. - Pan tego nie przetrwa i jeszcze wystraszy mi pan ludzi. Zostaje pan tutaj. Czemu nie pójdzie pan do baru hotelowego? Może pozna pan kogoś miłego?

Obrzucił ją spojrzeniem, pod wpływem którego z zażenowania opuściła powieki.

- Sorry - przeprosiła.

Dogoniła go, kiedy otwierał drzwi samochodu. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Przecież ustaliliśmy, że zostaniesz - powiedział. Janet potrząsnęła głową. Wciąż miała mokre włosy po prysznicu. W porannym świetle wyglądały jak świeżo polerowane srebro.

- To ty postanowiłeś, że zostanę w domu.

- Przystałaś na to.

- Zmieniłam zdanie.

Andrew taksował ją wzrokiem od stóp do głów, po czym uśmiechnął się.

- Pełne uznanie - przyznał - szybka jesteś jak diabli! Kiedy trzy minuty wcześniej pożegnał się z nią w drzwiach mieszkania, była jeszcze w szlafroku. Teraz miała na sobie dzinsy i niewyprasowany biały T-shirt, niedbale wepchnięty w spodnie. Na ramiona zarzuciła szary wełniany sweter, którego rękawy związała na piersiach. Bose stopy wcisnęła w czarne wieczorowe sandały ze złotą sprzączką; widocznie była to pierwsza z brzegu para butów, na jaką natknęła się w tym pośpiechu. Nieumalowana twarz pod mokrymi włosami sprawiała wrażenie bardzo młodzieńczej. Zamiast torebki zabrała szminkę, tusz do rzęs i konturówkę do oczu; w triumfalnym geście pokazała je Andrew na otwartej dłoni.

- Resztę zrobię w samochodzie! Mam tu wszystko, czego mi trzeba!

Skapitulował. Pod żadnym pozorem nie chciał mieć jej przy sobie przez najbliższych kilka godzin, kiedy to będzie musiał przełknąć gorycz porażki. Teraz jednak uświadomił sobie, że tak czy owak znała jego samopoczucie, toteż mógł zarzucić tę swoją niedorzeczną dumę. Poprzedniego dnia w Cambridge zapytał ją, czy chciałaby zostać jego żoną, co oznaczało, że poprosił ją, by stała się częścią jego życia. Na dłuższą metę nie mógł i nie chciał ukrywać przed nią tego aspektu swojego życia - niepohamowanej ambicji, głębokiej, bolesnej urazy, jaką odczuwał, kiedy spotykało go niepowodzenie. Jakby domyślając się, co go nurtuje, powiedziała:

- Chcę znać cię całego, Andrew. Nie tylko twoje przyjemne i nieskomplikowane strony.

Obszedł samochód dokoła i otworzył drzwi dla pasażera. Na sali rozpraw będą stanowić zabawną parę: on w ciemnym garniturze i pod krawatem, ona zaś w swoim wymiętym stroju i zupełnie do niego niepasujących sandałach. Na tę myśl uśmiechnął się, a z jego twarzy zniknęło napięcie.

- Mam nadzieję - odezwał się - że spotkanie z moimi mrocznymi stronami za bardzo cię nie przerazi.

Roześmiała się i pocałowała go; zdawało jej się w tym momencie rzeczą absolutnie wykluczoną, by kiedykolwiek i cokolwiek w Andrew mogło ją naprawdę przerazić.

Żywopłot z rozmarynu dawał cień przez wiele godzin, teraz jednak słońce powędrowało dalej i stanęło w zenicie, śląc promienie pionowo na ziemię. Nieznośny upał wyrwał Ma-ximiliana ze snu. Przetarł oczy, usiadł i spojrział na zegarek. Było już prawie pół do pierwszej po południu. Jak mógł przepaść tyle czasu?

Zły na siebie podpełzł na skraj zarośli i zerknął w stronę domu. Wciąż spowijała go absolutna cisza, zdawał się tak samo opuszczony jak wczesnym rankiem. Na tarasie nic się nie zmieniło, nigdzie nie otwarto żadnego okna. I nadal na podjeździe nie parkował żaden samochód.

Podniósł się, wykrzywiając twarz w grymasie, bowiem od długiego leżenia na twardej ziemi poczuł ból w kościach. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez ogród, nie kryjąc się dłużej przed nikim, kto mógłby teraz wyjrzeć z okna. Był pewien, że nikogo nie ma w domu, nikt też nie przyszedł ani stąd nie odszedł w ciągu tych kilku godzin, jakie przedrzemał w ogrodzie. Dom był pusty, i to przez całą noc, być może nawet już od dłuższego czasu. A jednak jego brat oraz dziewczyna wcale nie zmienili celu swej podróży - oni tu byli. Dokądkolwiek się udali, mieli zamiar powrócić. Mario nigdy by nie zostawił na tarasie poduszek ani T-shirtu. Dla innych może i nie był to wystarczający dowód, niemniej Maximilian, który znał swego brata bliźniaka jak nikt inny, ani przez chwilę nie wątpił w słuszność swych wniosków. Zamierzali tu wrócić. Dlaczego tego nie zrobili?

Drzwi prowadzące na taras otwarły się po mocniejszym szarpnięciu. Co prawda zamknięto je, lecz nie zaryglowano od wewnątrz. Pewnie przez nieuwagę, która w tej wiosce raczej nie mogła okazać się zgubna w skutkach. Maximilian nie słyszał, by kiedykolwiek doszło tu do włamania czy kradzieży.

Przeszedł przez pokój dzienny, zajrzał do kuchni. Panował tam względny porządek, jednak umyte naczynia wciąż stały na ociekaczu, a nie w szafkach. Na stole leżało kilka francuskich banknotów oraz bankowy formularz wymiany pieniędzy. Na niewielkiej zacienionej werandzie na tyłach domu również stały rozłożone leżaki; na jednym z nich porzucono książkę.

Maximilian wyszedł z kuchni i udał się powoli po skrzypiących schodach na pierwsze piętro. W łazience od razu zauważył szereg damskich przyborów: miękką szczotkę do włosów, kosmetyczkę z pomadkami do ust, krem, mleczko oczyszczające. Przyborów, z którymi prawie żadna kobieta się nie rozstaje, jeśli zamierza spędzić noc z dala od domu. Nawet szczoteczki do zębów znajdowały się w kubkach. Maximilian zmarszczył czoło.

Zlustrował pokój Maria, spojrział na fotografię Janet umieszczoną na nocnym stoliku. W szafach panował absolutny porządek. Swetry i T-shirty były starannie poskładane w kostkę i ułożone jeden na drugim, spodnie wisały na wieszaku. Łóżko wyglądało tak, jakby nikt nigdy w nim nie spał.

Maximilian zajrzał do pozostałych pokoi na pierwszym piętrze, nie znalazł tam jednak choćby śladu obecności dziewczyny, toteż udał się w końcu na poddasze. A zatem Mario dla

owej chodzącej pokusy przeznaczył pokój położony możliwie jak najdalej od własnego. Miał wrażenie, że zachowuje się nieco niedyskretnie, zaglądając do szaf i szuflad. Młoda dama powrzucała wszystko w sposób dość chaotyczny. Pod stołem stała jej walizka. Na wywieszce przypiętej do rączki Maximilian znalazł nazwisko: Christina Weiss.

W każdym razie także i w jej pokoju nic nie wskazywało na to, by zamierzali wyjechać.

Głęboko zaniepokojony zszedł po schodach na dół. Kiedy przechodził obok otwartych drzwi do gabinetu, przystanął. Uprzednio tego nie zauważył, teraz jednak od razu rzuciło mu się to w oczy: telefon nie stał na swoim miejscu. W ogóle nie było go w pokoju. Ktoś wyłączył go z gniazdka i... może schował, może zniszczył, tak czy owak zerwał łączność tego domu ze światem.

Maximilian przysiadł na najwyższym stopniu schodów. Jego obawy potęgowały się z każdą chwilą, zaczynał nim targać wewnętrzny niepokój. Oparł głowę na rękach i zamyślił się. Musiał się dowiedzieć, dokąd Mario mógł pójść z tą Christiną. Przeczynał, że zostało mu niewiele czasu.

Ze starym człowiekiem był jeden kłopot - za dużo mówił. Z trudem przechodził do sedna sprawy. Z ochotą opowiedziałaby Karen historię całego swego życia - „proszę sobie wyobrazić, przeżyłem obie wojny!” - ona zaś raz za razem musiała mu delikatnie przypominać o właściwym celu jej wizyty.

- Miał mi pan opowiedzieć o rodzinie Beerbaumów...

Szybko odnalazła ich dawny dom - okazała, obrośniętą bluszczem willę w dzielnicy Nymphenburg. Kiedy zadzwoniła do drzwi, pokazała się mała dziewczynka i poinformowała, że rodziców nie ma w domu, a jej nie wolno nikomu otwierać. W sąsiednim domu po lewej zastała młodą kobietę o zmierzwiionych włosach i zaczerwienionej twarzy, której najwidoczniej przeszkodziła w porządkach, gdyż trzymała ona w rękach zmiotkę i była w kiepskim humorze.

- Nie mam czasu, nic nie kupię, do widzenia! - Drzwi zatrzasnęły się, zanim Karen zdążyła się przedstawić.

U sąsiadów z prawej strony dopisało jej szczęście. Starzec, który ukazał się w drzwiach, miał w oczach ów pełen nadziei blask, jaki u samotnego człowieka pojawia się na widok nieoczekiwanego gościa. Od razu zrozumiała, jak puste pędził życie, jak wielka monotonia wypełniała jego ciągnące się bez końca dni. Jeśli cokolwiek wie o Beerbaumach, chętnie o tym opowie, powoli, ze szczegółami, starając się możliwie jak najdalej odsunąć w czasie chwilę, kiedy Karen się pożegna. Z pewnością będzie ją to kosztować trochę nerwów,

jednak człowiek ten będzie mówić.

Przedstawiła się i powiedziała, że jest dziennikarką; zgodnie z jej przypuszczeniami nie zażądał okazania ani dowodu tożsamości, ani żadnej legitymacji. Od razu zaprosił ją do pokoju dziennego zastawionego starymi masywnymi meblami i książkami, podsunął fotel i zapytał, czy napije się kawy lub herbaty.

- Nie, dziękuję. Dopiero co zjadłam śniadanie. Panie Frank - jego nazwisko odczytała na wywieszce przy dzwonku do drzwi - chciałabym porozmawiać z panem o rodzinie Beerbaumów. Mieszkali po sąsiedzku. Czy pan ich znał?

- Młoda damo - odparł z dumą Albrecht Frank - mieszkam w tym domu od roku 1938! Znałem wielu mieszkańców tej ulicy, oczywiście także Beerbaumów. Pani jest tu - zniżył nieco głos - z powodu tej historii?

A więc istniała jakaś historia. Historia na tyle niezwykła, iż starszy człowiek zaczynał szeptać? Karen wiedziała, że mogło tu chodzić o zwykłe sąsiedzkie plotki. Pan Beerbaum zdradzał żonę albo Mario powtarzał klasę. A jednak obudził się w niej instynkt dziennikarskiego tropiciela. Ukrywając swą zupełną nieznaną sprawę, a zarazem mając świadomość, że jej słowa brzmią w uszach Albrechta Franka jak najpiękniejsza muzyka, powiedziała:

- Muszę dowiedzieć się wszystkiego, i to od samego początku.

- Ja wiem wszystko - odparł pośpiesznie Albrecht. - Proszę sobie nie myśleć, że podsłuchuję pod drzwiami obcych ludzi... Ale człowiek dowiaduje się o tym i owym, a kiedy mieszka się samemu, jak ja, sąsiedzi stają się jeszcze ważniejsi. Moja żona zmarła pod koniec lat siedemdziesiątych, od tego czasu czuję się bardzo samotny. Dzieci pożeniły się w Ameryce. Nie mamy zbyt wielu okazji do spotkań, nawet jeśli oczywiście...

- Rozumiem, że słyszał i widział pan co nieco - przerwała łagodnie Karen. - Tego nie da się uniknąć na takim osiedlu.

- Bardzo lubiłem tych chłopaków - powiedział Albrecht - choć oczywiście nie potrafiłem ich rozróżnić. Ale obaj...

- Chwileczkę! - Karen wyprostowała się i spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. - Chłopcy? Rozmawiamy o Beer-baumach, czy tak? - Miejmy nadzieję, że starcowi nic się nie poplątało.

Przytaknął głową.

- Tak. Mieli dwóch chłopaków. Maria i Maximiliana. Bliźniaków. Wyglądali zupełnie tak samo. Myślę, że tylko matka potrafiła ich rozróżnić.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się zmieszana Karen - wygląda na to, że mój szef nie

przekazał mi wszystkich informacji. Dotąd sądziłam, że mieli tylko jednego syna, Maria.

- Dziecinko, pani szef chciał się przekonać, czy sama dotrze pani do faktów. Jak to dobrze, że mnie pani spotkała. Znam wszystkie szczegóły.

Czyżby Dana zapomniała o bracie? Karen uznała to za mało prawdopodobne. Chodziło nie o jakiegoś tam brata, chodziło o jednojajowego bliźniaka. Dana dość często opowiadała o Mariu, na pewno byłaby wspomniała o Maximilianie, gdyby wiedziała o jego istnieniu. A zatem również Tina nie miała o tym pojęcia. Dlaczego Mario ukrywał swego brata?

- Czy w tej rodzinie nie wszystko się układało? - zapytała ni stąd, ni zowąd.

Albrecht Frank zachichotał.

- Można tak rzec. Nie wszystko się układało. Choć z początku wydawało się, że to wzorowa rodzina. On był doradcą podatkowym, ona pracowała razem z nim. Energicznie pomagała przy urządzaniu kancelarii. Roztropna kobieta. i ładna. - Zamrugał powiekami. - Zauważył to nawet taki starzec jak ja!

- Wydawało się, że to wzorowa rodzina...?

- No tak, dobrze się zachowywali. Potem urodzili się chłopcy. Obaj zdrowi i weseli. Wszystko zdawało się w jak najlepszym porządku. I wtedy pojawił się on... - Albrecht znów ściszył głos.

- On?

- Janet, czyli Janet Beerbaum, matka, przez sześć lat miała romans z innym mężczyzną. Zaczęło się to wkrótce po narodzinach dzieci.

- Och...

- Wszyscy na tej ulicy o tym wiedzieli. To znaczy, oni sami nie za bardzo się starali trzymać całą tę historię w tajemnicy. On przychodził do niej prawie codziennie. Z wyjątkiem weekendów, wtedy jej mąż zostawał w domu. Ale poza tym... zawsze w południe. Pewnie podczas jego przerwy obiadowej.

- I jest pan pewien...?

- Że był jej kochankiem? Ależ droga pani, tego po prostu nie dało się przeoczyć. Czasem przez przypadek widziałem, jak ona go wita w drzwiach. No więc, tak się nie wita znajomego czy krewnego. W taki sposób kobieta wita mężczyznę, którego kocha.

Widziałeś przez przypadek, no jasne, pomyślała Karen. Pewnie wyciągała szyję jak żuraw, żeby to dokładnie zobaczyć. Żadne zdarzenie na tej ulicy nie mogło ująć twojej uwagi.

- Czasem widywałem, jak się z nim żegna. Miała na sobie płaszcz kąpielowy. Myślę, że...

- ...to brzmi całkiem jednoznacznie, owszem.

- Sześć lat - ciągnął z przyjemnością Albrecht. - Trzeba to sobie wyobrazić! I zawsze w obecności dzieci. Co prawda to były jeszcze niemowlęta, ale później na pewno co nieco zauważyły. Wszyscy byliśmy oburzeni.

Karen spojrzała na niego, zamyślona.

- Sześć lat. Cała ulica o tym wiedziała. Według mnie to dziwne, że nic z tego nie dotarło do uszu męża.

Albrecht potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Wszyscy tu szepczą między sobą... Nie mam całkowitej pewności, ale jeśli mam być szczery: on o tym wiedział. Przez wszystkie te lata.

- Ale...

- No cóż, tego nikt nie potrafił zrozumieć. Widocznie nie zareagował. Oczywiście nie wiadomo, co między nimi zaszło. - Brak wiedzy w tej kwestii wyraźnie go martwił. - Ale skoro oboje ciągnęli to nadal... Wydaje się, że on jakoś się z tym pogodził.

- Kim był ten mężczyzna? Albrecht wzruszył ramionami.

- Tego dokładnie nie wiem. Kilka razy zagadnąłem go na ulicy. Z trudem mnie rozumiał. Był Anglikiem. Pani Beerbaum także jest rodowitą Angielką. Może знаła go z dawnych czasów. Młodzieńcza miłość.

- Zatem coś się jednak działo za tą mieszczańską fasadą - rzekła Karen.

Albrecht przytaknął.

- Chyba tak. Kiedyś spytałem tego jej... no, tego Anglika, gdzie pracuje. Jeśli dobrze zrozumiałem, był prawnikiem i pracował w dziale prawnym jakiejś brytyjskiej firmy... może banku? Nie pamiętam.

- I po sześciu latach znajomość urwała się?

- Wydaje się, że nastąpiło to z dnia na dzień. On już się nie pojawił. Może wrócił do Anglii. Nie wiem, czy Beerbaum powiedział w końcu stanowcze dość, czy może Anglikowi znudziło się bycie tylko kochankiem. Może zażądał od Janet podjęcia decyzji. Przypuszczam, że ze względu na dzieci postanowiła zostać z mężem. Musi pani wiedzieć, że ubóstwiała swych synów. Z pewnością chciała ratować dla nich rodzinę.

Jej dzieci. Karen wciąż łamała sobie głowę, dlaczego jak dotąd nikt nie wiedział o istnieniu drugiego brata bliźniaka. Wydawało jej się to nieco podejrzane. Lecz nie dostrzegła jeszcze żadnego związku. Janet Beerbaum latami zdradzała swego męża. On się z tym pogodził. Tak czy owak, nie był to zupełnie normalny świat, w jakim dorastał Mario. A jednak nie znalazła w tym wszystkim punktu zaczepienia.



- Co się stało potem? - spytała.

- Jeszcze przez długi czas Janet sprawiała wrażenie przygnębionej. Wydaje mi się, że nie mogła pogodzić się z rozstaniem. No cóż, poza tym... chyba powracał spokój.

- Chyba? Czy może spokój rzeczywiście powrócił? Albrecht znów wzruszył ramionami.

- A wiadomo to w przypadku takiej rodziny? Wszystko zdawało się układać. Proszę powiedzieć, naprawdę nie napije się pani kawy? Albo herbaty?

- Dziękuję. Naprawdę nie.

- Każdego lata wyjeżdżali na południe Francji. Mieli tam dom letni. Bliźniaki dorastały. Miłe z nich chłopaki. Nie byli tacy jak to dzisiejsi młodzi ludzie. Rozumie pani... co to szaleją na swoich motorowerach, piją, palą i co dzień chodzą z inną dziewczyną. Nie, Beerbaumowie tacy nie byli. Jeden z nich przez krótki czas miał problemy w szkole... wagarował czy coś takiego... ale wkrótce się ustatkował.

Rzeczywiście jesteś świetnie poinformowany, pomyślała Karen.

- Tak - powiedział Albrecht; w jego głosie pobrzmiwała nutka żalu. - Wiem, że jest pani rozczarowana. Sądziła pani, że powinniśmy byli się czegoś domyślić, prawda? Czegoś... czegoś, co wskazywałoby na to... Ale nic takiego się nie pojawiło. Absolutnie nic.

Karen zmarszczyła czoło.

- Wskazywałoby na to? Na co? Na co miałyby wskazywać? Teraz to Albrecht spojrział na nią ze zdumieniem.

- Przecież jest tu pani z powodu tej historii.

- Ja... - zaśmiała się nerwowo. - Wygląda na to, że mój szef rzeczywiście chciał mnie wystawić na próbę... Nie wiem, o czym pan teraz mówi...

Każdy inny człowiek nabrałby w tej chwili podejrzeń. Lecz Albrecht Frank, nawet jeśli ta kompletnie nieświadoma dziennikarka wydała mu się dziwna, nie potrafiłby się teraz wycofać. Śluz zostały otwarte, nic nie mogło powstrzymać kaskady słów.

- Dobry Boże - odparł - myślałem, że pani wie. Myślałem, że zjawiała się pani z tego właśnie powodu. Z powodu dziewczyny...

- Dziewczyny?

Znów zaczął mówić szeptem.

- To ja ją wówczas znalazłem. Tam, w domu. Leżała w kałuży krwi. Na szyi widać było ślady po duszeniu... Myślałem, że nie żyje. Z całą pewnością on tego chciał. Mam na myśli Maximiliana. Później sam to potwierdził. Owey zimnej nocy przed sześcioma laty usiłował zabić tę dziewczynę.

Siedziała w taksówce zmierzającej do hotelu i miała wrażenia jakby ktoś uderzył ją obuchem w czoło. Była oszołomiona-To, czego się dowiedziała w ciągu ostatniej godziny... to było za wiele jak na jeden raz. Najpierw poznała historię o bra-cie bliźniaku, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział, by zaraz potem odkryć, że jest mordercą... Prawie mordercą! Dziewczynę udało się uratować. Ale przez całe tygodnie leża-ła w śpiączce, a od chwili wybudzenia wymaga stałej opieki-Skazana na wieczne obłąkanie, na życie na wózku, na absolutną bezradność.

- Wszyscy wówczas sądzili - opowiadał Albrecht - że byłoby lepiej, gdyby umarła.

Maximilian i Mario mieli wtedy po osiemnaście lat, byli tuż przed maturą. Maximilian zaprzyjaźnił się wówczas z peW-ną dziewczyną, bardzo ładną, o długich blond włosach.

- Wyglądała tak, jak Janet Beerbaum musiała wyglądać za młodu. Ale przecież niejeden chłopiec jest zapatrzony we własną matkę, prawda? - ciągnął Albrecht.

Ładna dziewczyna o długich blond włosach. Jak Tina-Było to w roku 1989. Albrecht doskonale pamiętał trzaskający mróz owego marcowego wieczoru.

- Jakby wiosna miała nigdy nie nadejść... - Tamtego dnia zadzwoniła jego córka; Karen z trudem zdołała go p°owstrzymać od szczegółowej relacji na temat kariery tej k°obiety. Janet i Phillip Beerbaumowie wyjechali na dwa dni na kongres specjalistów podatkowych. Zabrali ze sobą Ma~ ria. - W owym czasie chciał po maturze zająć się podatkami. Myślę, że w przyszłości zamierzał podjąć pracę w kancelarii rodziców.

Maximilian został w domu sam. Albrecht zaszedł do niego po południu, by zapytać, czy mu czegoś nie trzeba. Maximilian odparł, że sobie poradzi. Wyglądał blado. No cóż, przez cały czas, jak to przed maturą, siedział oczywiście przy biurku.

- Myślę, że nie spodziewał się tej dziewczyny. Swojej przyjaciółki. Sprawiał wrażenie... niezbyt ucieszonego. Zjawiła się późnym wieczorem. Było już zupełnie ciemno. Właśnie przypadkiem wyjrzałem przez okno...

Dla policji, pomyślała Karen, taki człowiek jest po prostu nieoceniony. Znudzony starszy mężczyzna, który stale ma na wszystko oko. Wymarzony świadek.

- Usłyszałem mianowicie, że Griinbergowie się kłócą. Mieszkali wówczas naprzeciwko. Sprzecjali się bez przerwy, bo on miał kochankę... No więc wyjrzałem i zobaczyłem, że ta dziewczyna dzwoni właśnie do drzwi Beerbaumów. Mówię pani... to był naprawdę mroźny wieczór. Może nawet prószył śnieg. A ona mimo to miała na sobie minispódniczkę i była w cienkich rajstopach i w szpilkach. Zupełnie inaczej niż zwykle, rozumie pani. Nigdy się jakoś szczególnie nie stroiła. Ale pewnie wiedziała, że Maximilian został w domu sam. Może chciała wykorzystać okazję. Aha, pomyślałem sobie, myszy

harują, gdy kota nie czują! Tak mówią. Ona chciała... moim zdaniem, chciała zostać na noc, rozumie pani, co mam na myśli.

Karen zapewniła, że doskonale rozumie. Albrecht opowiadał dalej.

- Maximilian, otwierając drzwi, miał nieco ponurą minę. Wydawało się nawet, że waha się, czy ją wpuścić. Cóż mu jednak pozostało, było zimno i ciemno, ona zaś przyszła specjalnie do niego i spojrzała nań promiennym wzrokiem... Po chwili oboje zniknęli we wnętrzu domu.

- Tamtego wieczoru oglądałem telewizję i trochę przysnąłem. Kiedy się ocknąłem, dochodziła już północ. Z początku myślałem, że obudziło mnie coś w telewizji, ale emitowali jakiś niemy film... a potem usłyszałem muzykę. Naprawdę głośną, dudniącą muzykę. O wiele za głośną, zważywszy na porę. Nie mogłem tego zrozumieć, nikt w okolicy nie był aż tak bezczelny. Dobiegała z domu Beerbaumów, więc wstałem i wyjrzałem przez okno.

To, co zobaczył, zaskoczyło go. Cały dom Beerbaumów był rozświetlony; w każdym pokoju paliło się światło. Wszystkie okna na pierwszym piętrze były otwarte na oścież. Strasznie głośna muzyka ryczała w nocnej ciszy; jak się później okazało, była to opera Wagnera.

- To było naprawdę przerażające. Pomyślałem, że coś tu nie gra. Coś mi podpowiadało, bym lepiej poszedł i sprawdził, co się tam dzieje, lecz nie miałem odwagi. Bałem się, że narażę się na śmieszność. Młodzi przebrali nieco miarę i jeśli się tam pojawię... Do dziś nie mogę sobie darować, że od razu nie poszedłem za głosem instynktu. Wiedziałem, że to zupełnie do Maximiliana niepodobne. Jego zachowanie wobec tej dziewczyny było niezwykle... cnotliwe. Orgia przy dzikich dźwiękach muzyki... wydawała się absurdem.

Potem Albrecht położył się spać. Jego sypialnia mieściła się w innej części domu, toteż mimo głośnej muzyki udało mu się zasnąć. Nazajutrz natychmiast przypomniał sobie o wydarzeniach poprzedniego wieczoru, dlatego wyjrzał przez okno. Muzyka ucichła, lecz nadal paliły się wszystkie światła i wszystkie okna były otwarte.

- Postanowiłem jednak tam pójść. Miałem powiedzieć, że idę po bułki, i chciałem zapytać, czy im czegoś nie przynieść. Kiedy zjawiłem się przed domem, drzwi były otwarte na oścież; nikt nie odpowiedział na dzwonek ani wołanie. Wszedłem do środka...

Na parterze nie odkrył nic niepokojącego. W pokoju dziennym na odtwarzaczu CD nadal świeciła się czerwona dioda, sygnalizując, że urządzenie było włączone. Odtwarzanie płyty dobiegło jednak końca. Skala głośności nastawiona była na maksimum.

Albrecht ostrożnie wszedł po schodach. Na górze panował nieopisany bałagan. Obrazy były porzucane ze ścian, wazony z kwiatami przewracane, postrącane książki.

Wyglądało to tak, jak gdyby rozegrała się tu bitwa, jakby miała tu miejsce walka na śmierć i życie.

Z wahaniem przeszedł przez wszystkie pokoje; strach go obleciał na myśl, na co się w końcu może natknąć. Przeczuiwał, że odkryje coś przerażającego. I wtedy ją znalazł. W pokoju jednego z chłopców - pokoju Maximiliana, jak się później dowiedział. Leżała na podłodze, blada jak płótno, z zamkniętymi oczami. Jasny dywan wokół jej głowy był nasączony krwią, sinoczerwone ślady duszenia szpeciły jej szyję. Wydawało się, że nie żyje.

- Zamarłem. Stałem, nie wiedząc, co począć. To było niepojęte... straszne. A potem nagle dostrzegłem, że ona wciąż oddycha. Bardzo słabo. Chwyciłem za telefon i wezwałem pogotowie.

- I... sprawcą był Maximilian? - zapytała schrypniętym głosem Karen.

Albrecht przytaknął.

- Dwa dni później zgłosił się na policję. Chciał ją udusić. Podczas szamotaniny upadła i uderzyła głową o kant biurka, stąd taka paskudna rana i mnóstwo krwi. Maximilian uznał, że nie żyje, i zostawił ją na podłodze.

- Dobry Boże! A teraz... siedzi w więzieniu? Albrecht potrząsnął głową.

- Biegły uznał go za niepoczytalnego. Chorego psychicznie. Siedzi teraz w zakładzie zamkniętym, gdzieś na północy Niemiec. Rodzina przeniosła się chyba do Hamburga. Tutaj nie śmieli spojrzeć ludziom w oczy. To zrozumiałe...

Próba morderstwa. Klinika psychiatryczna. Dziewczyna, która do końca życia pozostanie kaleką. Brat bliźniak, którego istnienie rodzina pomija milczeniem. Kochanek matki; ojciec, który znosi to w milczeniu. Chaos za mieszczańską fasadą Karen siedziała w taksówce, a w jej głowie wirowały strzępy wszystkich tych myśli. Niesłychana historia, którą musi natychmiast przekazać Michaelowi. Jak zareaguje, kiedy się dowie, że jego córka podróżuje z mężczyzną, którego brat jest chory umysłowo, usiłował zamordować dziewczynę, a teraz siedzi w zakładzie zamkniętym?

Dotarłszy do hotelu, zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła z samochodu. Natknęła się na Michaela w foyer. Podniósł się z miejsca i wyszedł jej naprzeciw. Jego mina wyrażała dezaprobatę - ale wobec czego? Jej fosforyzująco żółtych legginsów, krzykliwie żółtego swetra, czerwonych butów?

Nie będzie to dziś jedyny szok, jakiego dozna, pomyślała. Stanął przed nią.

- I? - spytał krótko. Westchnęła.

- Myślę, że coś mam - odpowiedziała.

Na krótko przed ogłoszeniem wyroku przez ławę przysięgłych. Fred Corvey stał się

niecو nerwowy. Janet obserwowała go z ukosa i zauważyła, iż poblądł jeszcze bardziej. Niespokojnie wiercił się na krześle. Przed południem zachowywał się zupełnie inaczej. Demonstrował swą niesłychaną zarozumiałość i arogancję, odpychającą pewnością zwycięstwa. Prokurator dzielnie walczył, usiłując jak najlepiej wykorzystać niewielką liczbę niewystarczających poszlak, które przemawiały na niekorzyść Corveya. Z uporem kładł nacisk na nagłe zniknięcie samochodu, który został zezłomowany szybko, zbyt pochopnie, co było z korzyścią dla oskarżonego - tym samym pozbyto się obciążającego dowodu w sprawie. Pracownika złomowiska, na które swego czasu trafił ów pojazd, wziął ostro w obroty; nalegał na to, by składał zeznania pod przysięgą. Zarzucił mu, że przyjął od Corveya pieniądze w zamian za natychmiastowe zezłomowanie samochodu. Jednakże ów młody człowiek - szczwany lis, oziębły do szpiku kości - zdecydowanie zaprzeczył tym zarzutom. W żadnym wypadku nie mogło być mowy o przekupstwie. To czysty przypadek, że samochód zniknął tak szybko. Kiedy prokurator przypomniał mu, iż grozi mu zarzut krzywoprzysięstwa, jeśliby jego zeznanie okazało się fałszywe, ten wzruszył tylko ramionami.

Prokurator zwrócił uwagę na okoliczność, iż Corvey często przebywał w Basildon u ciotki, o czym mogą zaświadczyć sąsiedzi, do których dotarł i przesłuchał każdego z osobna. Część tych odwiedzin przypadła w czasie, kiedy porywano kobiety.

Nadto miejsce zbrodni znajdowało się w pobliżu miasteczka. Corvey miał niejedną okazję, by w trakcie swych wędrówek wynaleźć ów stary dom i upewnić się, że nikt tam nie zagląda. Głównym punktem oskarżenia było oczywiście przyznanie do winy - złożone przez Corveya dobrowolnie, w obecności kilku funkcjonariuszy policji, po odczytaniu mu wszystkich jego praw, w szczególności prawa do odmowy składania zeznań. Niech ława przysięgłych sama rozstrzygnie o tym, czy za wiarygodne można uznać to, iż Corvey dopiero na początku rozprawy głównej nagle uświadomił sobie, że znalazł się jakoby pod presją, był zupełnie zmieszany i w stanie obłąkania opowiedział o rzeczach, ze znaczenia których nie zdawał sobie sprawy.

Prokurator wypadł świetnie, lecz podobnie zaprezentował się też obrońca Corveya. Zachowywał się przy tym tak, jakby zarzuty wysunięte przeciwko jego klientowi uznał wręcz za śmieszne, gdyż „społeczeństwu chce się koniecznie pokazać mordercę, nawet za cenę wsadzenia za kratki niewinnego człowieka”!

Za swój triumf uznał opinie dwóch biegłych psychiatrów, którzy, niezależnie od siebie, przez dwa ostatnie dni całymi godzinami zajmowali się Corveyem. Co prawda obaj zastrzegli, iż nie mieli do dyspozycji wystarczająco dużo czasu na dogłębną analizę przypadku Corveya, a jednak poświadczili niezwykle chwiejność charakteru oskarżonego,

jego paniczny wprost strach przed autorytetami, głęboko urażone poczucie własnej wartości, jak również skłonność, by w sytuacjach krytycznych tudzież odbieranych przezeń jako budzące lęk reagować nerwowo, a nawet działać w stanie „zawieszenia emocjonalnego”. Nie zauważyli natomiast niczego, co mogłoby świadczyć o anomalii seksualnej czy też o jakiejś szczególnej skłonności do przemocy.

Dr Harrold, starszy z nich, powiedział z wielkim spokojem:

- Jeśliby mnie zapytać, czy uznaję Freda Corveya za zdolnego do popełnienia zarzucanych mu zbrodni, byłbym zmuszony zgłosić pewne wątpliwości. Natomiast gdyby zapytać, czy uważam za możliwe, by podczas przesłuchania przez funkcjonariuszy policji fałszywie złożył przyznanie do winy, odpowiedziałbym, iż w żadnym razie nie można tego wykluczyć.

Corvey miał minę, jakby dźwigał na swych barkach cały ciężar świata. Gdy sędzia dokonywał podsumowania, w którym raz jeszcze przytoczył najważniejsze punkty oskarżenia i obrony, Corvey odwrócił się i posłał Andrew łagodny uśmiech, zaś Janet rzucił spojrzenie, w którym krył się cień wzgardy. Janet znów poczuła przerażenie, jakie ogarnęło ją podczas ich pierwszego spotkania. Ścisnęła dłoń Andrew, on zaś z wdzięcznością odwzajemnił jej gest.

Na sali sądowej Janet zauważyła również matkę Freda Corveya. Ubrała się wytwornie; założyła kwiecistą jedwabną suknię w kolorach żółtym i turkusowym, zrobiła też sobie trwałą ondulację, którą bez wątplenia nałożył jakiś niewprawny fryzjer. Na twarzy była czerwona jak rak i cała dygotała ze strachu.

Obok niej siedział młody człowiek, ten sam, który towarzyszył jej w restauracji. Wydawało się, że stara się ją uspokoić, najwyraźniej jednak na próżno. Janet zrozumiała, że ta kobieta była u kresu sił. Wyrok skazujący złamałby jej serce.

Corvey przybrał minę, jakby był przekonany, że dzięki swemu sprytowi zdołał przechytrzyć cały brytyjski wymiar sprawiedliwości. Obserwując go, Janet mogła sobie wyobrazić, co przeżywa Andrew. Gniew na niesprawiedliwość, z którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyjdzie mu się pogodzić; złość na system, który nie był w stanie dostatecznie chronić ofiary; ból zrodzony ze świadomości, iż kolejne niewinne kobiety stracą życie, zanim na podstawie dowodów będzie można zamknąć Corveya w więzieniu. Janet wiedziała, że Andrew w głębi ducha przyrzekł Corveyowi, że wsadzi go za kratki, nawet jeśli miałby to być ostatni uczynek w jego życiu.

Kiedy przyglądała się obu mężczyznom, odniosła bardzo dziwne wrażenie. Mogła nieomal wyczuć śmiertelną nienawiść, jaką pałał Andrew; przeszedł ją dreszcz niepokoju. Nie dawał tego po sobie poznać, był jak zawsze opanowany. Może nieco bledszy na twarzy niż

zazwyczaj, lecz mógł to zauważyć jedynie ten, kto go dobrze znał. Jednakże wewnątrz trawił go ogień, ogień śmiertelnej ambicji, straszliwej niemożności pogodzenia się z porażką. Po raz pierwszy od dnia, w którym go poznała, Janet dostrzegła w nim cień otchłani. Nie trwało to długo; jedynie przez kilka ulotnych chwil zobaczyła wyraźnie, jak niszczycielskie siły tkwią w jego wnętrzu. Przeraziła się. Ów moment niewytłumaczalnego, intuicyjnego wejrzenia przeminał; znów miała przed oczami salę rozpraw, zgromadzonych ludzi oraz znajomą twarz Andrew. Naraz wydało jej się to nedorzeczością. Miała niezdrową skłonność do dostrzegania widm i z pewnością powinna częściej przywoływać się do porządku.

Ława przysięgłych udała się na naradę, jednak po niepokojąco krótkim czasie powróciła na salę. Widzowie - a każdy z nich, może z wyjątkiem pani Corvey, był przekonany o winie Freda Corveya - mieli nadzieję, że w oczach oskarżonego jeszcze raz zobaczą strach i przerażenie. Wydawało się, że mimo pewności wygranej zaczyna ogarniać go niepokój... Jednakże po chwili sędziowie wobec braku dowodów uznali go za niewinnego i uwolnili od zarzutu wielokrotnego morderstwa.

Starsza pani Corvey wydała okrzyk; czerwień jej policzków pogłębiła się. Potem wybuchnęła łzami. Adwokat Corveya wstał i uścisnął dłoń swego klienta.

Janet położyła dłoń na kolanie Andrew.

- To nie jest ostatnie słowo w tej sprawie - szepnęła. - Następnym razem to ty zwyciężysz!

Jego usta zwięzły się. Wstał. Przez chwilę mierzyli się z Corveyem wzrokiem. Na twarzy Corveya pojawił się już pierwszy ślad pysznego triumfu, lecz zaraz zagaśł pod wpływem nieprzejednanego, nieubłaganego spojrzenia Andrew. Corvey odwrócił głowę. Jego matka precyzyjnie się do przodu i wzięła go w ramiona. Jej masywnym ciałem wstrząsały spazmy.

- Chodź - odezwał się Andrew - idziemy. Nic tu po nas. Wyszli z sali. Na zewnątrz czyhała horda reporterów, do których dotarła już wiadomość o wyroku uniewinniającym. Ciemnowłosa dziewczyna w szarym żakiecie i spodniach podsunęła Andrew pod nos mikrofon.

- Inspektorze Davies! - Najwyraźniej była dobrze poinformowana o głównych postaciach dramatu. - To pan ujął Freda Corveya. Co pan w tej chwili czuje?

Dopiero teraz Janet spostrzegła, że ktoś skierował na nich jasny reflektor, ktoś inny kamerę. Odpowiadając na pytanie, Andrew trzymał ją za rękę.

- Po wycofaniu przyznania do winy oskarżenie dysponowało niewystarczającą ilością materiału - wyjaśnił. - I choć dla mnie i dla moich kolegów to orzeczenie jest gorzką pigułką,

to jednak opiera się ono na praworządnej zasadzie obowiązku przedstawienia dowodów przez oskarżyciela oraz zasadzie in dubio pro reo. Nawet w takich chwilach jak ta uważam nasz system za najlepszych ze wszystkich.

Reporterka zamierzała zadać następne pytanie, lecz Andrew ruchem ręki dał do zrozumienia, że nie wygłosi żadnych dodatkowych oświadczeń. Ciągnąc za sobą Janet, przeciskał się przez tłum dziennikarzy. Rozbłysło kilka fleszy. Rzucano w stronę Andrew pytanie za pytaniem, lecz on ani nie odpowiadał, ani nawet nie przystanął. Zatrzymał się dopiero na ulicy.

- Byłeś świetny tam, na górze - pochwaliła go Janet ze szczerym podziwem. - Bardzo opanowany. Czy to, co powiedziałaś dziennikarce, to naprawdę twoja opinia?

Andrew skinął głową.

- Tak, to moje zdanie. Zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Ona jednak zapytała, co czuję, i szczerze mówiąc, moja odpowiedź powinna być inna. - Uśmiechnął się, jego znużona twarz rozpogodziła się. - Jeśli pytasz mnie o moje odczucia, to życzylibym sobie, by podczas aresztowania Corveya doszło do sytuacji, w której trzeba by wyciągnąć broń i unieszkodliwić go raz na zawsze.

- Rozumiem cię - odparła Janet. Ostrożnie dodała: - Czy już kiedyś kogoś zabiłeś?

- Nie. Nigdy. - Zamierzał otworzyć drzwi samochodu, lecz przystanął i nagle odwrócił się do Janet. Objął jej twarz dłońmi, zanurzył palce w jej zmierzwione, nieuczesane włosy.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś ze mną, Janet - powiedział bez tchu. - Tam w środku zrozumiałem, ile dla mnie znaczy twoja obecność. Właśnie w takich chwilach. Janet, proszę, rozwiedź się, tak szybko, jak tylko możesz. Wyjdź za mnie. Co za kretyn ze mnie...

- Czemu? - spytała cicho Janet.

- Przed dwudziestu pięciu laty nie rozumiałem jeszcze, że nie chcę być z nikim innym, tylko z tobą.

Rzadko kiedy słyszała z jego ust takie wyznania. Poruszyło ją to do głębi. Uniosła ręce i położyła je na jego dłoniach, którymi wciąż dotykał jej twarzy.

- Jedźmy do domu - powiedziała.

Z początku miotał się między pragnieniem, by pomówić z Janet, a obawą, że takiej rozmowy nie wytrzyma nerwowo. Kiedy po raz pierwszy zadzwonił do mieszkania Andrew Daviesa i usłyszał w słuchawce jej głos, natychmiast przerwał połączenie. Od tej pory kolejne próby nawiązania kontaktu dzieliły długotrwałe przerwy; kiedy nikt nie odbierał, czuł niepokój, frustrację, a w głębi duszy również ulgę.

W ten piątek Phillip ponawiał próbę co pół godziny. Tym razem nie czuł się już



rozdarty. Chciał porozmawiać z Janet. Nie miał już więcej ochoty godzić się na wszystko i czekać, aż Janet raczy mu coś wyjaśnić. Uważał też, że nie powinien sam zajmować się sprawą Maximiliana. Wczesnym rankiem zjawiała się u niego policja i wypytywała, czy nie dotarli do niego jakieś nowe informacje. Nieco ostrym głosem odparł, iż w tym przypadku sam powiadomiłby ich o tym. Na domiar złego zatelefonował profesor Echinger, by wyrazić swoje zaniepokojenie. Skutkiem tego znów udzieliło mu się niemiłe uczucie, że oto stoi przed profesorem jak jakiś niedołęga. Od kiedy poślubił Janet, praktycznie stale prześladował go pech; dziś wszakże po raz pierwszy poczuł wściekłość - prawdziwą wściekłość, nie tylko gniew, rozdrażnienie czy kipiącą przez kilka sekund złość. Powoli, lecz stale wzbierającą wściekłość; wściekłość, która musiała się przebić przez niezliczone warstwy opanowania, rozsądku, powściągliwości, i wciąż przybierała na sile. Miał świadomość, że w końcu dojdzie do wybuchu, że pojawi się niedające się poskromić pragnienie, by spoliczkować Janet, aż ze łzami w oczach prosić będzie o wybaczenie. Jako że nigdy o tym nie pomyślał, nawet w swych najczarniejszych snach, poczuł się w najwyższym stopniu zmieszany.

Dochodziła piętnasta, kiedy w Londynie wreszcie podniesiono słuchawkę.

- Halo? - spytał męski głos.

Phillip przełknął ślinę. Minęły dwie sekundy, nim zapanował nad sobą i zapytał:

- Pan Davies?

- Tak, przy telefonie.

- Mówi Phillip Beerbaum. Czy mógłbym rozmawiać z moją żoną?

Ku zadowoleniu Phillipa teraz to Davies przez moment był zbity z tropu.

Po krótkiej przerwie odparł oficjalnym tonem:

- Proszę chwileczkę zaczekać!

Janet odezwała się przytłumionym głosem.

- Phillip? Przed minutą wróciliśmy do domu.

- Kilkakrotnie próbowałem się z tobą skontaktować.

- Bardzo mi przykro.

Odchrząknął. W jakiś niesamowity sposób w tych kilku zdaniach, jakie zamienili ze sobą, wypaliła się cała jego wściekłość. Próbował zebrać tych kilka żalonych strzępów, jakie z niej pozostały, przeczuwając, że prócz owej wściekłości kryje się w nim jedynie przeraźliwy smutek, któremu nie chciał się poddać.

- Ty także mogłabyś zadzwonić. To znaczy... Czy uważasz, że to w porządku tak po prostu wyjechać sobie do Anglii i nie dawać znaku życia?

- Oczywiście, że nie. Ja...

- Przecież mogło ci się coś przytrafić. Masz pojęcie, jak bardzo się martwiłem? - Nie było to prawdą; od razu domyślił się, że zatrzymała się u Daviesa, lecz nie musiała o tym wiedzieć. Wreszcie powróciła na chwilę jego złość. Do cholery, potraktowała go jak wycieraczkę. Westchnął ciężko.

- Po dwudziestu pięciu latach - powiedział - winna mi jesteś przynajmniej słowo wyjaśnienia!

- Phillipie, kiedy wyjeżdżałam, nie planowałam tu zostać. Uwierz mi, proszę. Nie miałam zamiaru... odwiedzić Andrew.

- Ale nie zamierzałaś dotrzymać terminu wizyty w Szkocji. Westchnęła cicho.

- Nie. Nawet nie miałam tego w planach. Ale byłam bardzo zrozpaczona z tego powodu. Od samego początku byłam przeciwna Szkocji, wiesz o tym.

- Uzgodniliśmy to...

- Dałam za wygraną. To niezupełnie to samo.

- No tak... - powiedział niejasno. Wydawało mu się, że cała jego złość o to, iż nie zgłosiła się na wizytę u Granta, już dawno minęła. Cóż zresztą znaczyła wobec faktu, że utracił Janet, że jego życie legło w gruzach?

- To już nieistotne, mam na myśli Szkocję. O wiele ważniejsze... - zawahał się - ważniejsze jest, co teraz zamierzasz?

- To nie takie proste. A już na pewno nie jest to rozmowa na telefon. Powinniśmy się spotkać.

- Och... to nie moja wina, że musimy teraz porozumiewać się w ten sposób. To ty uciekłaś, nie ja!

- Rozumiem, że gniewasz się na mnie, Phillipie. Koniecznie musimy pomówić.

Co za okropna, wredna sytuacja, pomyślał znużony. Ona siedzi w mieszkaniu swego kochanka i chce ze mną rozmawiać. Pewnie zamierza mi powiedzieć, że wybrała jego. A nawet jeśli to coś innego, i tak nie uda nam się uratować naszego związku.

- Janet - odezwał się bezradny.

Po barwie jej głosu mógł się domyślić, jak trudna to była dla niej rozmowa.

- Zachowałam się trochę nie fair - przyznała. - Wybacz mi, proszę!

Wybaczyć... ile jeszcze razy? Być może wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby wówczas jej nie wybaczył. Gdyby zdecydował się na rozstanie i oszczędził sobie tych lat pełnych kłamstw i nieszczerzej harmonii - a teraz nie cierpiałby z powodu utraty Janet. Przynajmniej nie musiałby nazywać samego siebie nieudacznikiem. Uniknąłby wtedy poczucia, że oto jest żałośnie przegrany, bezbronny i słaby.

- Porozmawiamy o wszystkim - rzekł. - O tym, co było, i o przyszłości. Przede wszystkim o przyszłości.

Nie odpowiedziała. Nie jest jej miło, pomyślał Phillip, wie, że sprawi mi ból, i to ją martwi. Nigdy nie była okrutna. Nie lubi ranić innych.

- Ach, zresztą... mam tu pewien kłopot - powiedział jakby mimochodem, lecz z pełnym wyrachowaniem. To, co zamierzał jej przekazać, wstrząśnie jej wesołym, miłosnym gniazdkiem. - Maximilian zbiegł z kliniki.

Efekt był piorunujący. Na moment Janet zaniemówiła, po czym wyrzuciła z siebie pełne zdumienia:

- Co takiego?

- Tak. Policja była tu już dwukrotnie. Echinger ze zmartwienia rwie sobie włosy z głowy. Dwa dni temu Maximilian uciekł w nocy przez piwniczne okienko.

- To niemożliwe!

- Nie żartuję. Wydali nakaz aresztowania. Głos Janet osłabł z przerażenia.

- Ale... ale dlaczego? Wyszedłby już w sierpniu!

- Nie mam pojęcia, czemu popełnił takie głupstwo. Echinger jest zupełnie zdruzgotany. Cierpi na tym jego reputacja jako terapeuty.

- Nie pojmuję tego, ja...

- Może chce pojechać do Maria.

- Do Maria?

- Ach, o tym też jeszcze nie wiesz. Mario jest na południu Francji. W naszym letnim domu.

Janet była zupełnie bezradna.

- A cóż on tam robi?

- Wakacje z ukochaną. Poznał dziewczynę i razem... - Przerwał, gdyż po drugiej stronie usłyszał dziwny odgłos, coś w rodzaju westchnienia, lecz tak udęczonego, tak pełnego lęku, że zabrzmiało jak bezsilny krzyk.

- Janet, co jest? - spytał przerażony.

Wydawało się, że z trudem zdołała nad sobą zapanować.

- I tak po prostu go puściłeś? Z dziewczyną? Przecież...

- Janet, proszę cię, jak niby miałbym mu w tym przeszkodzić? Ma dwadzieścia cztery lata. A dziewczyna jest pełnoletnia, jeśli to cię niepokoi.

- Gdzie ją poznał? Kiedy?

- Najwyraźniej już dość dawno, nie wiem jak i gdzie. Nie powiedział, dlaczego to

ukrywał, lecz przypuszczam, że sądził, iż z miejsca wyprowadzi nas to z równowagi. Z powodu... tej sprawy z Maximilianem.

- O Boże!

- Janet, Mario jest zdrowy. Nie możesz obu mierzyć tą samą miarą.

Wiedział, że ta historia swego czasu potwornieją dotknęła. Oczywiście jego także, lecz w inny sposób. Doznał szoku, że coś takiego zdarzyło się w jego rodzinie, i myślał, że już nigdy nie będzie mógł spojrzeć nikomu w oczy. To on upierał się, by wyjechać z Monachium i przenieść się na północ, gdzie nikt ich nie znał, nikt o tym nie wiedział. Odzyskał pewną równowagę, kiedy rozpoczęli nowe życie, a Maximilian przebywał już za murami kliniki. Stan Phillipa poprawiał się zawsze wtedy, gdy udawało mu się wyrugować ze świadomości kwestie, które mu przeszkadzały. Aż któregoś dnia cała ta budowla runęła z łoskotem, aż dopadło go to, co tak bardzo od siebie odsuwał.

Janet, zazwyczaj mistrzyni uników, tym razem nie mogła od tego uciec. Nigdy nie potrafiła nabrać dystansu do Maxi-miliana i tego, co zrobił. Opinia innych była jej zresztą zupełnie obojętna, toteż nie znalazła najdrobniejszej pociechy w perfekcyjnym zatuszowaniu sprawy przez Phillipa. Dzień za dniem, rok za rokiem zamartwiała się, rozmyślała i z niemal masochistyczną gorliwością doszukiwała się w owym zdarzeniu własnej winy. A teraz ogarnęła ją panika, ponieważ być może również Mario...

- Janet, naprawdę nie daj się teraz zwariować - uspokajał ją Phillip.

- Odezwę się - rzuciła spiesznie Janet i odłożyła słuchawkę.

Jadąc taksówką z lotniska do domu, Michael dwukrotnie oświadczył, iż najchętniej od razu udałby się do Beerbaumów. Za każdym razem Karen starała się go uspokoić, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Najpierw zadzwonimy. Nie może pan w ten sposób nachodzić ludzi.

- Moja córka...

- Pańska córka jest teraz ze zdrowym bliźniakiem na południu Francji. Drugi siedzi w klinice, nie stanowi żadnego zagrożenia.

Odkąd Karen opowiedziała mu, czego się dowiedziała, zamienili się rolami. Teraz to Karen sprawiała wrażenie rozważnej i ostrożnej, Michael natomiast odchodził od zmysłów, nie wiedząc, co począć. Z początku zamierzał bezzwłocznie polecieć do Nicei, lecz dowiedział się, że tego dnia nie dostanie już biletu na samolot. Następnie chciał zgłosić się na policję, lecz Karen uświadomiła mu, iż nic tym nie wskóra.

- I co mieliby zrobić? Ścigać Maria, bo jest bratem przestępcy? Aresztować całą rodzinę, ponieważ zataiła przed nami istnienie niewydarzonego syna? To nie jest karalne,

panie prokuratorze!

Ostatecznie Michael dał się przekonać, że powinni wrócić do Hamburga.

- Porozmawiamy z Beerbaumami - oznajmiła Karen. - Zażądamy, by wyłożyli karty na stół. I będą musieli nam pomóc w nawiązaniu kontaktu z Mariem i Tiną. Może w sąsiedztwie mieszka ktoś, kto będzie mógł do nich zaglądnąć i poprosić ich, by do nas zadzwonili.

- Dobrze, to w takim razie możemy od razu pojechać do Beerbaumów...

Spojrzała na niego jak na jakieś uparte dziecko.

- Zadzwońmy. Ja zadzwonię. Pan jeszcze gotów narobić bigosu.

Może ona ma rację, pomyślał później, siedząc w ham-burskiej taksówce. Puściłyby mi nerwy, potrząsnąłbym tym Beerbaumem, jeszcze bym go...

Przerwał swe rozmyślania, czując, że oblewa go pot. Przetarł dłonią czoło, wyjrzał przez okno. Dzień był pochmurny, ponury, zbyt chłodny jak na tę porę roku. Przypomniawsobie skwarne, burzowe, wypełnione wonią kwiatów letnie dni swego dzieciństwa. Starą wiejską plebanię, niepraktyczną i pełną zakamarków, otaczał wspaniały ogród, pełen drzew owocowych, pieniających się żywopłotów oraz ustronnych, czarujących miejsc. Czasem bawił się tam, choć nieczęsto. Ojciec nie pochwalał, gdy jego dzieci oddawały się przyjemnościom.

- Rób coś pożytecznego i nie kradnij czasu Panu Bogu! - brzmiała jego zwyczajowa sentencja. Jego córce Pauli taka postawa weszła w krew. Czy kiedykolwiek zrobiła coś, co nie było pożyteczne? A on? Czy różnił się od niej?

Westchnął głęboko.

Karen odwróciła się do niego.

- Czego się pan tak boi?

- Ten jego brat... jest chory psychicznie. A co, jeśli Mario...

- ...też jest chory? Michaelu, proponuje pan swego rodzaju odpowiedzialność zbiorową całej rodziny. Czemu miałyby tak być?

- Ale tak mogłoby być.

- Nie ma ku temu podstaw.

- Może jednak - powiedział z uporem. Był w kiepskim nastroju. Karen spytała go, czego tak się boi - Chryste, słysząc to, poczuł niemal złość. Oto jego jedyna córka, jego dziecko, wszystko, co mu pozostało, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A przynajmniej - pomyślał, próbując się uspokoić - może być w niebezpieczeństwie. Dla mnie to równie przynębiające. To prawdziwe piekło.

Taksówka zatrzymała się przed domem, w którym mieszkała Karen.

- Pójdzie pan teraz do mnie - rozkazała. - Dostanie pan kieliszek wódki, a ja zadzwonię do Beerbaumów. Okay?

Poszedł za nią bezwolnie po schodach do mieszkania, nie bacząc na ciężar, jaki stanowiła jej torba. Nawet nie zwrócił uwagi na nieprzyjemny zapach, jaki unosił się w tym domu, nie zauważył, że tapeta odłazi z zawilgoconych ścian. Karen otworzyła drzwi do mieszkania.

- Trochę tu nieposprzątane. Niech się pan nie przerazi.

Michael balansował pomiędzy rozrzuconymi tenisówkami, starymi czasopismami, pustymi filiżankami. W pokoju dziennym stała rozłożona deska do prasowania, na sofie zaś leżał stos wymiętej bielizny.

- Przepraszam - powiedziała Karen. - Właśnie zabierałam się za prasowanie, kiedy wpadłam na myśl, by lecieć do Monachium. - Wciągnęła nosem powietrze. - Lekki tu zaduch, no nie? Otworzę okno. Niechże pan usiądzie!

Położył torbę w kącie pokoju i usiadł w jedynym fotelu, na którym nie zalegały swetry i spodnie. Karen przyniosła dwa kieliszki i butelkę koniaku.

- Zobacz pan, to pomoże. - Nalała trunku, podała mu kieliszek, a zawartość swojego wychyliła jednym haustem. - Teraz zadzwonię do Beerbaumów.

Michael skosztował koniaku. Przyglądał się, jak Karen wyciąga spod sofy brązową książkę telefoniczną; osobliwe miejsce do przechowywania, pomyślał. Zaczęła przewracać kartki.

- Doradztwo podatkowe... - mruzczała pod nosem; po chwili zawołała triumfalnie: - Beerbaum, Phillip. To on!

Szybko wybrała numer. Czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, nagle zmarszczyła czoło.

- Dziwne - powiedziała. - Ten starszy człowiek wspomniał, że Mario chciał zostać doradcą podatkowym, jak jego ojciec. A studiuje prawo. Coś tu nie pasuje.

- Może zmienił zdanie - odparł Michael. Karen skrzywiła się.

- Automatyczna sekretarka! Cholera!

Odłożyła słuchawkę i zamierzała ponownie zanurkować pod sofę.

- Spróbuję pod numer prywatny. Michael wstał.

- Powinniśmy byli pojechać tam od razu!

- Myślę... - Karen urwała w pół słowa.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Podniosła się i zniknęła w przedpokoju. Michael słyszał, jak uruchamia otwieranie

bramy. Po chwili wróciła do pokoju.

- Ciekawa jestem kto to. Nasz domofon nie działa. Człowiek zawsze czeka w napięciu, któż to w końcu pojawi się na schodach.

Sukces w poszukiwaniach - jakkolwiek ich wynik okazał się dla Michaela przerażający - dodał jej energii. Uznała go za potwierdzenie jej dziennikarskich zdolności, pierwsze od lat. Wciąż miała na sobie ten sam okropny żółty strój co w Monachium, a jej farbowane włosy odcinały się od niego swą szczególnie dotkliwą czerwienią. Na twarzy wyglądała młodziej niż w chwili, gdy poprzedniego dnia wyruszała w drogę. Emanowała energią, sprawiała wrażenie pełnej optymizmu i pewności siebie.

Później Michael często wspominał, jakie rozrzewnienie wywołał w nim widok tej kobiety, stojącej z uśmiechem na twarzy w tamtym zapuszczonym pokoju. Złościło go, że to, co wtrąciło go w bolesny niepokój, jej wydawało się frapującą przygodą. Nigdy jednak nie zapomni, jak wyglądała w owej chwili, pełna życia i ufności, taką bowiem widział ją po raz ostatni.

Pięć minut później dotarli do mieszkania dwaj policjanci, obaj wyraźnie wyczerpani i sfrustrowani, ponieważ jak się okazało, już wielokrotnie próbowali skontaktować się z Karen. Możliwie jak najostrożniej poinformowali ją, że we Francji, przy granicy niedaleko Miluzy znaleziono zwłoki młodej dziewczyny. Dokumenty należały do niejakej Dany Graph, zamieszkałej pod tym adresem. Przekazali tę okropną wiadomość z głębokim współczuciem.

Po godzinie przeszukiwania całego domu Maximilian w końcu znalazł telefon na szafie w pokoju dziennym. Nie miał pojęcia, czemu właściwie go szukał, czego się spodziewał po tym znalezisku. Przecież to mało prawdopodobne, by naprowadził go na jakiś ślad. Może żywił mglistą nadzieję, że aparat telefoniczny okaże się zepsuty, co mógłby uznać za uzasadniony powód ukrycia go.

Po ponownym podłączeniu go w gabinecie okazało się, że aparat działa bez zarzutu. Sygnał w słuchawce był czysty i wyraźny. Maximilian wybrał pierwszy lepszy numer, po chwili usłyszał jakiś kobiecy głos. Rozłączył się.

Dobrze zatem, telefon działa. A więc Mario celowo go ukrył, by Christina nie mogła do nikogo zadzwonić oraz - przede wszystkim - by nikt z zewnątrz nie mógł się z nią skontaktować. Maximilian musiał tylko zamknąć oczy i skupić się; mógł wówczas poczuć to, co czuł Mario, myśleć tak jak on, odbierać wszystko w ten sam sposób. Christina go rozczarowała. Owo uczucie pojawiło się w którymś momencie ich wspólnej podróży i z czasem stawało się coraz silniejsze, coraz bardziej bolesne. Wreszcie nadeszła chwila, od której dziewczyna mogła już tylko popełniać błędy, nieważne, w jaki sposób się zachowywała.

Czekał, aż Christina postąpi niewłaściwie, obsesyjnie szukał dowodów na jej wady. Jego zdaniem to świat ponosi winę za wszelkie zło. Ten podstępny, zepsuty, rozpustny świat. Christine należało przed nim ukryć.

Maximilian zamyślił się. Od czego się zaczyna? Ukrywa się telefon. Ale samo to nie wystarczy. Christina jest młoda, rzutka, towarzyska, energiczna. Lgnie do ludzi. Nie pozwoli, by ją trzymano w zamknięciu. Dostrzega innych ludzi, innych mężczyzn. Śmieje się, patrzy, a nawet flirtuje. Każde jedno spojrzenie, jakim obrzuca innego mężczyznę, każdy kokieteryjny błysk jej oczu, każde świadome odgarnięcie włosów - z pewnością długich i blond, mógłby pójść o zakład - zadaje Mariowi ból, jest jak pchnięcie nożem. Męka staje się nie do zniesienia. Próbuje ukryć to, co przeżywa, ale to właśnie sprawia, że jego wewnętrzne napięcie staje się bezmierne. Nie potrafi dłużej tego znieść, myśli już tylko o tym, by w jakiś sposób wyeliminować to, co jest źródłem jego udręki: świat.

Maximilian znów zaczął przetrząsać dom; zmrúżywszy oczy, próbował znów nawiązać tę tajemną wewnętrzną więź, jaka zawsze łączyła obydwu braci. Dokąd ją zabrałeś? Dokąd?

Przystanął w pokoju dziennym, tuż przed ścianą, na której wisały namalowane przez Janet akwarele. Zatrzymał wzrok na jednym z obrazów. Wysoka trawa uginająca się pod naporem wiatru. Wapienne skały. Szkliste niebo, na którym słońce skryte za chmurą opromienia krajobraz nikłym światłem. Ciemne lasy. Pod cedrami przycupnęła kamienna chata, niemal niegościnna przez swe maleńkie okienka i niskie drzwi. Żadnej drogi, która by do niej prowadziła, nic, co...

Przerwał rozmyślenia. Chata. Nieomal namacalna samotność. Absolutne odosobnienie. Co o tej chacie powiedziała Janet, kiedy odkryli ją w trakcie wędrowki we czworo i od tego czasu uczynili z niej romantyczny cel swych wycieczek? „Tutaj życie wydaje się tak odległe...”

Pędem wybiegł z domu.

Andrew odezwał się dopiero tuż przed lądowaniem w Nicei. Podczas całego lotu milczał, jedynie na pytanie stewardesy, czy życzy sobie kawy, odparł „tak” oraz „dziękuję”. Przez resztę czasu gapił się w stronicę Timesa, sprawiał jednak wrażenie, iż lektura wcale go nie pochłaniała. Gazeta służyła jedynie za mur odgradzający go od świata. Teraz zaś powiedział nagle:

- Zwyczajnie nie pojmuję, dlaczego zatrzymałaś to tylko dla siebie!

Janet, która spoglądała przez okno, odwróciła się w jego stronę. Przez ostatnie godziny coraz bardziej pogrążała się w rozmyśleniach. Była blada, a jej twarz wydawała się



koścista.

- Nie mogłam o tym rozmawiać - odpowiedziała.

- Ale właśnie tego zupełnie nie rozumiem. Przez ostatnie tygodnie byliśmy ze sobą tak blisko. Zastanawiam się, kiedy zdecydowałabyś się mi o tym powiedzieć? Czy jeszcze przed naszym ślubem? Po nim? Nigdy?

- Nie wiem... czy to aż takie ważne? Zniecierpliwiony złożył gazetę.

- Tak! Przede wszystkim dlatego, że ciągle cię to gnębi. Jak długo kazałabyś mi szukać po omacku powodu twojej udręki? Na Boga, Janet, przecież czułem, że coś cię gryzie!

Westchnęła ciężko, jednak nie odpowiedziała.

- Bądź co bądź to nie jest jakaś tam drobnostka - ciągnął Andrew. - Twój syn usiłował zabić kobietę, która tylko przez przypadek uszła z życiem. Przebywa w klinice psychiatrycznej. Teraz już rozumiem niektóre pytania, jakie zadałaś mi w związku ze sprawą Freda Corveya. Pytanie o jego matkę: gdzie popełniła błąd... Dziwiłem się, czemu ten temat tak bardzo cię ekscytuje. Dopiero teraz rozumiem, że... musiałaś się z nią identyfikować.

- To ogromny ciężar - powiedziała cicho. Ujął jej dłoń.

- Co cię tak niepokoi? - zapytał. - Maximilian uciekł. Myślisz, że będzie chciał odwiedzić Maria i tę dziewczynę. Ale nie wiesz tego na pewno. Poza tym za kilka tygodni zostałby zwolniony, a to oznacza, że specjaliści uznali go za zdrowego, możesz przecież zaufać ich opinii. Być może istnieje zupełnie inny powód jego ucieczki.

Przystanęła przy nich stewardesa.

- Muszą państwo zapiąć pasy. Za chwilę lądujemy! Chwycili za klamry.

- Janet - ciągnął Andrew, unikając jej wzroku - czy trapi cię zupełnie co innego? Strach, że Mario ma te same skłonności co jego brat bliźniak - tylko jeszcze się nie ujawniły i dlatego nie został poddany terapii? Czy Maximilian obawia się tego również i chce pospieszyć dziewczynie z pomocą?

Janet nadal miała zaciśnięte usta. Andrew spojrzał na nią.

- Czy kiedykolwiek doszło do jakiegoś zdarzenia, które wzbudziło w tobie takie podejrzenie? Coś, o czym wiecie tylko ty i Maximilian? Coś, co świadczyłoby o tym, że Mario... jest niebezpieczny?

- Andrew, ja...

- Janet! - Jego głos stał się natarczywy. - Jeśli naprawdę tak jest, czy masz świadomość, że nie wolno ci tego ukrywać? Na Boga, ja rozumiem, że chciałaś go chronić, ale...

W jej oczach pojawił się błysk gniewu.

- Coś sobie ubzdurałeś. Czy możesz skończyć z tym przesłuchaniem?

- Nie, nie mogę! - Andrew nie starał się dłużej ukrywać swego rozdrażnienia. - Do jasnej cholery, dałaś mi co nieco do myślenia w ciągu tych ostatnich godzin, nie sądzisz? Dzwoni twój mąż, po rozmowie z nim jesteś zupełnie załamana. Następnie dowiaduję się o tej okropnej tragedii w twojej rodzinie. Zaraz potem krzyczysz, że musisz natychmiast lecieć do Nicei, bo w przeciwnym razie dojdzie do nieszczęścia. Kiedy jednak próbuję zadać ci dalsze pytania, ofukujesz mnie, bym skończył z przesłuchaniem. Kogo ty właściwie we mnie widzisz? Funkcjonariusza Scotland Yardu, który chce zastawić na ciebie pułapkę? Czy też mężczyznę, któremu wczoraj powiedziałaś, że za niego wyjdiesz?

- Wcale nie musiałaś ze mną lecieć.

Andrew milczał. Prawie jej nie poznawał. Nigdy dotąd nie spotkał się z taką nieprzychylnością z jej strony, z taką agresją. Była wstrząśnięta do żywego.

Lecz ja także, pomyślał gniewnie, ja także mam powody, by poczuć się wstrząśnięty. Moje życie dosyć się pogmatwało, próbuję teraz wziąć się w garść.

Kiedy samolot wylądował i wyszli na schody prowadzące na płytę lotniska, gdy owiał ich ciepły, przesycony słodyczą wiatr wiejący z głębi lądu, owładnęło Andrew uczucie przygnębienia. To mógłby być - za jakiś czas - cel ich podróży poślubnej. Naraz jednak uświadomił sobie, że zamiast tego będzie to dla nich miejsce próby ogniowej.

Phillip przez całe popołudnie rozmyślał o reakcji Janet. Z przerażenia straciła panowanie nad sobą. Kiedy rekonstruował przebieg rozmowy, uświadomił sobie, że powodem tego była nie tyle wiadomość o ucieczce Maximiliana z kliniki, ile raczej informacja o tym, że Mario wyjechał na wakacje razem z dziewczyną. Wydawało się, że zupełnie poważnie obawia się, że tragedia się powtórzy. Phillip całkiem nieświadomie zadawał sobie to samo pytanie co Andrew: czy istnieje jakakolwiek wskazówka świadcząca o tym, iż także Mario jest chory? Czy Janet знаła prawdę, lecz nikomu jej nie wyjawiała?

Abstrahując od owej historii, rozmowa z Janet wzburzyła go przede wszystkim dlatego, że instynktownie wyczuł, iż ona pogodziła się już z rozstaniem. Zależało jej wyłącznie na tym, by oszczędzić mu z tego powodu nieprzyjemności. Nie chciała sprawić mu przykrości, choć wiedziała, że głęboko go tym zrani. Przestał być panem sytuacji, i to już dawno temu. Powinien był wyrzucić ją za drzwi przed osiemnastu laty, po ciągnącym się przez sześć lat romansie z Daviesem, kiedy ze względu na małe dzieci sama nie odważyła się odejść, nadto Andrew Davies wydawał jej się człowiekiem zbyt niestałym, by mogła dlań ryzykować swe życie rodzinne. On natomiast okazał się kompletnym durniem, z wdzięcznością biorąc ją na powrót w swe silne i bezpieczne ramiona. A teraz nie miał już

żadnego wyboru.

To znaczy... coś mu jednak pozostało. Nie miał możliwości czeokolwiek zmienić, lecz wciąż miał szansę ubiec jej działania, wyprzedzić Janet o krok. Był piątek, późne popołudnie. Dziś już nic nie mógł zrobić, lecz w poniedziałek rano pójdzie do adwokata i wniesie sprawę o rozwód.

Myśl ta ożywiła go. Co prawda nie uszczęśliwiła, niemniej dodała mu adrenaliny, która przynajmniej na pewien czas uwolniła go od ciężaru depresji. Chciał od razu zatelefonować do swojego adwokata, który wprawdzie nie mógłby go reprezentować w tej sprawie, nie był bowiem specjalistą od rozwodów, a do tego przyjaźnił się z Janet, lecz przynajmniej poleciłby mu kogoś innego, odpowiedniego. Phillipowi nie zależało na tym, by dobrze wyjść na rozwodzie; nieważne, czy wypłaci Janet połowę swego majątku czy może więcej, jeśli ona tego zażąda. Chodziło mu przede wszystkim o to, by wreszcie mógł sobie nad ranem spojrzeć w oczy.

Kiedy wciąż szukał numeru adwokata, zadzwonił telefon.

Spodziewał się, że odezwie się Janet, lecz w słuchawce usłyszał męski głos. Wydał mu się znajomy, pobrzmiwał niczym osobliwa mieszanina zupełnego wyczerpania i nieomal rozpaczliwego wzburzenia.

- Mówi Michael Weiss. Próbowałem dodzwonić się do pańskiego biura, lecz tam włączona jest automatyczna sekretarka.

Phillip, nie wiedząc, kim Michael jest z zawodu, zastanawiał się, dlaczego głos tego człowieka zawsze brzmi jak głos oskarżyciela. Znów miał uczucie, że musi się usprawiedliwić.

- Moje biuro jest w tej chwili nieczynne - wyjaśnił.

- Mam wielki kłopot, panie Beerbaum. Nie mogę skontaktować się z córką.

Ten człowiek to neurotyk! Nic dziwnego, że jego córka nie odbiera telefonów.

- Panie Weiss, ja...

- Panie Beerbaum, nie będę przed panem ukrywał, że kilka godzin temu wróciłem z Monachium...

Wypowiedź tę cechowała rozbijająca nieszkodliwość, jednak w głowie Phillipa odezwał się dzwonek alarmowy. Jego skóra zwilgotniała, poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Tak?

- Zasięgnąłem tam języka. - Michaelowi wcale nie było przykro o tym mówić. - Mario nie jest pańskim jedynym synem, panie Beerbaum. Ma brata bliźniaka. A ten przebywa w

klinice psychiatrycznej z powodu próby zabójstwa. Ja zaś nie mogę skontaktować się z moją córką! - Głos Michaela brzmiał coraz głośniejsze. Phillip, choć był jak sparaliżowany i śmiertelnie przerażony, domyślił się, w jaki sposób rozumował Weiss: jeśli jeden z braci, to być może także drugi...

Przemknęło mu przez myśl coś jeszcze: on nie może wiedzieć, w której klinice przebywa Maximilian. A zatem nie może też wiedzieć, że zniknął. I w żadnym razie nie może się tego dowiedzieć. W takim stanie gotów by jeszcze wywołać panikę w całym kraju.

- Panie Beerbaum - Michael ściszył głos, lecz mimo to zabrzmiał on jeszcze groźniej - byłbym już w drodze do Nicei, lecz nie mogę się teraz stąd ruszyć. Zamordowano młodą dziewczynę. Dane Graph, najlepszą przyjaciółkę Tiny. Nie mogę zostawić jej matki bez opieki.

Przerażony Phillip był przez moment przekonany, iż zdarzenie to ma związek ze zniknięciem Maximiliana, że to jego sprawka. Wyobraził sobie koszmarny krwawy ślad, jaki ciągnie się przez całą Europę za uciekającym w amoku Maximilianem!

- Jak... to znaczy... kto...

- Nie znamy jeszcze szczegółów. Znalaziono ją tuż za francuską granicą, opodal Miluzy. Zamordowaną, a przedtem zgwałconą.

O ironio, wiadomość o gwałcie, który dla ofiary oznaczał dodatkowe katusze, przyniosła Phillipowi ulgę. Dzięki niej Maximilian znalazł się poza wszelkim podejrzeniem. On nie potrafiłby zgwałcić, to zdaniem profesora Echingera nie pasowałoby do jego profilu chorobowego. Maximilian tylko zabijał. Tylko!

Odprężył się nieco.

- Bardzo mi przykro - powiedział. Oczywiście, że było mu przykro. Lecz miał cholernie dużo własnych problemów...

- Niech pan posłucha - rzekł Michael, nie reagując na wyrazy współczucia. - Będzie miał pan więcej nieprzyjemności, niż kiedykolwiek byłby pan w stanie znieść. Bardzo się martwię o moją córkę i staram się z nią skontaktować. Chcę usłyszeć jej głos, chcę, żeby mi powiedziała, że nic jej nie jest. Jest mi zupełnie obojętne, jak pan tego dokona, co pan zrobi, żeby nawiązać kontakt z pańskim synem, ale niech mu pan powie, że Tina ma do mnie natychmiast zadzwonić. Zrozumiał pan?

- Ja...

- Muszę jeszcze przez kilka godzin zostać przy pani Graph. Weźmie pan do ręki ołówek i kartkę papieru, a ja podyktuję panu numer, pod którym będę dostępny przez ten czas.

- Myślę - odparł Phillip, powoli otrząsając się z odrętwienia - że najpierw powinien pan zmienić ton.

Głos Michaela, jego intonacja świadczyły o tym, iż człowiek ten znalazł się w sytuacji ekstremalnej, która zmusiła go do wyzbycia się wszelkich zasad i konwenansów. Nie troszczył się już o elegancki styl, o uprzejmość i przyzwoitość. Pękło w nim coś, o czym nawet nie wiedział, że w nim tkwi.

- Panie Beerbaum, jeszcze dziś wieczorem porozmawiam z moją córką, i powtarzam, jest mi zupełnie obojętne, jak pan to zorganizuje. Zadał sobie pan sporo trudu, by zacząć nowe życie i zatuszować istnienie pańskiego drugiego syna. Przrzekam panu, że cały Hamburg dowie się o tej sprawie, i nieważne, dokąd potem się pan uda, postaram się, by tam również poznano prawdę. Jeśli więc chce pan nadal żyć w spokoju, poruszy pan teraz niebo i ziemię, by nawiązać kontakt z Tiną!

- To szantaż - oburzył się Phillip.

Michael nie odpowiedział, jednak w jego milczeniu kryła się żelazna nieustępliwość.

- Jak pan to sobie wyobraża, w jaki sposób miałbym do nich dotrzeć? - spytał nerwowo Phillip. Pot spływał mu strużką po plecach. Poczul się zaszczuty, zapędzony w kąt, jak zwierzę w pułapce.

- Chyba zna pan kogoś z sąsiedztwa. Niech pan tam zadzwoni, ktoś przecież może do nich podejść i poprosić, by do mnie zatelefonowali. Niech pan coś wymyśli. A teraz niech pan przyniesie coś do pisania, żebym mógł podyktować panu mój numer.

Phillip dał za wygraną; poczłapał po papier i ołówek. Michael podał mu swój numer telefonu i bez słowa pożegnania odłożył słuchawkę.

Maximilian nie wiedział, ile godzin już minęło, odkąd wyruszył w drogę do chaty w górach. Z piwnicy wyciągnął rower, napompował nieco sflaczałe koła, po czym ruszył przed siebie. Pedałował po lokalnej drodze w skwarze popołudnia, z początku jak oszalały, potem coraz wolniej, zrozumiał bowiem, iż nie wytrzyma tak szybkiego tempa. Nie przyszło mu na myśl, by zabrać ze sobą butelkę wody, a na tym odludziu nie miał szans kupić czegokolwiek po drodze. Kiedy zapadł zmierzch, poczuł się nieco lepiej, wciąż jednak dokuczało mu pragnienie. Na domiar złego droga często stawała się tak stroma, że musiał zsiadać z roweru i go pchać. Wieczorna poświata powoli gasła; uzmysłowił sobie, że jest w drodze już od wielu godzin. A przecież nie miał nawet pewności, czy podąża we właściwym kierunku. W czasie wakacji wielokrotnie odwiedzali tę chatę, lecz były to czasy zbyt odległe. Za każdym razem gdy napotykał rozwidlenie dróg, wahał się, w którą ruszyć stronę. Przypuszczał, że istnieje szybszy sposób na dotarcie do chaty, lecz obawiał się, że wówczas zupełnie zabłądzi. Lepiej,

żeby trzymał się bitej drogi. Zabierało im to zawsze z pół godziny jazdy samochodem; na ostatni odcinek, który musieli pokonać pieszo, potrzebowali dodatkowe dwadzieścia minut. Nigdy by nie przypuszczał, że nie mając samochodu, będzie musiał poświęcić na dotarcie do celu aż tyle czasu!

Jego uwagę przykuła kamienista ścieżka prowadząca w górę stromego zbocza, która odchodziła od wijącej się serpentykami drogi. Było już dość ciemno, okolica wydawała mu się obca i nieprzyjazna, jednakże przypomniał sobie, że zawsze zbaczały z głównej drogi i podążali taką właśnie ścieżką aż do miejsca, w którym kończyła się na pustkowiu. To mogła być ta ścieżka.

Przystanął. Ostatnie metry pokonał, pchając rower. Język kleił mu się do podniebienia, oddałby majątek za jeden łyk wody. Bolały go nogi, był zupełnie wycieńczony.

Rower, który stał się teraz zupełnie nieprzydatny, położył na ziemi w zaroślach dębiny. Po kwadransie wytężonej wspinaczki po stromym zboczu, utrudnionej przez ciemności, natknął się na porzucony na środku drogi samochód Maria. Drzwi były otwarte, a w stacyjce tkwił kluczyk, jednak - co Maximilian stwierdził po krótkiej próbie - w baku nie było ani kropli benzyny.

Zapał już mrok, kiedy Andrew i Janet dotarli do Duverelle. Na lotnisku w Nicei wynajęli samochód i bez zwłoki ruszyli dalej. Dwukrotnie jednak zmylili drogę. Janet zupełnie straciła z tego powodu panowanie nad sobą; krzyczała, że jest pewna, iż podążają we właściwym kierunku, i nie mogła zrozumieć, dlaczego droga nie doprowadziła ich prosto do wioski. W pewnej chwili prowadzący samochód Andrew zatrzymał się, wyłączył silnik i spojrzał na nią surowym wzrokiem.

- Janet, weź się w garść. Dojedziemy do najbliższej wioski i zapytamy o właściwą drogę. Potem dotrzemy do Duverelle i sprawdzimy, co się tam dzieje. A ty przestaniesz krzyczeć, bo nie ma sensu, żebyśmy oboje zjawili się u twojego syna kompletnie wykończeni.

Od tej chwili Janet nie odezwała się ani słowem.

Kiedy wreszcie dotarli do celu, natychmiast wyskoczyła z samochodu i w milczeniu pobiegła do domu. Otworzyła skrzypiącą bramkę do ogrodu.

Andrew wysiadł i pospieszył za nią. Kiedy obchodził samochód, ukwiecone gałęzie drzew smagały go po twarzy. Z ciemności wynurzyły się kamienne mury domu, który zdawał się pograżony we śnie pośród dziko pieniającej się roślinności.

Ależ tu ładnie, pomyślał Andrew.

Janet stała przed wejściem i nerwowo dobijała się do drzwi.

- Nie ma żywego ducha - oznajmiła.

Andrew spojrział w górę na ciemne okna na piętrze.

- Może jeszcze nie wrócili. To całkiem prawdopodobne. Jest... - zerknął na fluorescencyjne wskazówki swego zegarka - jest pół do jedenastej. Dla młodych ludzi to jeszcze nie pora do spania.

Janet chyba go nie słuchała. Szarpała za klamkę.

- Musimy jakoś dostać się do środka! - krzyknęła.

- Nie masz klucza?

- Oczywiście, że nie. Ale ma go człowiek, który dba o dom. W razie konieczności musimy wyciągnąć go z łóżka, choć może... - przestała szarpać za klamkę - któreś okno jest otwarte.

Andrew poszedł za nią do ogrodu. Na tarasie spostrzegli leżące na krzesłach poduszki oraz porzucony T-shirt. Z wnętrza domu dobiegł przeraźliwy dźwięk telefonu.

Janet wzdrygnęła się.

- Telefon! Ktoś dzwoni! Ja...

- Janet, to nie żadna katastrofa. Nie denerwuj się! - Przez przypadek Andrew pchnął lekko drzwi. Ku jego zaskoczeniu ustąpiły i otwały się.

Janet natychmiast wyminęła go i pierwsza wtargnęła do domu. Przebiegła przez pokój dzienny, po czym popędziła po schodach na górę do niewielkiego gabinetu. Telefon stał na podłodze. Dzwonił i dzwonił.

Janet szarpnęła za słuchawkę.

- Słucham? - spytała bez tchu.

Po drugiej stronie zapadło krótkie irytujące milczenie. Po chwili rozległ się głos Phillipa:

- Kto mówi?

- Och, Phillip, to ja, Janet. Ja...

- Cóż ty robisz w...

- Przylecieliśmy tu natychmiast. Masz jakieś wieści?

- O chłopakach? Nie. Ojciec dziewczyny zachowuje się jak oszalały. Na próżno usiłuje od kilku dni dodzwonić się do córki. Jeśli dziś wieczorem jakimś sposobem nie sprowadzę mu Tiny do telefonu, wszystko ujawni i wywoła skandal. - Phillip sprawiał wrażenie zrozpaczonego.

- Dowiedział się o całej tej historii z Maximilianem - dodał. - Wie o wszystkim. Także i to, że zatuszowałem sprawę, że... o Boże, Janet, on może mnie zrujnować!

- W tej chwili nie to jest najważniejsze - odparła Janet. Cicho i spieszenie dodała: -

Musimy ich znaleźć!

- Maria i Maximiliana?

- Maria i dziewczynę. Tu w domu ich nie ma.

- Są jakieś ślady ich pobytu?

- Drzwi do ogrodu były otwarte. A na krzesłach na tarasie leżą poduszki.

- Może - powiedział Phillip tak, jak poprzednio Andrew - może po prostu wyszli?

- Nie wiem. Mam bardzo złe przeczucia.

- Najlepiej będzie pewnie poczekać jeszcze parę godzin, aż wrócą. Tylko co mam zrobić z tym rozhisteryzowanym ojcem?

- Tak od razu nic nie zdoła wskórać. Przecież nie będzie gonił po całym Hamburgu i opowiadał każdemu, co wie!

- A co, jeśli zgłosi się do prasy? Dla nich to prawdziwa story.

- To pewnie tylko puste groźby, które on...

- Janet, psiarew, nie lekceważ tego! Nie rozmawiałaś z nim. Ten człowiek jest na skraju załamania. Pewnie cię to nie interesuje, co ze mną będzie, ale ja nie pozwolę zrujnować wszystkiego, co zbudowałem. Muszę porozmawiać z Ma-riem i...

- Przecież ci go spod ziemi nie wytrzasnę - syknęła rozdrażniona Janet.

Przez kilka sekund oboje milczeli. Phillip odezwał się cicho:

- Janet, ty... wy na pewno macie samochód. Czy nie mogłabyś... Tak sobie myślę, przecież mogli pójść do jednej z tych restauracji, w których dawniej bywaliśmy. Czy nie podjechałabyś tam i nie sprawdziła tego? Boję się, że...

- Boisz się o siebie - odparła Janet i odłożyła słuchawkę. W drzwiach pokoju pojawił się Andrew.

- W łazience jest kilka przedmiotów, które mogą należeć wyłącznie do kobiety. Sądzę, że rzeczywiście tu byli.

Janet zerwała się na równe nogi zdeterminowana.

- Idziesz ze mną? Chciałabym sprawdzić kilka miejsc, do których mogli pójść.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju.

Tina miała wrażenie, że ten koszmar nigdy się nie skończy. Od ilu już godzin siedzi w tej chacie? Dwunastu? Dwudziestu czterech? Czy może dłużej? Straciła rachubę czasu. Na zmianę to rozpaczliwie rozmyślała nad wyjściem z sytuacji, to pogrążała się w apatii. Czowała się jak zwierzę złapane w pułapkę i pogodzone już ze śmiercią.

Przejmujący ból, rozchodzący się od kostki prawej stopy, promieniował już na całe jej ciało. Czowała palące ukłucia w żebrach, ramionach, rękach, dłoniach. Czasami ból utrudniał



nawet oddychanie. Kiedy zasypiała na chwilę z przemęczenia, zaraz znów się zrywała.

Przycupnęła na dywanie w kącie pokoju, zarzuciwszy na ramiona zakurzony, zatęchły koc, który Mario wyjął z szafy. Mimo ciepła dygotała przez cały czas. To pewnie z bólu, a może miała też gorączkę. W pewnej chwili w trakcie tych niekończących się godzin zaczęła się skarżyć z powodu pragnienia. Mario wstał, wziął blaszane wiadro i bez słowa wyszedł z chaty. Tina powiodła za nim wzrokiem; do oczu napłynęły jej łzy wściekłości i zawodu, kiedy sobie uświadomiła, że nie może wykorzystać jego nieobecności, by podjąć próbę ucieczki. Nie zdołałaby przejść nawet dziesięciu metrów. Drogę do chaty, jaką przebyli poprzedniej nocy, pokonała jedynie dzięki temu, że Mario ją podtrzymawał, ciągnął i popychał. Ucieczka na własną rękę nie miała najmniejszego sensu.

Pozbierała się przynajmniej na tyle, że dopelzła do jednego z dwu okien i mogła się podciągnąć, przytrzymując się parapetu. Jako że przybyli tu nocą, z powodu ciemności oraz zupełnego wyczerpania, dławiona strachem i bólem, nie zdołała zorientować się w okolicy. Kiedy teraz wyjrzała na zewnątrz, zmrużyła oczy od oślepiającej jasności. Widok przygnębił ją zupełnie. Mario przywłókł ją w zapomniane przez Boga odludzie, na pustkowiu pełne skał, brunatnej krótkiej trawy, gór i lasów. Jak okiem sięgnąć nie było tam żadnego domu, żadnej innej chaty. Wąska ścieżka wijąca się pomiędzy skałami wiodła dalej w góry. Być może od czasu do czasu przechodzili tędy jacyś wędrowcy, lecz z pewnością niezbyt często. A już na pewno nie w ten morderczy skwar. Tina co prawda bezpośrednio go nie odczuwała, zamknięta w kamiennej chacie i trawiona gorączką, zdradzało go wszakże drzenie powietrza, zupełny bezruch gałęzi drzew oraz zeschła trawa.

Wróciła na miejsce, jednak za swą śmiałość została srodze ukarana kilkuminutowym wzmożonym atakiem bólu wprost nie do wytrzymania. Dziwiło ją, że przez cały ten czas w ogóle nie szlochała. Przecież zawsze płakała z byle powodu. Teraz zaś, kiedy znalazła się w prawdziwych tarapatach, nie uroniła ani jednej łzy.

W końcu nadszedł Mario z wiadrem pełnym wody, którą zgodnie z przypuszczeniami Tiny zaczerpnął ze strumienia. Napełnił kubek chochlą. Tina piła spieszными łapczywymi haustami. Woda smakowała nadzwyczaj dobrze, była czysta i świeża. Wzmocniła ją na tyle, że udało jej się przespać spokojnie i głęboko całe pół godziny.

Jednakże potem jej stan znów się pogorszył. Zapadła noc, a oni wciąż tkwili w tej opuszczonej chacie i czekali, sami nie wiedząc na co. Mario przysiadł na drewnianej ławie za stołem - zresztą wszystko było tam z drewna: skromne umeblowanie, podłoga, słupy podtrzymujące dach. Oparłszy głowę na dłoniach, gapił się przed siebie. Czuć było od niego przenikliwą woń potu. Tina poruszyła się, ponieważ zdrętwiała jej lewa stopa, i jęknęła przy

tym z bólu. Prawa kostka spuchła, a skóra na niej była napięta i błyszcząca.

- Mario - odezwała się. Po okresie rezygnacji, być może pod wpływem bezpośredniego ataku bólu, znów obudziły się w niej wola przeżycia i duch walki. - Mario, będziemy... będziemy potrzebować czegoś do jedzenia. - W tej chwili nie było to dla niej istotne, chociaż miała pusty żołądek. Musiała jednak coś powiedzieć, musiała wyrwać go z tego milczenia. Czy miał zamiar tak siedzieć, aż oboje padną martwi?

- Mario, poza tym muszę do lekarza. Moja stopa nie wygląda najlepiej. Chyba mam też gorączkę.

Nadal nie podnosił wzroku.

- Mario - powtórzyła cicho i dobitnie - na co my tu czekamy?

Wreszcie uniósł głowę i popatrzył na nią. Przeraziła ją pustka pozbawionego wyrazu spojrzenia.

- Zobaczymy, co się stanie - odparł.

- Umrzemy z głodu - powiedziała Tina.

Jej słowa zabrzmiały w sposób przeraźliwy i nierzeczywisty, a jednak w owej chwili zrozumiała, że trafiła w sedno. Oni umrą. Na to właśnie czekał Mario.

- O Boże - szepnęła.

W oczach Maria pojawił się cień tliwości, czyniąc go na moment nieco bardziej ludzkim.

- Nigdy bym nie pozwolił, by spotkało cię coś złego. To nie będzie bolało. Nie będziesz cierpieć.

- Ja teraz cierpię. Teraz mnie boli. I nie chcę umierać! Spojrzał na nią łagodnie, nieco litościwie.

- To najlepsze dla ciebie, uwierz mi. Nie ma innego sposobu, by cię uratować. Dużo o tym myślałem, ale naprawdę nie ma innego wyjścia.

On jest chory psychicznie, pomyślała z przerażeniem, rzeczywiście chory.

- Ale dlaczego? - spytała cicho. - Gdybym tylko potrafiła zrozumieć dlaczego.

Jednak wzrok Maria znów stał się pusty. Nie minie pół minuty, a znowu zapadnie w stan, z którego trudno go będzie wyrwać.

- Mario - powiedziała spieszenie Tina - potrzebuję więcej wody. Muszę sobie zrobić zimne okłady wokół kostki, bo inaczej zwariuję z bólu. Możesz mi przynieść wody?

Mario drgnął. - Co?

- Czy możesz mi przynieść wody? Potrzebuję wody! Poprzednim razem, nim wrócił znad strumienia, minął ledwie kwadrans. Tina była zdecydowana postawić wszystko na jedną

kartę. Nie miała już nic do stracenia, była przekonana, że Mario ją zabije. W jego oczach dostrzegła czyste szaleństwo; nie pomogą jej ani prośby i błagania, ani też odwoływanie się do rozsądku. Nie miało najmniejszego sensu przestrzegać go przed więzieniem czy zakładem dla obłąkanych, bowiem na pewno się ich nie bał. Najprawdopodobniej miał zamiar umrzeć wraz z nią.

Tina raczej nie miała złudzeń, że ucieczka się powiedzie, jednak chodziło przecież o jej życie, a to warte jest każdej próby. Mając ranną nogę, nie zdoła odejść daleko, zanim Mario zauważy jej zniknięcie, a on natychmiast zacznie przeczesać okolicę. Miała tylko jednego sprzymierzeńca: ciemność. Zapewniała jej niewielką ochronę, stwarzała możliwość ukrycia się, a następnie powolnego zejścia w dół zbocza. Ryzyko polegało na tym, że Mario prawdopodobnie bez trudu ją odnajdzie, a wtedy rozwścieczony udusi albo zatłucze. Wówczas jednak wszystko przynajmniej potoczy się szybko i nie będzie musiała siedzieć całymi godzinami czy nawet dniami w tej chacie, czekając na ostateczny koniec.

- Mario - powtórzyła - wiadro jest prawie puste. Potrzeba nam świeżej wody!

I rzeczywiście: wstał, zabrał wiadro i zniknął w mroku nocy.

Tina przesuwiała się centymetr po centymetrze. Zaciśnęła zęby, by nie jęczeć z bólu. Pełzała na czworakach, starając się przy tym nie zginać i nie poruszać zranioną nogą. Mimo to dwukrotnie miała wrażenie, że zaraz zemdleje z bólu. Musiała wytrwać, musiała dotrzeć przynajmniej do drzwi, musiała wydostać się na zewnątrz, skryć się w ciemnościach... Jeszcze metr, jeszcze pół...

Bądź silna, rozkazywała sobie, nie myśl o bólu, nie o...

Nagle drzwi się otwały i stanął przed nią Mario.

Tina uniosła ku niemu wzrok i wpatrywała się w niego przerażonymi oczyma. Ona kuliła się na podłodze, on zaś stał nad nią, ogromny, groźny, mroczny, mając za plecami noc, która nie będzie już dla niej sprzymierzeńcem. Była na jego łasce, była sama. Na pewno umrze.

- Nie chciałam uciec - zapewniła. - Naprawdę nie chciałam. Ja... musiałam wyjść, rozumiesz, nie mogę tu, w chacie... Boże, nie patrz tak na mnie...

Przykucnął przed nią, oburącz objął jej ramiona. Popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- Proszę się nie bać. Nic pani nie zrobię. Niech pani przestanie drżeć!

- Ja... ja... - próbowała coś powiedzieć, nie zdołała jednak wydusić z siebie ani słowa. Jego ciepłe mocne dłonie nadal dotykały jej ramion.

- Musimy stąd iść. - Podniósł się i usiłował podciągnąć ją w górę, lecz wzdrygnął się,

kiedy krzyknęła z bólu. Spojrzał na nią, zdezorientowany. - Co się dzieje?

Wcale ją to nie zdziwiło, wiedziała bowiem, że jest chory psychicznie.

- Moja noga - szepnęła - strasznie boli. Musiałam złamać kostkę. - Jej twarz była blada jak papier, a usta posiniały.

Na powrót przykucnął przy niej.

- Na pewno zdziwi się pani, a niestety nie ma czasu na dokładne wyjaśnienia, ale nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze. Jestem bratem bliźniakiem. Przypuszczam, że nie wie pani o moim istnieniu.

To schizofrenik, pomyślała Tina, już dawno powinni go byli zamknąć.

Zauważyła, że jego ręce mocno drżą.

- Oczywiście - powiedziała ze spokojem. - Rozumiem. Westchnął.

- Nie wierzy mi pani. Nie wiem, jakie ubranie ma dziś na sobie mój brat, ale chyba nie takie samo jak ja, czyż nie?

Tina zmarszczyła czoło. Z początku nie zwróciła na to uwagi, teraz jednak spostrzegła, że niebieskie dzinsy Maria były nieco jaśniejsze, poza tym miał na sobie białą koszulę. Jakim sposobem nagle zmieniła się w niebieski, dosyć brudny T-shirt?

Jęknęła.

- Chyba tracę rozum - wyszeptała.

Człowiek, który wyglądał jak Mario i podawał się za jego brata, taksował ją pełnym współczucia wzrokiem.

- Przrzekam, że wszystko pani wytłumaczę. Ale teraz musimy się stąd wydostać. Mój brat jest niebezpieczny. Jeśli się pani na mnie wesprze, da pani radę iść?

Skinęła głową, poddając się swemu losowi. Nawet jeśli nic już nie rozumiała, jeśli może i sama zwariowała, to jednak nie pozostało jej nic innego, jak tylko pogodzić się z tym, co miało ją spotkać.

Bardzo ostrożnie podciągnął ją w górę; z bólu dostała mdłości, choć może także z głodu. Z trudem próbowała utrzymać równowagę. A kiedy za plecami człowieka, który twierdził, że jest bratem bliźniakiem Maria, ujrzała wyłaniającego się z ciemności człowieka, którego знаła jako Maria, nerwy odmówiły jej posłuszeństwa; krzyknęła i osunęła się na ziemię. Upadła tak nieszczęśliwie, że ból, jaki przeszył jej nogę, stłumił wszelkie inne doznania i sprawił, że opadła w mroczny, przynoszący ulgę stan omdlenia.

Po bezskutecznych poszukiwaniach w dziesięciu restauracjach Andrew stwierdził, iż nie spodziewa się, by dalsze wysiłki mogły przynieść coś nowego.

- Niedługo północ. Może oboje już dawno wrócili do domu. Janet, nie możemy

przeczesać całego kraju!

Zatrzymali się na skraju niewielkiego miasteczka, by zastanowić się, co dalej. Janet odwiedziła restaurację z ogródkiem, w której niegdyś bywali; teraz jednak pracowali tam zupełnie inni ludzie i nie mogli sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widzieli Maria. Poinformowali ją, że poprzedniego wieczoru w pobliskiej dyskotecce pewien młody człowiek zginął w bójce. Janet zamarła z przerażenia, lecz zaraz odzyskała spokój, okazało się bowiem, iż ów młodzieniec był mieszkającym w tym miasteczku Francuzem. Morderca uciekł, ale on chyba nie ma nic wspólnego z człowiekiem, którego szukają? Nie, odparła Janet, to nie ma żadnego związku.

Choć oboje, acz niezupełnie konsekwentnie, rzucili palenie wiele lat wcześniej, kupili paczkę papierosów i siedząc w samochodzie, zaciągali się dymem. Andrew był przekonany, że Janet wiedziała o jakichś zaburzeniach psychicznych u Maria, w przeciwnym bowiem razie jej panika byłaby całkiem niezrozumiała. Musiał się stale pilnować, by nie okazać jej swej irytacji. Jak mogła być tak cholernie lekkomyślna i nieodpowiedzialna! Przypuszczalnie całymi latami dusiła w sobie ten drażliwy sekret, trzymała język za zębami z błędnie pojętej matczynej miłości, by jej kochanego chłopca nie spotkało nic złego... Mimowolnie pomyślał o pani Corvey, matce

Freda, która bez drgnienia powiek skłamała dla dobra swego syna. Nie potrafił jej zrozumieć, i podobnie nie rozumiał teraz Janet. Wspomnienie Corveya wzbudziło w nim nową falę gniewu; gwałtownym ruchem opuścił szybę i wyrzucił papierosa na ulicę. Następnie uruchomił silnik.

- Jedziemy do domu i zobaczymy, czy już wrócili - oznajmił, a Janet aż się wzdrygnęła pod wpływem ostrego tonu jego głosu.

Nikogo nie zastali, dom był tak samo cichy i pusty jak wcześniej. Kilka minut po ich przyjeździe zadzwonił telefon; to Phillip już od pół godziny znów usiłował się z nimi skontaktować. Wydawało się, że jest u kresu wytrzymałości psychicznej.

- Czy coś znaleźliście? - spytał natychmiast.

- Nie - odparła Janet - i nic mi już nie przychodzi do głowy, gdzie jeszcze mogliby się podziwiać.

W tym momencie Phillip doznał olśnienia.

- Chata! - zawołał. - Jak sądzisz, czy możliwe, żeby...

- Chryste! - krzyknęła Janet. - Że też o tym nie pomyślałam! Chata! Jedziemy tam natychmiast!

Już miała odłożyć słuchawkę, lecz powstrzymał ją głos Phillipa.

- Janet! Co wiesz o Mariu? Co się stało? Dlaczego...

- Nie teraz - przerwała mu i rzuciła słuchawką.

Pięć minut później siedzieli już w samochodzie i gnali przez mrok.

## Sobota, 10 czerwca 1995 roku

Kiedy Tina odzyskała przytomność, przez kilka chwil szczęśliwie nie miała pojęcia, co się stało i gdzie się znajduje. Bolała ją noga, lecz nie od razu uświadomiła sobie, co to oznacza. Kiedy otworzyła oczy i spostrzegła nad sobą drewniane belki dźwigające dach chaty, zrozumiała. Podniosła się.

Wciąż panowały nocne ciemności, jednak w chacie paliła się lampa naftowa, rozjaśniając wnętrze słabą poświatą. Tina leżała na kocu. Ktoś - czyżby Mario? - owinał jej staw skokowy mokrą chłodną szmatką. Miała wrażenie, że złagodziło to nieco ból.

- Mario? - powiedziała półgłosem.

- Pani nie śpi? - usłyszała w odpowiedzi. Dopiero teraz zauważyła, że Mario - albo jego brat bliźniak, albo ktokolwiek to był - siedział na podłodze tuż obok stołu, a ręce miał przywiązane do jego nogi. Od nosa przez wargi aż po podbródek ciągnęła mu się zaschnięta strużka krwi. Powieka lewego oka wydawała się napuchnięta.

Tina wpatrywała się w niego, chcąc się upewnić, że nie ulega żadnym omamom. Usiłowała zrozumieć to, co widziała na własne oczy, i wyciągnąć logiczne wnioski. Skoro ten człowiek był skrupowany, a zarazem mogła z niejaką pewnością wykluczyć możliwość, iż to ona własnoręcznie go związała, w takim razie rzeczywiście istniała trzecia osoba. Czyżby brat bliźniak?

- Nie - odparła na pytanie młodzieńca.

- Dzięki Bogu, już myślałem, że się pani nie obudzi. Runęła pani jak długa. Co z nogą?

- Boli. Jest lepiej, kiedy nią nie poruszam.

- Znaleźliśmy się w nieprzyjemnej sytuacji. Od pół godziny próbuję oswobodzić się z tych więzów, ale jak dotąd nic nie wskórałem. Ręce mi krwawią.

- To pański brat tak pana urządził? Przytaknął.

- Powalił mnie. Dopadł mnie od tyłu i zanim zorientowałem się, co się dzieje, leżałem już na ziemi. Nigdy bym nie pomyślał, że może być wobec mnie tak brutalny.

Tina powróciła myślą do owego wieczoru w dyskotecę. Od tamtej pory wiedziała, jak brutalny potrafi być Mario.

- Boję się - powiedziała. Szarpnął mocno za więzy.

- Obawiam się, że nie poluzują się ani trochę - mruknął. - Zawiązał je na wiele supłów!

- Gdzie on teraz jest? Uciekł i zostawił nas na pastwę losu?

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Raczej nie. Wróci. I byłoby lepiej, gdybyśmy do tego czasu stąd zniknęli.

- Przyłożył mi zimny opatrunek na nogę - odparła Tina. - To był on, prawda? Chyba jednak nie chce mi zrobić krzywdy, w przeciwnym razie nie troszczyłby się o moją nogę! - W jej głosie pobrzmiwało błaganie. Uchwyciła się mizernej nadziei i z całego serca pragnęła, by okazała się trwała, wiedziała jednak dobrze, jak była złudna. Mario oszalał, jego zachowanie nie podlegało prawom logiki. Był w stanie troskliwie się nią opiekować, by chwilę potem skrócić jej kark.

Na swe pytanie nie otrzymała odpowiedzi; zrozumiała, że także brat Maria nie ma złudzeń. W jej głosie dał się słyszeć stłumiony szloch:

- Jak się pan nazywa? Obrzucił ją wzrokiem.

- Maximilian.

- Maximilianie, co się dzieje z pańskim bratem? Jest chory psychicznie, tak? Opowiadał mi, że był uzależniony od tabletek i właśnie je odstawił. To mnie z początku uspokoiło. Ale to nieprawda. To nie tłumaczy wszystkiego!

- Nigdy nie był uzależniony od tabletek - zaprzeczył Maximilian. - Pewnie wpadł na ten pomysł, ponieważ wie, że to ja jestem od nich uzależniony. To mnie tak nimi faszerowali, że bez nich nie dają już rady. Jeśliby moje ręce nie były związane, drżałyby jak oszalałe.

- Dlaczego nigdy ani słowem nie wspomniał o swoim bracie bliźniaku?

- Ponieważ fakt, że jest nas dwóch, stanowi najlepiej strzeżoną tajemnicę naszej rodziny. Mój ojciec postarał się o to, by nikt o tym nie mówił.

- Ale dlaczego? - Poczwała, jak obezwładnia ją nowy rodzaj strachu. - I dlaczego faszerowano pana tabletkami?

- To długa historia. O wszystkim się pani dowie, przyrzekam to pani. Ale najpierw musimy się zastanowić, jak stąd uciec. Jak pani sądzi, czy dałaby pani radę przysunąć się do mnie i spróbować rozsupłać te węzły?

- A jeśli on nadejdzie?

- Nie mamy nic do stracenia. Proszę, niech pani spróbuje! Zaczęła się ku niemu czołgać. Kilkakrotnie wydawało jej się, że słyszy zbliżające się kroki, i przerażona nieruchomiała, lecz Maximilian ponaglał ją:

- To nic. Szybciej!

Kiedy przybliżyła się do niego, zauważyła, że i z bliska wygląda identycznie jak Mario. Wprawiło ją to w konsternację. Nigdy nie zdołałaby ich rozróżnić. Jedynie oczy... Te



były inne, przypominały oczy Maria, zanim zmienił się w tak przerażający sposób. Nie były osłupiałe i puste - były żywe, pełne ciepła i... strachu.

- Szybciej! - ponaglał Maximilian.

- Nie pójdzie tak łatwo - stwierdziła Tina. - O Boże, ile supłów! Niech się pan nie rusza!

Zaczęła je rozplątywać, złamała sobie dwa paznokcie, zakłęła cicho, ale nie przestawała. Maximilian wyczuwał tuż przy uchu jej ciężki oddech.

- Odbiło mu, kiedy zaczęła pani odkrywać przed nim swe kobiece wdzięki - powiedział. - Wiedziałem, że tak będzie. Podejrzywałem, że wyjechał z dziewczyną, i natychmiast wyruszyłem w drogę.

- Czemu nie powiadomił pan policji?

- To mój brat.

Pierwszy węzeł puścił. Udało się go rozsupleć.

- Jeden z głowy - oznajmiła.

- Okay. Dalej, następny!

- Co on we mnie widział na początku... jeśli nie kobietę?

- Anioła. Nieziemską istotę. Stworzenie, którego zawsze szukał.

- Tyś jest obrazem, który w sobie noszę...!

- Tak powiedział?

- Tak. Nie mogłam tego zrozumieć. To znaczy... Pomyślałam sobie, że coś we mnie dostrzegł, coś, co potem okazało się ułudą. Ale... wszystko to było takie zagmatwane... A potem opowiedział mi o tych tabletkach i sądziłam, że to wyjaśnia wszystko.

- To cytat z „Walkirii”. Na pewno słuchał Wagnera, prawda?

- Często. Głównie w nocy. Maximilian westchnął.

- Dlaczego pani nie uciekła? Czy nie wydało się to pani dziwne? Młody człowiek, który całymi nocami słucha muzyki Wagnera?

Następny węzeł puścił.

- Chciałam uciec - odparła Tina. - Bałam się. Ale nie byłam pewna, czy to nie ja... Wie pan, mam tak niewielkie doświadczenie z mężczyznami. Właściwie to żadnego. W niczym nie mam doświadczenia. I dlatego zawsze myślałam, że to może ja przesadnie reaguję. Może jestem nienormalna. Może wplątuję się w coś... Au!

- Co jest?

- Sznur jest strasznie ostry, krew poszła mi z palca!

- Proszę nie przestawać!

Zacisnęła zęby, starła krew ze spódnicy i dalej szarpała za supły.

- On uwielbia muzykę Wagnera - wyjaśnił Maximilian - ponieważ często pojawia się tam motyw czystej miłości, nieskalanej przez cielesność. Miłości, która triumfuje nad wszelkim zepsuciem, przynosząc wybawienie i wolność. Tego właśnie szukał.

- On jest chory psychicznie!

- To człowiek zdesperowany. Wiem, co czuje, bo znam wszelkie jego doznania. Szuka czegoś, czego nie może odnaleźć. Będzie cierpiał przez całe życie.

- Powinien trafić do kliniki!

Maximilian nie odpowiedział. I wtedy Tina odgadła prawdę. Przekonanie to zawładnęło nią bez reszty, było tak oczywiste, że nie pozostawiło miejsca na jakąkolwiek wątpliwość.

- O nie - szepnęła. Opuściła ręce. - Pan także! Wy obaj! Pan też był w klinice, tak? To dlatego pana nie było, to dlatego nie wolno było o panu mówić. Dlatego dostawał pan tabletki. I dlatego wie pan dokładnie, co się dzieje z Mariem. - Cofnęła się. - Co pan zrobił, że pana zamknęli? Musiał się pan dopuścić czegoś okropnego!

Zdesperowany Maximilian szarpał za sznur.

- Jestem zdrowy. Proszę, niech mi pani uwierzy! Tak, byłem... w klinice. Ale miałem stamtąd wyjść za parę tygodni. Na Boga, Christino - pani ma na imię Christina, prawda? - proszę, niech pani nie traci teraz głowy! Musimy stąd uciekać!

- Nie uwolnię pana. Nie mogę tego zrobić! - Odsunęła się jeszcze dalej.

- Christino, beze mnie nie da pani rady stąd uciec. Jest pani ranna. Proszę mnie uwolnić, przyrzekam, że zaprowadzę panią w bezpieczne miejsce! - Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach głęboką, podszytą strachem nieufność. Z wściekłością i lękiem krzyknął: - Do cholery, on nas zabije! Zabije panią, gdyż okazała się pani złudzeniem, i zabije mnie, bo czuje się przeze mnie zdradzony. Chce pani tego? Chce pani umrzeć?

Potrząsnęła głową. Maximilian ponownie szarpnął za więzy, nie zwracając uwagi na to, że otarta skóra na jego nadgarstkach zaczęła krwawić.

- W takim razie proszę mi pomóc! Byle szybko! Proszę mi pomóc!

Jak zahipnotyzowana znów zaczęła targać za supły. Zrozpaczony Maximilian przymknął powieki. Szło to tak powoli, tak wolno... a on nie mógł nic zrobić, mógł tylko czekać. Wyczuł, że dziewczyna zatraciła gdzieś swe zdecydowanie, bała się, wahała, nie wiedziała, czy postępuje właściwie. A potem, mając wciąż zamknięte oczy i usiłując odprężyć się na tyle, by nie dopuścić do drżenia rąk, poczuł jakiś zapach. W pierwszej chwili wydawało się, że to tylko złudzenie, jednak z czasem stał się tak wyraźny, że w końcu nie miał już

wątpliwości: czuć było dym. Kiedy otworzył oczy, dostrzegł, że na drugim końcu chaty, w miejscu, gdzie drewniana ściana oddzielała dobudowaną szopę, również z drewna, przez szpary w deskach przedostaje się dym.

- Ogień - odezwał się. - Christina, niech się pani pospieszy! Mój brat podłożył ogień.

W pierwszej chwili przestraszył się, że przerażenie ją sparaliżuje, lecz ona tylko drgnęła, po czym ze zdwojoną energią zaczęła szarpać za węzły.

- Zaraz skończę - szepnęła.

Nagle drzwi do chaty rozwarły się i w progu stanął Mario. Był blady, a jego oczy rozpalala euforia. Tina natychmiast odsunęła się od Maximiliana. Mario jednak zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje. Wykrzywił usta w straszliwym uśmiechu.

- Tina - powiedział delikatnie. Wszedł do chaty i zbliżył się do niej. W ogóle nie zważał na brata.

- Tina! - Ukłękął przed nią, uniósł dłoń i delikatnym ruchem odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. - Jakaś ty śliczna - szepnął. - Przepiękna!

Ciemny dym coraz mocniej wdzierał się do wnętrza. Wkrótce zajmą się słupy, belki stropowe, drewniane wyposażenie. Tina zakasłała.

- Mario, ja chcę żyć! - powiedziała cichym głosem. Potrząsnął głową, uśmiechając się pogodnie.

- Tak będzie lepiej, uwierz mi. Znajdziesz wybawienie. Płomienie cię oczyszczą.

Tina znów zakasłała. Dym gryzł ją w oczy. Maximilian nie odezwał się ani słowem, nie chcąc zwracać na siebie uwagi brata. Jak oszalały szarpał za węzły. Tina już prawie sobie z nimi poradziła, został jeszcze tylko jeden supeł.

- Nie powinienes niweczyć swego marzenia, Mario - powiedziała Tina. - Ja jestem twoim marzeniem. Daj nam szansę.

Tak, pomyślał Maximilian, mów do niego. Odwróć jego uwagę...

Mario ponownie potrząsnął głową, tym razem pełen żalu.

- Zwiodłaś mnie. To nie twoja wina, to tkwi w tobie. Tkwi we wszystkich kobietach. Wiedziałem o tym już w czasie naszej podróży... kiedy zobaczyłem cię przez piwniczne okienko. Jak ochoczo wystawiałaś na pokaz swoje ciało!

Słowa te przyprawiły ją o mdłości.

- To byłeś ty - szepnęła. - Ten mężczyzna w oknie... - Chociaż nie miało to już najmniejszego znaczenia, poczuła się wstrząśnięta tym odkryciem. A zatem już wówczas tracił rozum. A ona wciąż czuła się tak bezpiecznie...

- Wkrótce wszystko się skończy - pocieszał ją Mario.

Tymczasem dym wypełnił już całą izbę. Z zewnątrz dochodził odgłos trzaskających płomieni. Od połowy kwietnia nie spadła ani jedna kropla deszczu, łatwopalnego materiału było pod dostatkiem.

- To będzie ofiara i wyzwolenie. Nadchodzi wielka chwila! - Mario promieniał głęboką radością.

W tym właśnie momencie puścił ostatni węzeł zaciśnięty na przegubach Maximiiiana. Sznury opadły na podłogę. Był wolny.

Nie zwlekał ani sekundy. Zerwał się na równe nogi, zamierzył się pięściami obu rąk i uderzył brata w kark. Mario padł na ziemię niczym powalone drzewo i nie poruszył się więcej.

- Dalej - krzyknął Maximilian - w nogi!

W międzyczasie cała chata stanęła w płomieniach. W tym niewielkim pomieszczeniu dym był tak gęsty, że ledwie można było dojrzeć okna, ściany, meble. Kasłając i ciężko dysząc, Maximilian po omacku odnalazł drogę do wyjścia, wlokąc za sobą jęczącą z bólu Tinę. Nie miał pojęcia, jak zdołał dotrzeć do drzwi. Otworzył je szarpnięciem i począł łapać powietrze niczym tonący. Tina uwiesiła się jego ramion. Najchętniej odepchnąłby ją i wrzasnął, by szła dalej sama, bo musi wrócić i ratować z płomieni swego brata, jednak zupełnie wyczerpana Tina nie dałaby rady przejść o własnych siłach nawet pięciu kroków. Najpierw musiał ją wydostać ze strefy zagrożenia, zanim będzie się mógł zatroszczyć o brata.

Za ich plecami płomienie wystrzeliły w górę ku nocnemu niebu. Z łoskotem zapadła się część dachu. Tina, nie mogąc już znieść bólu, wzbraniała się iść dalej, nieświadoma tego, co robi.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Rozległ się przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety: - Mario!

Sekundę później padł strzał, ledwie słyszalny wśród odgłosów buzujących płomieni. Zabrzmiął raczej jak wystrzał korka od szampana. Maximilian upadł na kolana, po czym powoli, niby w zwolnionym tempie, osunął się na ziemię, wprost na ranną nogę Tiny.

Dziewczyna wydała z siebie jedynie ciche westchnienie, zanim po raz drugi tej nocy straciła przytomność. Dopiero dużo później miała sobie przypomnieć, że spojrzała prosto w twarz tego obcego mężczyzny, który oddał strzał, i że w jego oczach dostrzegła nienawiść i okrutną radość.

W pamięci Janet obrazy i wrażenia owej nocy na zawsze pozostały niezwykle ostre i wyraźne. W powietrzu pojawiły się liczne helikoptery, przybyły policja, straż pożarna, karetki.

Kto ich zawiadomił? To mógł być tylko Andrew, który pognął na złamanie karku w dół stromego zbocza, by z telefonu w wypożyczonym samochodzie zadzwonić na policję i podać im przybliżone położenie miejsca - choć i tak kierunek wskazywały widoczne z daleka płomienie. Janet siedziała wtedy na trawie przed płonąłą chatą i trzymała w ramionach swego umierającego syna. Jak przez mgłę przypominała sobie walkę, jaką wcześniej stoczyła z Andrew, kiedy uświadomiła sobie, że jej drugi syn prawdopodobnie znajduje się wewnątrz chaty. - Puszczaj, muszę go ratować, muszę tam wejść!

- To niemożliwe, Janet! To nie ma sensu! Wszystko już płonie! - Potrząsał nią, trzymał w objęciach, ścisnął aż do bólu, uchylając się przed uderzeniami i kopniakami, którymi usiłowała się uwolnić. Słyszała jego ciężki oddech, z tyłu zaś okropny trzask i buzowanie płomieni, łoskot, z jakim zawałiła się chata. A potem, nagle, jej opór ustał; wiotka i bezbronna zwisała w jego ramionach. Andrew odczekał moment, by się upewnić, że nie zacznie się znowu szarpać, ale Janet zamarła bez ruchu. Posadził ją na trawie i wcisnął w dłoń chusteczkę z zaleceniem, by możliwie jak najmocniej przycisnęła ją do rany, z której tryskała krew. Dopiero po kilku minutach uzmysłowiła sobie, że nie chodzi o nią, lecz o jej syna, który bezskutecznie walczył o życie. Nieco dalej leżała w trawie jasnowłosa dziewczyna; ocknąwszy się, usiadła i rozejrzała wokół rozszerzonymi strachem, zdumionymi oczyma. Ogień rozświetlał mrok nocy, rzucając daleko w niebo swój czerwony blask. Obie kobiety, sam na sam z płomieniami i śmiercią, patrzyły na siebie w milczeniu.

Dopiero później, gdy zaroilo się od ludzi, kiedy Tinę wniesiono na noszach do helikoptera, kiedy zabierali ciało zmarłego, zakrywszy jego twarz chustą, kiedy samoloty gaśnicze zaczęły krążyć nad płonąłą chatą, a płomienie przygasać pod strugami wody, Janet odzyskała zdolność logicznego rozumowania i po raz pierwszy od chwili, kiedy błagała, by ją wpuszczono do wnętrza chaty, znów mogła mówić.

- Nie powiedziałaś, że masz przy sobie broń - rzekła do Andrew.

Powoli, lecz poprawnym francuskim Andrew rozmówił się z kilkoma policjantami, złożył najpotrzebniejsze wyjaśnienia i pokazał swoją legitymację Scotland Yardu. Potem odwrócił się do Janet, która wciąż siedziała w tym samym miejscu. Brzuch, ręce i nogi miała umazane krwią swego syna. Sanitariusz okrył jej ramiona kocem i podał plastikowy kubek z gorącą kawą. Andrew też trzymał w ręce podobny kubek, a Janet pomyślała: Częstujecie kawą mordercę!

Przykucnęła i spojrzała na nią zatroskanym wzrokiem.

- Jestem funkcjonariuszem policji - odpowiedział na jej pytanie. - Zawsze noszę przy sobie broń.

- Nie byłeś tu na służbie.

- Ale wiedziałem, że może być niebezpiecznie. Dlatego... - Nie dokończył zdania. Panował nad sobą, lecz z jego oczu Janet mogła wyczytać, jak bardzo był oszołomiony i roztrzęsiony. Strzelił do nieuzbrojonego człowieka, nie sprawdzwszy wcześniej, jak poważna jest tak naprawdę sytuacja.

Janet zastanawiała się, jak to zdarzenie zaklasyfikuje policja. Czy złamie mu karierę, czy też może zbagatelizują sprawę?

Wzdrygnęła się. Andrew ujął ją pod ramię.

- Chodź, zaprowadzę cię do samochodu. Pojedzie z nami funkcjonariusz. Chcą spisać nasze zeznania.

Strząsnęła jego rękę.

- Nie dotykaj mnie, proszę! - Chwiejnie stanęła na nogach, wylewając przy tym połowę kawy, czego wcale nie zauważyła.

Andrew wstał także. Sprawiał wrażenie, jakby nagle się postarzał, miał zapadłą twarz, był bezradny.

- Janet - ponownie wyciągnął do niej dłoń, po chwili jednak niepewnie ją cofnął. - Janet, jest mi okropnie przykro. Chciałbym, żeby nigdy do tego nie doszło. Zobaczyłem tego mężczyznę i broniącą się dziewczynę... Myślałem, że chce ją wziąć jako zakładnika, że zrobi jej krzywdę... - Uniósł bezradnie ręce. - Puścili mi nerwy. Wiedziałem, że do czegoś doszło, że uznałaś Maria za bardzo niebezpiecznego, i kiedy wykrzyknęłaś jego imię...

Wlepiła w niego wzrok, a z jej gardła dobył się bulgotliwy odgłos. W pierwszej chwili Andrew pomyślał, że przetyka ślinę, potem jednak z przerażeniem zrozumiał, że był to śmiech - histeryczny śmiech.

- Janet! - powiedział błagalnym tonem. Była w szoku, bliska załamania nerwowego.

- On nie był niebezpieczny - odparła. - On nie był niebezpieczny. Z nich dwóch bardziej niebezpieczny był ten, który spłonął w chacie. Ten, którego zastrzeleś, był niewinny. Był dobrym człowiekiem.

- Ale w takim razie... - W głowie Andrew zaczęło kiełkować straszne podejrzenie. - W takim razie spłonął Mario. Maximilian, który został wyleczony, a którego teraz nazywasz niewinnym... to jego zabiłem. Zastrzelełem Maximiliana. Odkrycie to poruszyło go do żywego. Pobladł jak kreda, gdy zrozumiał tragiczną pomyłkę, jaką popełnił. Janet będzie cierpieć z tego powodu do końca życia. - Pomyliłaś ich. Mój Boże, Janet, krzyknęłaś niewłaściwe imię!

Uśmiechnęła się smętnie.

- Nie - odpowiedziała. - Mylisz się, sądząc, że mogłabym pomylić moje dzieci. Ten, którego wołałam, to był Mario. Zastrzeleliś Maria. Maria, który nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy.

W oczach Andrew pojawił się błysk zrozumienia - i przerażenia.

- Wszystko źle zinterpretowałem. Nigdy nie bałaś się o Maria. Ruszyliśmy jak szaleni za nim i dziewczyną tylko dlatego, że musiałaś ich odnaleźć, zanim odnajdzie ich Maximilian. Z jakiegoś powodu wiedziałaś, że on nie jest jeszcze w pełni zdrow, nawet jeśli lekarze tak twierdzą, i ty...

- Wiedziałałam, że nie można go wyleczyć. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym powagi i spokoju. - Zrozum wreszcie, nie można go było wyleczyć. Bo, widzisz, już od dawna nie przebywał w klinice... już od kilku lat. - Odwróciła się i powoli odeszła.

- Nie potrafimy ich ochronić - powiedział Michael. - Nie damy rady chronić ich przez cały czas. To nie ma nic wspólnego z poczuciem winy. Ja całym latami starałem się trzymać Tinę pod kloszem i nie dopuścić, by spotkała ją coś złego. A mimo to niemal doszło do nieszczęścia. Zresztą, ma to coś wspólnego z... - Tu słowo uwięzło mu w gardle; używał go bardzo rzadko, bowiem wydawało mu się wyświechtane i gorszące. - Ma to coś wspólnego z przeznaczeniem - powiedział w końcu.

- Przestrzegał mnie pan. Przestrzegał pan Danę. My jednak tylko drwiłyśmy z pana - szepnęła Karen. Była zbyt wyczerpana, by mówić głośniej. Jej słowa brzmiały tak chropawo, jakby była przeziębiona.

- Proszę, niech pani przestanie - zaproponował Michael.

- Zadręczanie się nie ma teraz najmniejszego sensu. Nikt nie zdołałby odwieść Dany od tego, na co miała ochotę. Ani ja, ani pani... nawet gdyby pani próbowała.

- Gdybym jej tego od początku zabroniła...

Ujął jej dłoń i uściśnął. Jej palce były lodowato zimne.

- Proszę, nie! Obojętne, co by pani zrobiła, i tak mogło do tego dojść. Nie możemy przecież trzymać naszych dzieci w zamknięciu, prawda?

Był sobotni poranek, zapowiadał się pogodny, słoneczny dzień, jednak przez okno napływało do wnętrza dość chłodne powietrze. Karen siedziała na sofie z podkurczonymi nogami, skulona niczym ludzki embrion. Wciąż miała na sobie wczorajsze żółte ubranie. Rozmazał się jej makijaż, tworząc wokół oczu czarne obwódki, przez co wyglądała jeszcze gorzej. Przez cały poprzedni wieczór na przemian płakała, mówiła i znów płakała i w końcu całkiem bezwolna pozwoliła, by Michael zaprowadził ją do sypialni i położył na łóżku. Następnie zaczął szukać jakichś środków nasennych. Przetrzęsławszy wszystkie szuflady i

szafki w łazience i kuchni, natknął się w końcu na paczkę silnych środków uspokajających; załączona ulotka informowała, że pomagają przy silnych zaburzeniach snu. Podał Karen dwie tabletki; połknęła je bez słowa sprzeciwu. Kiedy jednak zamierzał wyjść z pokoju, natychmiast się zerwała.

- Niech pan nie odchodzi! Proszę, niech pan nie odchodzi! Potrząsnął głową, chcąc ją uspokoić.

- Nigdzie nie wychodzę. Będę w pokoju dziennym, dobrze? W każdej chwili może mnie pani zawołać.

Kiedy godzinę później zaglądnął do niej, spała głębokim snem. Na jej twarzy widniały zaschnięte, zabarwione na czarno ślady łez. Miała nieznacznie rozchylone usta i wyglądała jak małe dziecko, bardzo samotne i bardzo wrażliwe.

Michael spędził noc przed telewizorem; przełączał kanały, lecz nie bardzo zwracał uwagę na to, co ogląda. Targał nim tak gwałtowny wewnętrzny niepokój, iż nie zniósłby go w zupełnej ciszy, bez odgłosów dobiegających z odbiornika. Kiedy o pół do piątej nad ranem zadzwonił telefon, jego serce zaczęło łomotać, tak że pomyślał, iż dostanie zawału, zanim zdąży podnieść słuchawkę. Słowa więzły mu w gardle.

- Słucham? - odezwał się.

Dzwoniła Tina. Wydawała się tak blisko, jakby telefonowała z budki za rogiem. Wyjaśniła jednak, że znajduje się w szpitalu w Nicei.

- W szpitalu? Boże! Co się stało?

- Upadłam, mam lekkie złamanie kostki prawej nogi. Ale poza tym nic mi nie jest. Janet Beerbaum podała mi numer do Dany i powiedziała, że można cię tam zastać. Co ty tam robisz? I do tego w nocy?

W istocie, fakt, iż o pół do piątej nad ranem zastała ojca w mieszkaniu Karen i Dany, musiał wywołać u niej niemałe zaskoczenie. Michael nie chciał jej w tej chwili niepokoić wieściami o Danie, dlatego unikał tego tematu.

- Strasznie się o ciebie martwiłem. My wszyscy. Nie mogłem wytrzymać sam i... - Nie dokończył, lecz wydawało się, że to wyjaśnienie zadowoliło Tinę.

Z jej ust usłyszał nieco chaotyczną opowieść; znając niektóre fakty, nie zdziwił się, dowiadując się o istnieniu brata bliźniaka. Zaskoczyła go natomiast informacja, że w Prowansji przebywali obaj bracia - przecież jeden z nich miał siedzieć w zamkniętym zakładzie! - a także i to, że dołączyła do nich matka Maria, i to w towarzystwie funkcjonariusza Scotland Yardu.

Czego Scotland Yard szuka w Prowansji? - dziwił się w duchu. Przyjdzie jeszcze czas



na wyjaśnienie wszystkich tych kwestii.

- Tina, kochanie, przyjadę do ciebie tak szybko, jak tylko będę mógł - obiecał.

Tina jednak odparła, iż być może już wkrótce wróci do domu. Porozmawia z lekarzem i z funkcjonariuszem, który ją przesłuchiwał.

- Niedługo znów do ciebie zadzwonię - zapewniła. - Właśnie kończą mi się pieniądze... - Telefon zaczął piszczeć, po czym rozmowa została przerwana.

Michael jeszcze przez chwilę stał pośrodku pokoju obok aparatu telefonicznego, oddając się błogiemu uczuciu kojącej ulgi. Było mu wstyd, że poczuł się o niebo lepiej, podczas gdy w sąsiednim pokoju spała kobieta, której córka została zamordowana. Nic nie mógł jednak na to poradzić, iż owładnęła nim tak ogromna fala szczęścia i wdzięczności. W końcu osunął się na sofę, oparł głowę na dłoniach i siedział tak, aż usłyszał odgłos ciężkich powolnych kroków Karen, która szła do łazienki. Było pół do siódmej. Podniósł się i ruszył do kuchni, by zagotować wodę na kawę.

Kiedy usiedli razem w pokoju dziennym, Michael, ostrożnie dobierając słowa, opowiedział o Tinie. Karen wciąż jeszcze była pod wpływem środków uspokajających, lecz na powrót bezlitośnie dławił ją ból. Zareagowała w sympatyczny, godny podziwu sposób, jakiego zupełnie się po niej nie spodziewał.

- Naprawdę się cieszę, dzięki Bogu. To miło, że przynajmniej Tina ma się dobrze.

Potem znów zaczęła robić sobie wyrzuty.

- Nie mogę tego znieść, Michaelu. Nie potrafię tego znieść! - westchnęła, po czym wzięła jeszcze jedną tabletkę na uspokojenie.

Zdrzemnęła się trochę, a Michael tymczasem posprzątał co nieco i zabrał się za stos brudnych naczyń, jakie nagromadziły się w kuchni przez kilka dni. Kiedy Karen przebudziła się, czuła się fatalnie, skarżyła się na nudności i ból głowy.

- Koniecznie musi pani coś zjeść - powiedział Michael. Domagała się kolejnej tabletki, on jednak zwlekał z jej podaniem. - Nic dziwnego, że źle się pani czuje, po tylu pigułkach na pusty żołądek!

- Nie mogę nic jeść.

W lodówce znalazł jedynie nieco skwaszone mleko i kilka jajek, które leżały tam chyba od wieków. Kiedy zaproponował, że pójdzie na zakupy, niemal panicznie potrząsnęła głową.

- Nie! Proszę nie zostawiać mnie samej! Proszę nie zostawiać mnie samej!

A potem zerwała się, pobiegła do łazienki i ledwie zdążyła dobiec do toalety. Przykucnęła skulona na wyłożonej płytkami podłodze, po czym drząc i dławiąc się,

wymiotowała raz za razem. Michael pobiegł za nią, przytrzymał jej głowę i starał się ją uspokoić. Potem uklęknął obok niej i wziął ją w ramiona. Wokół unosił się odór wymiocin i potu. Karen skryła twarz w jego ramionach, całym jej ciałem wstrząsały spazmy.

- To moja wina - szeptała, szlochając. - Moja wina...

Odsunął ją nieco od siebie i obrzucił poważnym, przenikliwym wzrokiem, popatrzył na jej bladą, brzydką twarz, otoczoną przez czerwoną szczecinę włosów. Wyjął chusteczkę i ostrożnie wytarł jej usta, mówiąc:

- Karen, proszę mnie posłuchać. Dzisiejszej nocy siedziałem i rozmyślałem nad kwestią winy, tak jak pani. Karen, chronilem moją córkę, strzegłem jej i odgradzałem od świata, w najlepszej wierze i z najlepszymi zamiarami. Ale do czego tym doprowadziłem? Wychowałem młodą kobietę, tak naiwną, tak niedoświadczoną, tak oderwaną od życia, że w ogóle nie zauważyła, że z tym Mariem dzieje się coś niedobrego!

Upuścił chusteczkę. Karen nadal popłakiwała, lecz w jej oczach mógł dostrzec potwierdzenie, że go słucha.

- Nie zrozumiałem wszystkiego, co powiedziała mi dziś rano przez telefon - ciągnął Michael - ale najwyraźniej dostała się w ręce psychicznie chorego człowieka. Prawdopodobnie byłoby o wiele lepiej, gdyby już wcześniej miała chłopaka, albo i kilku, bo wówczas wiedziałaby więcej o życiu i ludziach i być może nabrałaby podejrzeń. Rozumie pani? Karen, miałem ogromne szczęście. W przeciwnym razie załamałbym się teraz, przygnieciony ciężarem winy.

- Ale...

- Dana coś zauważyła, prawda? Jako pierwsza mówiła o tym, że Mario ją przeraża. To jest właśnie coś, co jej pani przekazała: doświadczenie i osąd rzeczywistości. Była znacznie lepiej przygotowana do życia niż Tina, ale miała pecha. Oczywiście była zbyt lekkomyślna. Ale dokąd zaprowadziła Tinę jej ostrożność? Karen - jego głos zabrzmiał nieomal rozpaczliwie - czy pani tego nie dostrzega? Nie ma najmniejszego sensu szukać teraz winnych. Nieważne, co zrobimy; nadchodzi moment, kiedy nie jesteśmy już odpowiedzialni za to, co nastąpi. Nie możemy. Życie toczy się wedle zasad znacznie bardziej sprzecznych ze sobą niż te, w które usiłujemy je wtłoczyć.

Miał wrażenie, że na jej twarzy dostrzegł pierwszą, drobną, ledwie zauważalną oznakę pociechy. Znów przytulił ją do siebie; rozplakała się. Jeszcze nie wiedział, że kiedy tak klęczał na zimnych płytkach w tej cuchnącej łazience, w jego wnętrzu nieśmiało rodził się właśnie nowy człowiek; człowiek, który znów potrafił żywić uczucia, mieć dla innych litość, godzić się z odmiennościami, być łagodnym i czułym. Który znów potrafił ufnie patrzeć na

życie.

Dopiero późnym popołudniem Phillip przemógł się i zatelefonował do profesora Echingera, by poinformować go o śmierci Maximiliana. Ktoś to musi w końcu zrobić, pomyślał. Jak się jednak okazało, uprzedziła go policja. Profesor był wstrząśnięty i przerażony.

- Powiedziano mi, że został zastrzelony. Czy to prawda? Wie pan, nie mogę w to uwierzyć!

- Zgadza się. Policjant zastrzelił go, sądząc, że Maximilian zamierza wziąć młodą dziewczynę jako zakładniczkę - wyjaśnił Phillip. Przemilczał fakt, iż owym policjantem był kochanek jego żony; wcale nie musiał poruszać tego tematu w obecności profesora. Echinger przynależał do tego okresu jego życia, z którym dopiero co zerwał i o którym pragnął jak najrychlej zapomnieć.

- To straszne. To straszne - powtarzał Echinger. W jego głosie słychać było szczerą rozpacz.

Jak mocna więź łączy terapeutę z jego pacjentem? - zastanawiał się Phillip. Codzienne rozmowy przez sześć długich lat. To musi być całkiem specyficzna, intensywne więź.

- Może pan wie, że także mój drugi syn... - zaczął Phillip.

- Tak, wiem. To prawdziwa tragedia. Proszę mi wierzyć, głęboko współczuję panu i pańskiej żonie. Ja... zupełnie nie potrafię myśleć w tych dniach o czymś innym. - Profesor zamilkł, po chwili jednak dodał cicho: - Tak bardzo mi przykro.

Brzmiało to jak jakieś przeprosiny; przez moment Phillip zastanawiał się, za co lekarz miałby go przepraszać. Potem jednak przyszło mu na myśl, iż Echinger obarcza się winą za ucieczkę Maximiliana - przypuszczalnie nie dlatego, że w klinice zawiodły środki ostrożności, bowiem Maximilian, mogąc się swobodnie poruszać, tak czy owak zdołałby stamtąd uciec. Już raczej dlatego, że jego pacjent zwyczajnie umknął, zamiast zwrócić się do swego terapeuty. Był to prawdziwy policzek po sześciu latach starań o pozyskanie wzajemnego zaufania. Świadomość ta napęła Phillipa niejakim zadowoleniem.

- Nie potrafię pojąć, jak to się stało, że u Maria nagle wystąpił ten sam profil chorobowy co u jego brata - ciągnął Echinger - że obaj...

Urwał, lecz mimo to Phillip mógł wyczuć, jak Echinger potrząsa głową ze zdziwienia. Jako że nie miał teraz najmniejszej ochoty omawiać z profesorem „przypadku Maria”, powiedział krótko:

- Tak, kto by pomyślał! - i mruknąwszy pozdrowienie, odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

To wszystko. Koniec. Uczynił zadość uprzejmości, wystarczy. Nigdy więcej żadnych psychiatrów, nigdy więcej Echingera, nigdy więcej tej kliniki. Nigdy więcej pełnych skruchy rozmów ze szlochającą Janet:

- To ja ponoszę winę za to, co się stało z chłopcem. Ponieważ go rozczarowałem. Co takiego widziały we mnie dzieci? A kiedy potem musiały przeżywać, jak ja i Andrew...

Czy ona kiedykolwiek pomyślała o tym, ile kosztowała go rozmowa z nią na ten temat? Uspokajanie jej?

- Janet, również Echinger twierdzi, że nieważne, co widział Maximilian, musiało zadziałać wiele różnych czynników, by doprowadzić do takiej choroby.

- Usiłował zamordować tę dziewczynę w momencie, w którym ukazała mu się jako kobieta! A to przecież może mieć związek jedynie ze mną. To zawsze ma związek z matką. Ja...

Czasem, kiedy zaczynała tę litanię, kiedy przywoływała swe uczynki z minionych dni, najchętniej byłby ją okrzykał: - Tak, być może to twoja wina! Być może popadł w tę chorobę dlatego, że dzień w dzień musiał patrzeć na swą matkę, jak oddaje się tym obscenicznym wygibasom z owym czarodziejem sztuki miłosnej, Andrew Daviesem! Aleja, do cholery, nie mogę już dłużej tego słuchać! Nie mogę już dłużej patrzeć, jak rozszarpujesz samą siebie z powodu twoich dzieci! Czy choć raz pomyślałaś o tym, co mi zrobiłaś?

Lecz nigdy jej tego nie powiedział. Tłumaczył sobie, że nie ma zamiaru jeszcze bardziej jej denerwować. Tak naprawdę jednak nie zniósłby sytuacji, w której musiałby przyznać się wobec niej i samego siebie, że zadała mu ból, że czuje się zraniony. Jeśliby bowiem kiedykolwiek nazwał ów ból po imieniu, stałby się on rzeczywistością. A wówczas nigdy więcej nie mógłby postępować tak, jakby ból ten w ogóle nie istniał.

Wiedział, że powinien wręcz oszaleć ze zgrzyoty. W jednej chwili stracił swoje dzieci, jedynych synów, i stracił je w szczególnie okrutny, przerażający sposób. Jeden spłonął, drugi został zastrzelony. Większość ojców do końca życia nie potrafiłaby pogodzić się z takim ciosem. Oskarżaliby los, Boga, świat. Popadliby w alkoholizm, zrujnowaliby sobie życie albo pograżyliby się w depresji. Lecz nigdy nie poczuliby się uwolnieni.

Phillip po raz drugi odetchnął głęboko. Oczywiście, że oplakiwał śmierć swoich dzieci. Odczuwał zgrozę i nie bardzo wierzył w to, co się stało. A mimo to - choć mogło wydawać się to zawstydzające - poczuł się także wolny. Uwolniony od nieznośnego brzemienia, od przeszłości, przez którą tak bardzo cierpiał. Uwolniony od rozmyślań o winie i przegranej. Utracił wszystko, żonę i dzieci. Odfajkowane. Właśnie te słowa przyszły mu na myśl. Odfajkowane. Wolny.

Cicho zapłakał.

## Środa, 14 czerwca 1995 roku.

- Nigdy - powiedział Andrew - nigdy bym nie pomyślał, że zrobisz coś takiego. Że mogłabyś to zrobić!

Popiół z jego papierosa spadł na przykrywający stół obrus; zapomniał go strzepnąć. Wcale się tym nie przejął; nie dbał też o to, że złamał swe postanowienie, by rzucić palenie. Od kilku godzin palił jednego za drugim. Podobnie zresztą Janet. Siedzieli w kafeterii na nicejskim lotnisku, popijali czarną kawę i wodę mineralną, zaciągali się dymem i z minuty na minutę coraz bardziej oddalali się od siebie.

Powietrze nad płytą lotniska drżało od południowego skwaru. Wewnątrz hali panował ożywiony ruch. Był początek sezonu urlopowego, lotnisko wypełniała rzeka turystów gotowych rozlać się po plażach i hotelach Lazurowego Wybrzeża. Uwagę przykuwała spora liczba samotnie podróżujących kobiet, zaopatrzonych w niezliczoną ilość bagażu. Nosiły szykowne ubrania, już wcześniej, korzystając z solarium, postarały się o atrakcyjną opaleniznę, a swym pełnym napięcia twarzom nadawały światowy wyraz, nosząc okulary przeciwsłoneczne o wyrafinowanych kształtach. Użyły wszystkich środków w nadziei na spędzenie kilku tygodni wśród blasku i glamouru, pośród iluzji wielkiego świata oraz - co było ich największym marzeniem - mając nadzieję na romantyczne spotkanie, które być może da się ocalić w monotonnej codzienności upływającej im za biurkiem albo sklepową kasą.

Andrew i Janet nie zwracali jednak uwagi na otaczające ich tłumy ludzi, kakofonię głosów, śmiechów i spiesznych kroków. Nie słuchali zapowiedzi lotów, podawanych informacji, wywoływanych nazwisk. Znajdowali się niejako na odciętej od reszty świata wyspie, choć wcale nie byli sobie bliscy, jak to zwykle bywa wśród wypiarzy. Dzieliło ich całe morze niezrozumienia, konsternacji i narastającej wrogości.

Uwaga Andrew, iż nigdy by nie pomyślał, że mogłaby zrobić coś takiego, pozostała bez odpowiedzi. Janet nie próbowała zabiegać o zrozumienie, nie podawała jakichkolwiek wyjaśnień czy uzasadnień. Sprawiała wrażenie, jakby oczekiwała, że on to zaaprobuje; zresztą było jej to zupełnie obojętne.

- Kiedy przylatuje twój mąż? - zapytał. - To znaczy, kiedy dokładnie?

- Za kwadrans trzecia - odparła Janet.

- Aha. - Andrew postanowił, że najpóźniej pół do trzeciej uda się do swojej gate.

Wprawdzie jego samolot do Londynu startował dopiero o czwartej, nie miał jednak

najmniejszej ochoty na spotkanie z Phillipem. Phillip miał przylecieć do Nicei, by razem z Janet zająć się sprzedażą domu w Duverelle. Następnie powrócą do Hamburga wraz ze swymi zmarłymi synami. A potem... Tego nikt nie wiedział. Ani Janet, ani Andrew. Z pewnością nie wiedział tego również Phillip. W owej chwili żadne z nich nie potrafiło powiedzieć czegokolwiek na temat przyszłości.

Andrew łyknął jeszcze kawy, która zdążyła już wystygnać, po czym zapalił kolejnego papierosa. Spojrzał na Janet. Sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach, odrętwiałej, zamkniętej w sobie. Jej twarz była blada jak płótno. Włosy, zmierzwiłone i nierozczesane, spięła z tyłu głowy gumką. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i położyła je na stole; jej oczy zdawały się zaczerwienione i suche, jak u człowieka, którego trawi gorączka.

Andrew wiedział, iż nigdy mu nie wybaczy tego, że zastrzelił jej syna, nie uzna żadnych okoliczności łagodzących, nie zaakceptuje faktu, iż niewłaściwie ocenił sytuację i zdecydował, że musi postąpić tak, a nie inaczej. Jakby została zniweczona owa siła, dzięki której trwała przy nim także w latach młodości, kiedy ją zaniedbywał i ranił. Nie miała już w sobie ani krzty wyrozumiałości i gotowości do wybaczenia.

Zastanawiał się, czy może w tym względzie ją przewyższał. Czy był gotów okazać zrozumienie i przebaczenie. Nie potrafił pojąć tego, co zrobiła, i chyba on także nie był w stanie przebaczyć. Jej wyznanie głęboko nim wstrząsnęło - choć ona nigdy nie potraktowałaby swej opowieści w kategoriach wyznania, uważając ją za zwyczajne przedstawienie logicznego stanu rzeczy, które każdy powinien zrozumieć.

Andrew ogarnęły trwożne przeczucia, kiedy owej nocy, przed płonąłą chatą wysoko w górach, wysłuchał jej opowiadania. Cień zrozumienia, prawda zbyt wstrząsająca, by mógł jej pozwolić zawładnąć swym umysłem. Byli na policji, zostali przesłuchani, całymi godzinami składali wyjaśnienia, a przez cały ten czas Andrew wiedział, że Janet nie mówi funkcjonariuszom prawdy. Kiedy wreszcie ich wypuszczono, byli zupełnie wycieńczeni, a zarazem tak bardzo podenerwowani, iż zdawali sobie sprawę, że nie zmrużą oka. Pozwolono im zamieszkać w letnim domu; ekipa śledcza już zabezpieczyła ślady. Usiedli w pokoju dziennym, dygocący, roztrzęsieni, wewnętrznie rozbici. W pewnej chwili Andrew zapytał, co miała na myśli, mówiąc, iż Maximilian już od wielu lat nie przebywał w klinice...

Nigdy nie mógłby zapomnieć tego pokoju dziennego, w którym na regale stały oprawione w ramki rodzinne fotografie Janet, Phillipa i bliźniaków. Ani nocy za oknem, z wolna rozświetlanej blaskiem poranka. Skulonej postaci Janet siedzącej na sofie, jej bladego, znużonego oblicza.

- Tak wiele obiecywaliśmy sobie po tej klinice, terapii. Było oczywiste, że Maximilian

jest chory, chory psychicznie. Kamień spadł nam z serca, kiedy sędzia nie posłał go do więzienia. Wiedzieliśmy, że gdyby tam trafił, załamałby się. Całą nadzieję pokładaliśmy w profesorze i tym pięknym starym domu stojącym pośród wspaniałej przyrody. Mówiąc „my”, mam na myśli siebie i Maria. Phillip już dawno się z tego wycofał. Do perfekcji opanował sztukę odsuwania od siebie pewnych spraw, zauważyliśmy to już wcześniej. I tym razem wyrugował to, co tak brutalnie wtargnęło w nasze życie, i przystąpił do porządkowania wszystkiego od nowa, chcąc stworzyć dla nas egzystencję bez przeszłości. Musieliśmy przenieść się do Hamburga i zacząć wszystko od początku; z najwyższym trudem przekonałam go, by nie zostawiać Maximiliana na południu Niemiec. Z wielką niechęcią Phillip przystał na umieszczenie go w klinice w Szlezwiku-Holsztynie.

Przerwała; jej wzrok padł na jedno z rodzinnych zdjęć, zamarł na chwilę, po czym powędrował dalej. Nie patrzyła na Andrew, spoglądała na wymyślony punkt na ścianie za jego plecami.

- Razem z Mariem odwiedzaliśmy go tak często, jak tylko nam pozwolono - podjęła. - Był w bardzo złym stanie. Wydawało się, że pogrąża się w depresji, w poczuciu beznadziei. Tęsknił przede wszystkim za bratem, także i za mną, ojcem, domem. Przyglądanie się, jak dosłownie tonie w swym bólu, było dla nas okropnym doświadczeniem. Nigdzie nie dostrzegał promyka światła. Nie wiedział, co go napadło, że usiłował zabić tę dziewczynę. Tamtego wieczora chyba próbowała go uwieść, a tego nie potrafił znieść. Powtarzał zawsze, iż sądził, że ona jest inna. Nie pojmował, dlaczego właściwie został ukarany. To w sobie widział ofiarę, nie w niej, i to doprowadzało go do rozpacz. Czuł się niezrozumiany i niesłusznie skazany. Oczywiście rozmawialiśmy o tym z profesorem. Uspokajał nas, że to zupełnie normalna reakcja w początkowym stadium, nie on jeden znalazł się w takiej czarnej dziurze. Jednakże z upływem czasu jego stan wcale się nie poprawiał. Było coraz gorzej. I coraz częściej mówił o samobójstwie.

- Rozumiem - powiedział Andrew. Wtedy jeszcze czuł potrzebę, by okazać jej zrozumienie.

- Po mniej więcej dwóch latach był w tak złym stanie, że miałam pewność, iż wkrótce dojdzie do tragedii. Czułam to. Czułam, że nie przeżyje w tej klinice nawet pół roku dłużej. Profesor potraktował tę sprawę poważnie, ale nie żywił aż tak wielkich obaw. Myślę, że uznał za niemożliwe, by ktokolwiek w jego klinice mógł popełnić samobójstwo. Jeśli idzie o środki bezpieczeństwa, byli perfekcjonistami; kiedy Echinger pytał mnie, w jaki moim zdaniem sposób Maximilian miałby tego dokonać, nie potrafiłam odpowiedzieć. Byłam wszakże i jestem przekonana, że zdesperowany człowiek w każdym miej - scu na ziemi znajdzie sposób,

by odebrać sobie życie. A Maximilian był zdesperowany. Do granic możliwości.

Janet przerwała na chwilę. Andrew skrył twarz w dłoniach. Wiedział, co teraz nastąpi.

- Razem z Mariem nie potrafiliśmy myśleć o niczym innym. Oczywiście często rozmawialiśmy o tym, co mogło rozbudzić w Maximilianie tę nienawiść do kobiet. Profesor zawsze unikał przypisywania mi jakiegokolwiek winy, lecz Mario opowiadał, że razem z bratem... zawsze nas podglądali, Andrew... dawniej... i Mario mówił, że to było straszne. Pamiętał każdy szczegół, twierdził jednak, że kiedy chciał z nim o tym porozmawiać, Maximilian prawie nic sobie nie przypominał. Musiał to w sobie stłumić, ale być może właśnie dlatego zachorował. Ja...

- To absurd, Janet. Cokolwiek widzieli... to znaczy... - Poczul się zaatakowany i poirytowany. Wielkie nieba, przecież nie rzucali się na siebie z nożami. - Miliony dzieci widzą takie rzeczy - odparł w końcu. - Jestem przekonany, że profesor powiedział ci także, iż...

- Istnieją setki czynników, które mogą doprowadzić do choroby, owszem. Nawet... wady wrodzone. Jestem jednak przeświadczona o tym, że sama byłam takim czynnikiem. Ponoszę znaczną część winy. Ja... nie mogłam tak po prostu pozwolić mu umrzeć. - Zaczerpnęła tchu. - Baliśmy się. Kiedy dzwonił telefon, byliśmy razem z Mariem przerażeni. Zawsze sądziliśmy, że... I czuliśmy, że może to nastąpić w każdej chwili. Mario wyczuwał to jeszcze silniej niż ja. Obaj zawsze byli sobie tacy bliscy. Każdy z nich wiedział, co się dzieje z jego bratem.

Andrew skinął głową.

- Widzieliście tylko jedno wyjście - przyznał.

- On musiał stamtąd wyjść - rzekła Janet. - I...

- I jedynym sposobem była zamiana. To nie było trudne, nikt poza mną nie potrafił ich rozróżnić. Mario pozostał w klinice, a Maximilian wrócił ze mną do domu.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Andrew. - To znaczy, abstrahując od wszystkiego, nie mogę uwierzyć w to, że jeden brat zrobił to dla drugiego. Dał się zamknąć na lata w klinice psychiatrycznej...

- Nikt, kto ich nie zna, nie zdoła tego pojąć. Oni stanowili jedną istotę. Jedną tożsamość. Jedna ich część musiała zostać w klinice, i nieważne, która wzięła to na siebie. W gruncie rzeczy zamienili się tylko imionami. Mario stał się Maximi-lianem, a Maximilian - Mariem. Zresztą nigdy nie przywiązywali wagi do swych imion. Andrew potrząsnął głową.

- Nie bagatelizuj tego w ten sposób. Jedna istota...! Nie byli jedną istotą. Jeden z nich był ciężko chory i niebezpieczny. Drugi był zdrowy. Jeden omal nie zwariował w klinice, drugi



najwyraźniej potrafił tam wytrzymać. To są dwaj odrębni, zupełnie różni ludzie. Cała reszta to bzdury.

Wzruszyła ramionami. Andrew westchnął.

- Nie pilnowano was podczas waszych rozmów i odwiedzin?

- Z początku zawsze był z nami pielęgniarz. Kiedy stan Maximiliana uległ pogorszeniu, Echinger uznał, że lepiej będzie zostawiać nas samych. Maximilian mówił wtedy więcej, a to było dla profesora o wiele ważniejsze. Chyba nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że...

- Nie - Andrew podniósł się z miejsca, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Mrok nocy na horyzoncie zaczął rozplýwać się już w szarości. - Nie, o tym nie pomyślałby żaden normalny człowiek. Mój Boże - odwrócił się i spojrzał na Janet - i nikt niczego nie zauważył? Terapeuta? Twój mąż?

- Mario - czy raczej od tej chwili Maximilian - świetnie grał swoją rolę. Nie było to dlań trudne, bowiem razem z bratem doświadczył całego tego cierpienia. Wiedział, co skłoniło Maximiliana do tego czynu, wiedział, co się z nim działo w owej chwili i w późniejszym czasie, wiedział, przez co przeszedł podczas pobytu w klinice. Wszedł w jego rolę, stał się pogrążonym w depresji pacjentem, który mówił o samobójstwie. Powoli jego stan poprawiał się. Echinger był niezmiernie dumny i wciąż podkreślał, że spodziewał się tego od samego początku.

- A... Phillip? - Andrew po raz pierwszy tego dnia wymówił imię swego rywala.

- Zbyt daleko odsunął się od nas wszystkich. Jego synowie, nawet ten zdrowy, stali się dlań balastem. Nie przyglądał się zbyt dokładnie, by mógł cokolwiek zauważyć. A Maximilian - czyli odtąd Mario - nie chorował na chroniczną depresję. Cierpiał z powodu nieznośnej tęsknoty za domem, z powodu braku nadziei. Kiedy tylko znalazł się w domu, jego stan natychmiast się poprawił.

- Na tyle, by prowadzić dotychczasowe życie Maria?

- Mario właśnie odbył służbę zastępczą i zapisał się na uniwersytet, wybierając jako kierunek ekonomikę produkcji. Chciał pójść w ślady Phillipa. Tu pojawił się niewielki problem, gdyż Maximilian zawsze chciał zostać prawnikiem. Oświadczył, że nie może się zdecydować, i przesunął początek studiów o semestr. Tak czy owak potrzebował czasu, by na powrót odnaleźć się na wolności i przywyknąć do życia bez tabletek. Strasznie faszerują nimi ludzi w tych klinikach! Potem oznajmił, że zdecydował się wybrać prawo. Phillip, jak już wspomniałam, wewnętrznie odciął się od swych synów, więc nie robił z tego powodu trudności.

- To nie do wiary - powiedział Andrew - przecież on nawet nie zdał matury!

- Przedłożył świadectwo swego brata. Nie miał żadnych zaległości, bo był tuż przed egzaminem, kiedy... to się zdarzyło.

Kiedy to się zdarzyło. Andrew poczuł przyływ gniewu, widząc Janet bladą i zmęczoną, niemal zamroczoną, skuloną na sofie. Nadal próbowała to bagatelizować. Po tylu latach, po wszystkim, co nastąpiło, wciąż nie mówiła prawdy - opisywała ją, wyszukiwała upiększające ją słowa.

- To było próbą zabójstwa - powiedział brutalnie Andrew i z zadowoleniem dostrzegł, że Janet aż się wzdrygnęła.

- Faktem jest, że twój syn próbował zabić młodą dziewczynę, ona zaś tylko przez przypadek przeżyła.

- On był chory. On...

- Właśnie. Był chory. A ty wyciągnęłaś chorego, nieobliczalnego, niebezpiecznego człowieka z kliniki psychiatrycznej, do której nie bez powodu skierował go sędzia. Pozwoliłaś mu swobodnie obracać się wśród ludzi, jak jakiejś tykającej bombie zegarowej. Na miłość boską, jak mogłaś mieć tak mało poczucia odpowiedzialności?

- On nie był niebezpieczny i nieobliczalny. Nie chciał zrobić nic złego. Chciał tylko...

Andrew podszedł do niej; Janet wyczuła, że najchętniej byłby nią potrząsnął. Opanował się z trudem.

- Skończ z tym wreszcie, Janet! Przestań wmawiać sobie i wszystkim wokół takie rzeczy. Ten biedny, chory, dobry chłopak, który za nic w świecie nie wyrządziłby nikomu krzywdy, za twoimi plecami, w zupełnej tajemnicy, znów nawiązał znajomość z dziewczyną. Był na tyle wyrachowany i sprytny, by całymi tygodniami ukrywać to przed tobą i twoim mężem. Na tyle podstępny, by wykorzystać twoją nieobecność i wyruszyć w tę wakacyjną podróż, doskonale wiedząc, że nigdy byś się na nią nie zgodziła. Co sobie właściwie myślałaś? Że w jakiś cudowny sposób zdoła zapanować nad tą swoją chorobliwą skłonnością?

Nie patrzyła na niego. Nagle owładnęło nim uczucie, że z minuty na minutę opuszcza go cała energia, wypływa z jego ciała, pozostawiając po sobie pustą skorupę. Jego ramiona zwiślały bezwładnie.

- Wiesz, czego najbardziej nie rozumiem? - zapytał znużony. - Jak w takiej sytuacji mogłaś wyjechać do Anglii i nawet pomyśleć o pozostaniu tam na zawsze. Po tym wszystkim, co narobiłaś...

I tym razem nie odezwała się. On jednak znał odpowiedź: jeśli sytuacja by się

pogorszyła, uciekłyby. Zawsze taka była.

Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, zwijała manatki i znikwała. Możliwie jak najdalej. Do innego kraju, do innego życia. Porzucała człowieka, unikała sytuacji z taką samą bezwzględnością, z jaką wcześniej im się oddawała. Był to jej jedyny sposób na uporanie się z życiem.

- Nie potrafię tego pojąć - powtarzał Andrew. - Po prostu nie potrafię tego pojąć.

Janet nadal milczała. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że było jej zupełnie obojętne, czy on ją rozumie, czy też nie.

Na dłuższą chwilę oboje pogrążali się w swoich myślach; Andrew od dawna nie patrzył na zegarek. Naraz stwierdził, że samolot Phillipa wyląduje lada chwila. Wygrzebał kilka monet i położył na stoliku.

- Muszę już iść - powiedział.

- Zaraz zjawi się twój mąż.

Janet skinęła głową. Andrew wstał, spojrział na nią z góry, na jej odrętwiałą twarz. Zdało mu się, że na świecie nie było dlań niczego równie nieosiągalnego jak ona. Wyciągnął dłoń, jakby chciał ostrożnie musnąć jej policzek, poniechał jednak tej myśli i opuścił rękę.

Nie zamienili na ten temat ani słowa, wiedział jednak, dlaczego była i dlaczego pozostanie tak nieprzejeđnana, wiedział, jaki wyrok na niego wydała. Nie wierzyła w to, że zastrzelił jej syna w afekcie, wskutek paniki i fatalnej w skutkach, niewłaściwej oceny sytuacji. Była przekonana, że wyrównał w ten sposób rachunki, wziął odwet za swą porażkę z Fredem Corveyem, za ów przygnębiający moment, gdy Corvey mógł opuścić salę rozpraw jako wolny człowiek. Tym razem to on przechytrzył wymiar sprawiedliwości, postarał się o to, by nie miał już możliwości działania. Sam przyznał to w rozmowie z Janet: „Chciałbym, by doszło do sytuacji, w której byłbym zmuszony wyciągnąć broń i unieszkodliwić Corveya raz na zawsze”. Było to jego najskrytsze pragnienie, i tym razem udało mu się je spełnić. Nie poczuł się jednak po tym lepiej. Poczuł jedynie pustkę i samotność.

Podali sobie ręce niczym dwoje obcych ludzi, po czym Andrew wolnym krokiem przeszedł przez salę. Wiedział, że tym razem żegnają się na zawsze. Już nigdy jej nie zobaczy.

Mijając drzwi, nie mógł się powstrzymać, by raz jeszcze spojrzeć za siebie. Janet właśnie wstała, założyła okulary przeciwsłoneczne i szperała w torebce, pewnie poszukując szminki albo grzebienia.

Wreszcie znalazła to, czego szukała. Wyciągnęła fotografię. Choć z tej odległości Andrew nie mógł jej dojrzeć, dobrze wiedział, kogo przedstawia. Nigdy nie zapomni owego delikatnego uśmiechu, z jakim Janet spoglądała na obu swych synów. Mario i Maximilian.

Maximilian i Mario. Może obaj stali się teraz jedną istotą i odnaleźli spokój.  
Bez słowa ruszył przed siebie.

*Kaja*